

IWONA CZARKOWSKA

WESOŁA
ROZWÓDKA


Replika

WESOŁA
ROZWÓDKA



IWONA CZARKOWSKA

WESOŁA
ROZWÓDKA


Replika

Copyright © Iwona Czarkowska

Copyright © Wydawnictwo Replika, 2017

Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja

Joanna Pawłowska

Projekt okładki

Iza Szewczyk

Zdjęcia na okładce:

Copyright © depositphotos.com/springfield

Copyright © depositphotos.com/hskoken

Skład i łamanie

Dariusz Nowacki

Wydanie elektroniczne 2016

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej

Dariusz Nowacki

ISBN 978-83-7674-828-3

Wydawnictwo Replika

ul. Wierzbowa 8, 62-070 Zakrzewo

tel./faks 61 868 25 37

replika@replika.eu

www.replika.eu

Wydarzenia opisane w tej książce nie są fikcyjne, a przedstawione postaci jak najbardziej przypominają rzeczywiste osoby. Komuś kiedyś coś takiego na pewno się przytrafiło, ale autorka nie bierze za to odpowiedzialności.

WYSTĘPUJĄ:

Alicja Kalicka – kobieta, która znalazła się na kolejnym życiowym zakręcie

Paweł Watrak – mąż, który pomylił żonę z kochanką

Tatiana – nieznajoma, która przyszła bez zaproszenia i już została

Szymon Paluszkiewicz – mężczyzna, który odebrał telefon i zniknął

pan Karasek – łysy sąsiad, który twierdził, że Alicja ma psa

Łucja, Karolina, Ewa – przyjaciółki, które znały Alicję przed wieloma życiowymi zakrętami

Barbara Nowik – szefowa Alicji, która wpadła w szpony hazardu

Zuzanna Roszkowska – agentka, która przybyła z Bangladeszu

Helena Korolkiewiczowa – sąsiadka, która nie zabiła Eulalii

Stefan Korolkiewicz – sąsiad, który wierzył, że Eulalia do niego wróci

Agata Kalicka – starsza pani, która wyskoczyła z samolotu

Aleks Koszowski – lekarz, który o mało nie kupił psa

bracia Kowalowie – właściciele zakładu pogrzebowego, z którymi los zetknął Alicję jeszcze za życia

ROZDZIAŁ I

POCZĄTEK KOŃCA, KTÓRY TAK NAPRAWDĘ BYŁ KOŃCEM POCZĄTKU I ŚRODKIEM NIE WIADOMO JESZCZE CZEGO

Lało jak z cebra. Wycieraczki starego żółtego volkswagena garbusa z wysiłkiem usuwały krople z szyby. Alicja, zależnie od humoru, nazywała swój pojazd Czarownicą lub Ścierką. Czarownicą, bo kupiła go od gościa, który – jak wynikało z dowodu osobistego – urodził się we wsi Łysa Góra. A Ścierką ze względu na kolor, który przypominał spraną żółtą ścięgę do podłogi, choć według poprzedniego właściciela miał przywołać na myśl „piasek pustyni”. Tego dnia pojazd był zdecydowania Ścierką.

– Za każdym razem, gdy padało, Paweł powtarzał, że trzeba kupić nowe wycieraczki. No, ale nigdy nie miał na to czasu. I teraz już go raczej nie znajdzie – mruknęła pod nosem i podjechała pod bramę domu.

Wysiadła i wygrzebała z kieszeni klucze do bramy. Wzdrygnęła się, bo powiał wiatr i krople deszczu z pobliskiego dębu spadły jej wprost za kołnierz kurtki. Pod tym dębem kochali się z Pawłem, gdy pierwszy raz tutaj przyjechali. To było rok temu. Też wiosną, ale nie lało bez przerwy jak w tym roku. Długo szukali wtedy działki pod dom i w końcu znaleźli właśnie tutaj, w Malinówce, kilka kilometrów od ich rodzinnego Zabrzeżna.

– Kiedyś pokażę to miejsce naszemu synowi i powiem mu, że został poczęty pod tym drzewem – roześmiał się Paweł, gdy leżeli na trawie.

– Jakiemu synowi? – Alicja spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– Temu, którego właśnie zrobiliśmy. – Paweł połaskotał ją w brzuch.

– A jeśli będzie dziewczynka? – zapytała.

– Masz rację. Najlepiej, żeby były bliźniaki, chłopiec i dziewczyna. Trzeba to szybko poprawić i dorobić dziewczynkę – powiedział Paweł i przyciągnął ją do siebie.

Ale nie było ani syna, ani córki.

– I już nie będzie. Co jest? Zacięło się dziadostwo? – warknęła, dłubiąc kluczem w zamku bramy. – Zaraz się tu rozpuszczę.

Po kilku minutach złamała sobie paznokieć, więc zaprzestała bezsensownej walki i nacisnęła guzik domofonu. Miała wrażenie, że deszcz wlewa jej się za kołnierz i spływa po plecach, przez majtki, do butów. Na piętrze domu lekko odchyliła się roleta, a chwilę później rozległ się pisk i furka się otworzyła. Alicja weszła na ganek i poklepała leżące tam psy. Dobrze, że wymusiła na architekcie, żeby zaprojektował zadaszenie, chociaż strasznie marudził. Hula i Hop od początku uwielbiały tu leżeć.

– *Tego się już absolutnie nie robi – przekonywał ją właściciel Biura Projektów „Tani Dom” (Alicja później doszła do wniosku, że był to zły omen i trzeba było faceta przegnać na cztery wiatry). – Teraz stawia się w architekturze na otwarte płaszczyzny. Takie ganeczki to już przeszłość.*

– *Ale ja chcę taki mieć – upierała się. – Nigdy nie mogę znaleźć kluczy w torebce. Jak będę szukać, to nie chcę, żeby lało mi się za kołnierz.*

– Sorry, ale zmieniłem zamki – powiedział Paweł, otwierając drzwi. – Klucze nam zginęły. Sama rozumiesz...

– Tak, rozumiem – odpowiedziała z przekąsem. – Tania znowu zgubiła klucze.

Przypomniała sobie dzień, gdy usłyszała o Tani po raz pierwszy. Paweł wrócił wściekły do domu. Mieszkali wtedy w wynajętej kawalerce, bo dom dopiero się budował.

Wszedł i trzasnął drzwiami aż zadudniło. Po chwili rozległo się wściekle walenie w kaloryfer. Czasami Alicja miała wrażenie, że mieszkająca piętro niżej pani Nowaczyk siedzi pod tym kaloryferem z jakąś żelazną sztabą i tylko czatuje, żeby załomotać w żeberka.

Wyjrzała z kuchni, gdzie od godziny zaklinała ciasto drożdżowe, żeby choć trochę urosło, bo inaczej nigdy nie będzie piękną babką, ale paskudnym płaskim zakalcem, i za karę nie dostanie lukrowej polewy.

– *Co się stało? – zapytała. – Wyglądasz, jakby cię wściekły giez ukąsił.*

– *Gorzej! W zeszłym tygodniu dali nam do działu jakąś idiotkę – warknął mąż i pocałował ją w policzek. – Będzie ciasto drożdżowe?*

– *Jeszcze nie wiem, bo nie chce wyrosnąć – odpowiedziała Alicja. – Może będzie drożdżowy zakalec.*

– *Lubię zakalce – mlasnął Paweł.*

– *Nie mlaszcz, bo ciasto może mi od tego opaść. Nigdy nie wiem, od czego ono opada. Albo może mlaszcz, jak lubisz zakalce. Sama nie wiem. No i co ta idiotka? – zapytała, przykrywając miskę ściereczką.*

– *Idiotka miała wysłać kilka dokumentów faksem. Jakieś zamówienie na bilety, faktury, zestawienie dla księgowości centrali – wyjaśnił mąż.*

– *I co? – roześmiała się. – Idiotka nie umie obsługiwać faksu?*

– *Umie, umie! Choć dzisiaj akurat byłoby lepiej, gdyby nie umiała. Wychodziła z tymi dokumentami na korytarz, bo tam stoi faks, i w drzwiach zderzyła się z Krzyśkiem.*

Alicja zwizualizowała sobie idiotkę, która z wielkim plikiem dokumentów otwiera drzwi. Dla celów roboczych uczyniła ją niską kobietą lat około czterdzieści pięć. Po namyśle dodała jej myszowate, lekko przetkane siwizną włosy i okulary w niemodnych drucianych oprawkach. Tak wystylizowana idiotka zderza się z Krzyśkiem. Jak wygląda Krzysiek, to akurat świetnie wiedziała, bo był przyjacielem Pawła jeszcze ze studiów. Dwa metry wzrostu, waga półciężka.

Mogła sobie wyobrazić, jakie były skutki zderzenia myszy z górq. Dokumenty pewnie fruwały pod sufit.

– No, ale chyba pozbierała te papiery i wysłała? To o co chodzi i dlaczego jesteś taki wściekły? – zapytała męża i zerknęła pod ściereczkę. Czy dobrze widzi, że pojawiły się jakieś obiecujące pęcherzyki?

– Bo ona te kartki miała poprzekładane takimi świstkami, na których Elka zanotowała jej numery faksów. Pozbierała wszystko z podłogi i wysłała jak leci. Zamówienie na bilety do hurtowni kabli, fakturę do zapłacenia za tonery do kantyny, rachunek za naprawę serwera do biura podróży. Wszystko pomieszała. Przez godzinę Elka odbierała telefony z pytaniami, czyśmy powariowali.

– A jak ta idiotka ma na imię? – roześmiała się Alicja i znowu zajrzała pod ściereczkę. Ciasto zaczynało rosnąć!

– Tatiana ma na imię. – Paweł wzruszył ramionami. – Ta idiotka.

– Tatiana? Ciekawe imię – mruknęła żona. – Jak to się zdrabnia? Tania?

– Ona bardzo nie lubi, jak ktoś tak do niej mówi. Prosiła, żeby mówić Tina. A tania to raczej nie jest. Odkąd przyszła, musieliśmy już dwa razy zamek w drzwiach magazynku wymieniać, bo co tam po coś pójdzie, to klucze gdzieś zapodzieje. Zepsuła też drukarkę i ekspres do kawy.

– Przecież wiesz, że ona nie lubi zdrobnienia Tania. A w ogóle to nie rozumiem, dlaczego jesteś do niej taka uprzedzona. – Paweł wzruszył ramionami.

– Nie rozumiesz? – Spojrzała na niego i pokiwała głową. – To akurat dziwne. Zresztą, nie zaczynajmy kolejnej idiotycznej dyskusji. Przyjechałam po swoje rzeczy. Tak jak się umawialiśmy wczoraj przez telefon.

Na górze trzasnęły drzwi sypialni. Alicja przypomniała sobie, jak testowali tam z Pawłem nowy materac. Okazał się kiepski, bo po jednej nocy poszły sprężyny i trzeba było reklamować. Sprzedawca patrzył na nich z zainteresowaniem i komentował, że on też ma taki materac i coś takiego mu się nie zdarzyło. I jakiś żal przy tym było słycać w jego głosie.

– Mogę się spakować? – zapytała.

– Już cię spakowałem – odpowiedział Paweł. – Tu jest wszystko.

Otworzył drzwi do schowka pod schodami. Ktoś (on czy Tania?) wcisnął tutaj kilka wielkich niebieskich worów na śmieci. A wcześniej upchnął w nich jej rzeczy.

– Przepraszam, ale zrobiłem to sam, bo zaraz musimy jechać z Tiną do lekarza – wyjaśnił Paweł. – Mam nadzieję, że rozumiesz.

Tak, doskonale rozumiała. Rozmaici „życzliwi” na wyścigi informowali ją ze współczuciem, że kochanka jej męża jest w ciąży. Niektóre z „przyjaciółek” nawet nie próbowały ukryć, że nie jest im wcale przykro z tego powodu. Inne nieudolnie udawały, że jej współczują. Tak naprawdę nie mogła się zdecydować, która z opcji bardziej ją mierziła. I wszyscy byli tak bardzo rozczarowani, gdy mówiła, że o Tani i Pawle wie już od dawna.

Dowiedziała się miesiąc po przeprowadzce do nowego domu. Ogarnęli się już jako tako i uznali, że czas najwyższy urządzić parapetówkę, o którą coraz natarczywiej dopominali się znajomi. Były przyjaciółki Alicji: Łucja, Karolina i Ewa, oraz kumple Pawła: Krzysiek i Łukasz. Oboje zaprosili zaś przemiłych państwa Helenę i Stefana Korolkiewiczów, starsze małżeństwo, które mieszkało w sąsiednim domu. Impreza trwała w najlepsze, gdy ktoś zapukał do drzwi. Ogrodzenia z domofonem jeszcze nie było, bo majster w trybie nagłym musiał pojechać do Norwegii, grodzić tamtejsze hytty przed reniferami, które obgryzały dachy z trawy. Wy tłumaczył, że to taka ichnia moda na hytty, renifery i dachy z trawy. Obiecał wrócić za dwa

miesiące, ale minęły już trzy i nie dał znaku życia, więc każdy mógł im latać po podwórku, co z lubością wykorzystywały ozdobne kury pana Korolkiewicza. One jednak do drzwi nie dzwoniły, więc to musiał być ktoś inny.

Paweł poszedł otworzyć, a reszta towarzystwa zabawiała się zgadywaniem, kto to się dobija, bo wszyscy zaproszeni byli już na miejscu. Alicja zabrała się za krojenie tortu.

– Pewnie jakiś domokrążca – powiedziała Łucja. – Jak kupiliśmy mieszkanie, to po kilku dniach przychodziło. Proponowali nam rolety, drzwi antywłamaniowe, ogrzewanie podłogowe i czujniki gazu. Tyle że w naszym budynku nie ma gazu. A raz przyszedł jakiś, co chciał nam uroki odczyniać. Pogoniłam oszusta i guślarza.

– No wiesz! – oburzyła się Karolina. – To nie są żadne gusła! Sama mówiłaś, że tydzień po przeprowadzce sąsiad was zalał. Jakbyś odczyniła uroki, to pewnie nic by się nie stało. Tobie, Ala, to ja mogę odczynić. Zrobiłam ostatnio taki kurs....

– Bzdura! – oburzyła się Łucja. – Sąsiad nas zalał, bo mu wyskoczyła źle zamontowana rura od sedesu. Dla niego miałam zamówić odczynianie? A może dla całego bloku? A co pani o tym myśli? – zwróciła się do pani Korolkiewiczowej.

– Myślę, że wiara w to, że potrafimy zapanować nad otaczającym nas światem, bardzo poprawia humor – odpowiedziała z uśmiechem starsza pani.

Rozmowę przerwało im wejście Pawła. Pan domu wrócił do pokoju w towarzystwie wysokiej brunetki. Alicja zwróciła uwagę, że kobieta jest zjawiskowo piękna, i coś piknęło jej w środku z zazdrości. Nieznajoma miała nogi modelki, piękną cerę i wielkie, jakby zdziwione oczy. Wszystko, czego natura Alicji poskapiała.

Co taka kobieta może sprzedawać? – zastanawiała się. – A może uroki odczynia? Nie, chyba raczej rzuca na facetów. Kurza stopa! Dlaczego ja tak nie wyglądam?

Zauważyła, że Krzysiek i Łukasz wymienili porozumiewawcze spojrzenia. W jej domu coś się działo. A co konkretnie, miała się przekonać już za chwilę.

– Cześć, Tatiana! – powiedział Łukasz z dziwnym uśmiechem.

A więc to była idiotka, o której wyczynach słyszała od kilku miesięcy niemal codziennie. Jakoś zupełnie inaczej ją sobie wyobrażała.

– Witam! Miło, że wpadłaś – powiedziała. – Nie byłaś jeszcze u nas. Może poczęstujesz się ciastem?

– Byłam – odpowiedziała kobieta. – Paweł ci nie powiedział? A od ciasta się tyje. Ja jestem na diecie. Ty też powinnaś zrzucić parę kilogramów.

Alicja zastygła z nożem w ręce i spojrzała zaskoczona na męża, oczekując jakichś wyjaśnień. Ale Paweł milczał.

– Nie, nie powiedział. Pewnie zapomniał. Ale miło cię widzieć w naszym nowym domu. Napijesz się czegoś? – zaproponowała, wskakując w rolę perfekcyjnej pani domu i puszczając mimo uszu uwagę o swojej nadwadze.

Pomyślała, że pewnie kobieta ma zespół Aspergera. Czytała, że aspergerycy walą prawdę między oczy i nie można mieć do nich pretensji, bo to rodzaj zaburzenia.

Może faktycznie powinnam zapodać sobie jakąś dietę? Zacznę od jutra – postanowiła. – Tylko po co właściwie? Przecież Paweł zawsze twierdził, że mam idealne ciało.

Ale już po kilku sekundach problem ewentualnej nadwagi wywietrzył jej z głowy, bo Tatiana rozejrzała się po salonie, a potem powiedziała głośno i dobitnie:

– To już niedługo będzie mój dom!

– Przestań, Tina. To nie jest miejsce i czas... – Paweł usiłował ją powstrzymać. – Chodź, pokażę ci pokoje na piętrze.

– A właśnie, że nie przestanę! – krzyknęła kobieta. – A dom znam doskonale, bo nie raz tu byłam. I uważam, że jest urządzony beznadziejnie. Wszystko tu zmienię, jak tylko się wprowadzę. Tę najmniejszą sypialnię przerobimy na pokój dla dziecka. Bo my z Pawłem będziemy mieli dziecko.

Alicja rozejrzała się po pokoju i nagle dotarło do niej, co tu się dzieje. Ale nie zamierzała niczego ułatwiać mężowi i tej... tej... tej kobiecie. Nie! Tej wrednej babie!

– Mógłbyś mi wytłumaczyć, o czym mówi twoja znajoma? – zapytała lodowatym tonem.

– Naprawdę, czy musimy teraz, przy wszystkich... – zaczął Paweł.

– Tak! – krzyknęły równocześnie Alicja i Tatiana.

Spróbowała wydostać niebieski wór spod schodów. Wredny architekt dobrze mówił, że ten schowek powinien być większy, bo nawet jak się coś tam upchnie, to nie będzie można tego potem wyciągnąć.

Prorok czy co? – pomyślała i szarpnęła jeszcze raz.

– Pomogę ci – burknął Paweł i schylił się.

Zobaczyła, że na karku ma zadrapanie. Tania musiała mieć ostre tipsy.

Idealne do wyhaczania cudzych mężów – pomyślała z przekąsem i ze złością szarpnęła wór jeszcze raz.

Drań tkwił jednak wyjątkowo mocno. Mocowała się z nim, coraz bardziej wściekła na worek, na Pawła, na Tanię i na siebie, że ich nie zadźgała tym nożem do ciasta, jak wszystko wyszło na jaw. Może dlatego, że w kulminacyjnym momencie upuściła go, a pani Helena podniosła i już jej nie oddała. Szkoda! Siedziałyby co prawda za kratami, ale przynajmniej wyobraźnia nie podsuwałaby jej kilka razy dziennie obrazów, jak to niewierny mąż z kochanką żyją sobie szczęśliwie w jej domu. Wyobrażałyby sobie za to, jak rosną na nich kwiatki.

Tobół drgnął i wyskoczył ze schowka, a ona straciła równowagę i zatoczyła się na Pawła. Upadli na dywan. Ręka męża dziwnym trafem wylądowała na jej piersi. Wstrzymała oddech. Nie sądziła, że jeszcze kiedykolwiek to poczuje, a jednak ten drań ciągle na nią działał. Atmosfera robiła się coraz gęstsza, słyszała coraz szybszy oddech męża, gdy nagle w pokoju na piętrze ktoś zrzucił coś na podłogę. Paweł zerwał się gwałtownie.

– Odsuń się – powiedział ochryplym głosem. – Zaraz to wyciągnę.

Wyniósł worki i załadował do bagażnika Ścierki. Alicja przyglądała mu się z ganku i głaskała psy, które łaśliły jej się do nóg.

– Dzięki – mruknęła, gdy wrócił.

Sięgnęła do kieszeni i podała mu klucze. Ruszyła do bramy, a on wrócił do domu i zamknął drzwi.

– Nie mogę was zabrać ze sobą – powiedziała z żalem i poczochnęła psy, które biegły za nią. – Byłoby nam za ciasno w kawalerce Łucji. Mam nadzieję, że on się wami dobrze zajmie. Inaczej naślę na niego Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami. Hula, opiekuj się Hopem, bo to wariat kompletny, a ty jesteś rozsądna kobieta. I ugryźcie od czasu do czasu w tyłek tego wrednego baboła. Wiecie, o kim mówię?

Zamknęła furtkę, przy okazji o mało nie miażdżąc kury sąsiada. Cały czas miała wrażenie, że z sypialni na piętrze ktoś ją bacznie obserwuje. Pewnie Tania. Już miała jej pokazać język, gdy nagle...

– Dawno tu pani nie zaglądała – usłyszała za swoimi plecami.

Odwróciła się. Pani Korolkiewiczowa.

– Tak się złożyło – odpowiedziała.

Sąsiadka pokiwała ze zrozumieniem głową.

– Niech pani wejdzie do mnie – powiedziała, zaganiając kurę na swoje podwórko.
– Właściwie to bardzo się spieszę... – Alicja gorączkowo usiłowała wymyślić jakąś dobrą wymówkę. – Muszę jeszcze...

– Zdąży pani – przerwała jej stanowczo sąsiadka i otworzyła furtkę do swojego domu. – No, proszę, proszę. Mam dla pani trochę rzeczy.

W kuchni najpierw podała herbatę, a potem wyciągnęła z szafki tekturowe pudełko i postawiła przed Alicją.

– Leżało na kontenerze z odpadkami – wyjaśniła. – Na szczęście zdążyłam zabrać, zanim śmieciarze przyjechali. Pomyślałam, że pewnie chciałyby pani to mieć.

Zaintrygowana Alicja zdjęła pokrywkę i wyciągnęła ze środka album ze zdjęciami. Jej zdjęciami. Jej i Pawła. Nigdy nie spodziewałyby się, że on je wyrzuci.

– To na pewno ta kobieta – powiedziała pani Korolkiewiczowa, jakby czytała w jej myślach, i podała jej kubek z herbatą. – Myślę, że pan Paweł nawet o tym nie wiedział.

– Może i nie wiedział – mruknęła z powątpiewaniem Alicja i wstała od stołu. – Dziękuję bardzo.

– Niech mnie pani jeszcze kiedyś odwiedzi – zaproponowała pani Korolkiewiczowa.

Z parasolem odprowadziła gościa do bramy. Przy ogrodzeniu rosły goździki. Identyczne Alicja posadziła po swojej stronie. Kupiły je z panią Korolkiewiczową u tego samego ogrodnika kilka kilometrów od Malinówki. Takiego śmiesznego staruszka z szopą siwych włosów, które nadawały mu bardzo adekwatny wygląd stracha na wróble.

– Wykopała je i wyrzuciła, no to przesadziłam do siebie. Na szczęście korzenie nie zdążyły jeszcze wyschnąć i pięknie się przyjęły. Może je pani zabrać – zaproponowała sąsiadka.

– Nie, nie miałabym ich nawet gdzie posadzić. Chyba że w doniczce na parapecie. – Alicja wzruszyła ramionami. – Mieszkam teraz w bloku.

– Na parapecie? Świetny pomysł! – powiedziała pani Korolkiewiczowa. – Niech pani chwilę poczeka.

Weszła na werandę i po chwili wróciła z małą doniczką z ziemią. Wyrwała ostrożnie małą kępkę goździków, wsadziła ją do doniczki i podała dawnej sąsiadce.

Alicja pożegnała się, wsiadła do samochodu, położyła album ze zdjęciami i doniczkę na tylnym siedzeniu, a potem wycofała, zerkając w lusterko wsteczne. Na kursie prawa jazdy zadziwiła tą umiejętnością wszystkich instruktorów. Podobno inne kursantki, gdy cofały, to zamykały oczy i czekały, czy w coś przywałą, czy jakimś cudem nie. Jechała ostrożnie do tyłu, gdy nagle jakiś czarny kształt o mało nie wpadł jej pod koła. Zahamowała z piskiem opon. Ciężnik zniknął, ale ona jeszcze przez dłuższą chwilę siedziała i starała się uspokoić oddech. Do wszystkich rewelacji, jakie ostatnio zachodziły w jej życiu, brakowało jeszcze własnoręcznie przejechanego nieboszczyka. Wskoczyła z samochodu i obiegła Ścierkę dookoła. Nikogo! Ale przecież była pewna, że kogoś widziała. Może to znowu ta upiorna kura? Tylko gdzie się w takim razie podziała?

Czyżbym zaczynała wariować, jak sugerował podczas jednej z ostatnich małżeńskich awantur Paweł?

– Czy coś się stało? – krzyknęła z ganku pani Helena.

– Wydawało mi się, że kogoś przejechałam! – Alicja starała się przekrzyknąć deszcz i wiatr.

Sąsiadka wzięła parasol, który stał oparty o stół na ganku, i podeszła do furtki.

– To niemożliwe – powiedziała stanowczo. – Przecież tutaj jak na razie mieszkamy tylko my i pan Paweł. Pozostali albo dopiero się budują, albo jeszcze nawet nie zaczęli.

– A tam? – Alicja wskazała stary dom.

– Tam od dawna jest pusto – przypomniała jej sąsiadka.

– Może kura? – zasugerowała z drzeniem serca, bo wiedziała, że pan Korolkiewicz nigdy by jej nie wybaczył przejechania którejs z podopiecznych. Jak Paweł raz zażartował na temat rosółu, to przez kilka dni odnosił się do niego z dużą rezerwą.

– Nie, są wszystkie! Liczyłam je przed chwilą na ganku. Niech pani jedzie. Do widzenia.
– Pomachała jej i weszła do domu.

Alicja przejechała obok starego domu. Kiedyś był częścią dużego gospodarstwa rolnego. Mieszkała w nim para wiekowych ludzi. Po ich śmierci dzieci podzieliły ziemię na działki budowlane. Z tego co mówiła pani Korolkiewiczowa, spadkobiercy nie mogli się dogadać co do samego domu, więc stał i niszczał. Alicja raz czy dwa na początku widziała, że ktoś tam przyjeżdżał na weekend. No, ale przecież nie wieczorem, nie przy takiej pogodzie i nie po to, żeby się rzucać pod jej samochód. Chociaż z drugiej strony, ludzie mają różne zboczenia. Ostatnio czytała o jednym takim, co z jedenastego piętra skoczył na głowę sąsiadowi, który go denerwował.

Zatrzymała samochód i wysiadła. Obeszła wielkie bajoro, w które po każdym większym deszczu zamieniała się gruntowa droga. Podeszła pod na wpół przewrócony płot starej chałupy i rozejrzała się. Ani śladu jakichkolwiek form życia. Wzruszyła ramionami i wróciła do samochodu.

W ulewnym deszczu przejechała przez miasto i dobrnęła do blokowiska, gdzie teraz mieszkała. Wynajęła kawalerkę od Łucji tydzień po tym, gdy wyszła ta sprawa z Tanią. Pokój z kuchnią w wielkiej płycie. Wielkiej i bardzo twardej, o czym przekonała się, gdy próbowała wbić gwóźdź w ścianę. Ale mieszkanie było tanie i w dobrym miejscu, bo blisko centrum i na skraju dużego parku. Łucja upierała się początkowo, że nie weźmie od przyjaciółki pieniędzy, ale w końcu zgodziła się, żeby ta płaciła za czynsz, prąd, gaz i kablówkę.

– Mam tylko nadzieję, że on ci nie będzie przeszkadzał – powiedziała, gdy Alicja przejechała zobaczyć nowe lokum. – Zapomniałam ci wcześniej o nim powiedzieć.

– Ale o kim? – zdziwiła się Alicja, wsiadając do windy.

– Sama zobaczysz. – Przyjaciółka machnęła ręką. – Ale on się nie rusza ze swojego kąta, odkąd go tam wkopałam. Ciężki jest.

Alicja przez kolejne piętra zastanawiała się, z kim będzie mieszkała. Kot? Pies? Stetryczały dziadek albo stryjek Alicji lub jej męża Grzegorza? Okazało się jednak, że na właściwe rozwiązanie nie wpadłaby, nawet gdyby jeździła tą windą w tę i z powrotem przez najbliższy rok. W kącie mieszkania stał bowiem... gipsowy krasnal. Taki, jakie ludzie stawiają sobie w ogródkach. Miał mniej więcej metr wzrostu, czerwone spodenki i czerwoną czapkę.

– Matko jedyna! – krzyknęła na jego widok. – A skąd ty masz tę paskudę?

– Nie mów tak o nim, bo się obrazi – uciszyła ją Łucja. – On jest bardzo wrażliwy.

– I co? – roześmiała się przyjaciółka. – Naszcza mi do butów? Podobno krasnoludki tak robią, jak się wkurzą na gospodarza. W coś takiego to mogłaby Karolina uwierzyć, ale ty?

– Do mleka ci naszcza. Krasnoludki szczają do mleka. Zresztą pomieszkasz, to sama zobaczysz. – Łucja pokiwała głową. – Raz koczował tutaj przez dwa tygodnie Mirek, kuzyn Grześka z Gdańska. I twierdził, że Gipsowy podbierał mu krawaty. A potem przez niego uciekła dziewczyna, którą poznał w jakimś pubie i tutaj sprowadził.

– Przez gipsowego krasnala uciekła? – zdziwiła się Alicja.

– No, podobno tak. Mirek twierdził, że jak stał z nią pod oknem, to Gipsowy wsadził jej rękę pod spódnicę. Myślała, że to Mirek, dała mu z plaskacza, zbluzgała i wyniosła się. Ale ten kuzyn to rodzinny dziwak. Wierzy w UFO, reinkarnację i takie sprawy. I czasami trochę za dużo pije. Równie dobrze mogło mu się w delirce wydawać, że gada z krasnałem z gipsu. A tak

w ogóle, to dostaliśmy go od znajomych Grzegorza. Taki żarcik niby. Postawiliśmy go w ogródku, ale nastolatki od sąsiadów ciągle go wywoziły do lasu. Smarkacze okrzyknęli się jakimś durnym Frontem Wyzwolenia Krasnali. Nawet z drewni go wywlekli. No to schowaliśmy biedaka tutaj. Co mu mają w lesie wiewiórki srać na głowę?

– Krawatów nie noszę, dziewczyn sprowadzać sobie nie będę jak ten wasz kuzyn od UFO. Facetów zresztą też, gdyby miał inklinacje również w tym kierunku. Nie uchlewam się do nieprzytomności. Biorę to mieszkanie od zaraz – stwierdziła Alicja.

No i tak zamieszkała z gipsowym krasnałem w tej Łucjowej kawalerce na jedenastym piętrze. Przez pierwsze kilka dni nic się nie działo. Ale jakiś tydzień po przeprowadzce przebiegała się rano, gdy nagle podchwyciła w lustrze spojrzenie rzucone spod czerwonej czapeczki.

Natychmiast zakryła się szlafrokiem i pobiegła z ciuchami do łazienki. Po powrocie zmierzyła dokładnie odległość, w jakiej krasnal stał od kaloryfera. Wyszła nawet specjalnie do kuchni, a po chwili wróciła i skontrolowała, czy przypadkiem się nie przesunął.

– Kurza stopa! Dwa centymetry bliżej drzwi! – mruknęła. – Podgląda mnie czy co?

Oczywiście, brała pod uwagę, że mogła źle zmierzyć. Ale od tej pory postanowiła uważniej przyglądać się sublokatorowi. No i przede wszystkim przestała się w jego obecności rozbierać.

Z gipsu, bo z gipsu, ale zawsze chłop – myślała za każdym razem, gdy maszerowała w ubraniu do łazienki albo zamykała się w przedpokoju czy kuchni. Na szczęście drzwi nie były przeszkłone.

W sumie mieszkało im się razem całkiem dobrze. Krasnal był doskonałym słuchaczem. Nie przerywał i nie pocieszał na siłę. No i jak na faceta był bardzo porządniki. Nie rozrzucał skarpetek i nie zostawiał po sobie wszędzie brudnych talerzyków i kubeczków. Pod tym względem był na pewno większym pedantem niż Alicja. Szkoda tylko, że nie układał jej rzeczy na półkach w szafie. Chociaż... Szukała kiedyś czarnego biustonosza, który gdzieś wsiąkł, i wreszcie w akcie rozpacz y jęknęła w kierunku krasnała: „Ratuj!”. I dziwnym trafem natychmiast znalazła zagubione *dessous*.

Wjechała windą na swoje jedenaste piętro. Pod pachą miała album, w ręce doniczkę z goździkami od pani Korolkiewiczowej. Resztę rzeczy postanowiła przenieść później, gdy przestanie padać. Teraz marzyła tylko o tym, żeby się wykąpać w wannie pełnej bardzo gorącej wody z pianą, a potem upić do nieprzytomności w towarzystwie gipsowego krasnała. Ten przynajmniej nie będzie jej mówił: „Alkohol nie rozwiąże twoich problemów”, „Może już dosyć, bo jutro będzie cię potwornie bolała głowa” albo: „Ty chyba zwariowałaś! Pijesz i gadasz z gipsowym krasnałem”. Po prostu sublokator idealny.

Chociaż to chyba ja jestem jego sublokatorką, bo on tu mieszkał pierwszy – pomyślała, otwierając drzwi.

Niestety, był to już kolejny od bardzo długiego czasu dzień, gdy nic nie szło po jej myśli. Ledwo odkręciła wodę w łazience, rozległ się dźwięk domofonu. Postanowiła go zignorować.

Pewnie roznosiciel ulotek, listonosz, świadkowie Jehowy albo kolejna kochanka mojego niewiernego męża – pomyślała i chlusnęła do wanny płynu do kąpieli. – Niech się idzie pobić o niego z Tanią.

Odłożyła plastikową butelkę na krawędzi wanny i zerknęła w lustro. Podkrążone oczy, oklapłe włosy, rozmazany makijaż.

– A jakby nawet pod klatką stał mężczyzna mojego życia, to lepiej żeby mnie teraz nie oglądał, bo ucieknie z krzykiem – mruknęła pod nosem.

Domofon umilkł, za to odezwała się komórka. Zakłęła pod nosem, wyszła z łazienki

i sięgnęła do torebki. Spojrzała na wyświetlacz. No tak, jej niezawodne przyjaciółki!

Zjawił się Komitet Pocieszycielski. Mogłam się domyślić, że przyjdą.

Tyle że ona nie miała teraz najmniejszej ochoty na bycie pocieszaną i podtrzymywaną na duchu. Nawet przez najlepsze koleżanki, z ich najlepszymi intencjami. Wprost przeciwnie! Chciała zdołować się maksymalnie w samotności. Zdołować i upodlić tanim winem, które kupiła w drodze do domu. Lubiła dziewczyny, ale dzisiaj chciała być sama.

Przyjaciółki zadzwoniły jeszcze kilka razy, a potem telefon umilkł. Odetchnęła z ulgą.

– Jutro do nich zadzwonię. Z samego rana – postanowiła, żeby uciszyć wyrzuty sumienia.
– To równe babki i na pewno się nie pogniewają.

Już miała wejść do wanny, gdy usłyszała, że przyszedł SMS. A potem jeszcze jeden i trzy kolejne w krótkich odstępach czasu. Westchnęła i poszła sprawdzić, kto się tak do niej dobija.

„Jak nam nie otworzysz, to wejdziemy po balkonach. Pamiętasz hotel nad jeziorem? Nie żartujemy!” – przeczytała.

Wiedziała, że to zrobią. A wtedy będzie niezłe przedstawienie dla sąsiadów. Dokładnie tak, jak na Mazurach. Swoją drogą szkoda, że wtedy nie skorzystała z propozycji policjanta, który zapraszał ją na wyprawę dookoła świata własnoręcznie zrobioną zagłówką. Ich znajomość zaczęła się od głupiego pomysłu, na który wpadły dziewczyny po jakiejś orzeźwiającej miksturze spreparowanej przez Ewę na okoliczność wyjątkowo upalnej pogody i z braku innych rozrywek w wiosce nad jeziorem. Siedziały na pomoście na przystani, moczyły nogi, popijały i wyglupiały się.

– *Śłuchajcie!* – krzyknęła nagle Karolina. – *A może byśmy tak popłynęły łódką na wyspę? O, tamtą!*

– *Super!* – podchwyciła Ewa. – *Poszukam tam sobie ziół do suszenia. Akurat wczoraj była pełnia.*

Łucja wzruszyła z politowaniem ramionami.

– *Chyba żeście do reszty powariowały albo pijane jesteście – powiedziała. – Kto wam wypożyczy łódkę? No, powiedz im coś!*

Ostatnia prośba była skierowana do Alicji.

– *A co ja mam powiedzieć tym dwóm wariatkom? – mruknęła i wzruszyła ramionami. – Przecież one nawet pływać nie umieją i kart pływackich nie mają. Kto im wypożyczy łódkę bez karty? Spokojnie.*

Karolina i Ewa spojrzały na siebie porozumiewawczo.

– *Nam nie wypożyczą? No to jeszcze zobaczycie – powiedziała Karolina. – Zaraz kogoś zapytamy. O! Tamten facet wygląda sympatycznie. Zbajeruję go!*

Zanim przyjaciółki zdołały ją powstrzymać, podeszła do młodego mężczyzny, który właśnie przycumował łódź kilka metrów od nich.

– *Dzień dobry – rzuciła z uśmiechem. – Czy mógłby nam pan pożyczyć łódkę? Chciałybyśmy popłynąć na wyspę.*

Mężczyzna spojrział na nią, potem na pozostałe dziewczyny i też się uśmiechnął.

– *A któraś z pań ma kartę pływacką? – zapytał. – Bo bez karty nie wolno.*

– *Ojejku, nic nam się nie stanie! – Karolina zamrugala kokieteryjnie rzęsami. – Przecież policja nas nie złapie.*

– *Problem polega na tym, że ja jestem policjantem i ratownikiem wodnym – powiedział mężczyzna. – I niestety, ale muszę nalegać, żeby panie nie próbowały płynąć. Tym bardziej że zapowiadają w ciągu najbliższych kilku godzin biały szkwał. Będzie niebezpiecznie nawet dla wytrawnych żeglarzy.*

Alicja dobrze znała swoje przyjaciółki i wiedziała, że łatwo nie odpuszczą. Podeszła do mężczyzny.

– Moje koleżanki nigdzie nie popłyną – zapewniła go. – Przypilnuję ich.

– Dziękuję – powiedział policjant. – Inaczej chyba musiałbym je aresztować. Oczywiście żartuję. Proszę przyjść jutro, to sam zawiozę was na wyspę. Tam jest naprawdę ładnie. Przyjdzie pani?

– Przyjdę – zgodziła się, choć sama nie wiedziała dlaczego.

Razem z Łucją doholowały Karolinę i Ewę do hotelu. Miały z nimi kłopot, bo wariatki wypily za dużo w tym upale i uparły się, że wejdą do pokoju po balkonach. Niewiele brakowało, a wyrzuciliby je z hotelu.

Następnego dnia Karolina i Ewa leczyły kaca, a Łucja gdzieś zniknęła z samego rana. Alicja podejrzewała, że gdzieś w pobliżu zatrzymał się Grzegorz, choć umowa była taka, że jadą na babskie wakacje i nie zabierają facetów. Poszła na spotkanie z policjantem sama i wróciła nad ranem. Spotykali się przez kilka następnych dni. Dowiedziała się, że planuje rejs dookoła świata. Zapytał, czy nie popłynęłaby z nim. A ona przestraszyła się i na kolejne spotkanie już nie poszła. Wróciła pierwszym pociągami do domu.

Do Pawła. No i po co? – pomyślała. – Chyba po to, żeby po kilku latach miał okazję zdradzić mnie z Tanią.

Założyła szlafrok i wyszła na balkon. Deszcz przestał już padać. Przechyliła się przez barierkę i zobaczyła trzy małe figurki, które podskakiwały na trawniku, wymachiwały rękami i coś wykrzykiwały. Do Alicji na jedenaste piętro ich głosy nie docierały, ale na niższych piętrach ludzie zaczęli wychodzić na balkony.

Zaraz ktoś wezwie policję – pomyślała Alicja i zamachała rękami, dając znak przyjaciółkom, żeby weszły na górę. – I niekoniecznie będzie to miły posterunkowy z małego miasteczka na Mazurach.

Po kilku minutach rozchichotane dziewczyny załomotały do drzwi.

– Gipsowy! Mamy gości! Załóż coś na siebie – powiedziała do krasnala i otworzyła drzwi.

– A gdzie masz graty? – Ewa rozejrzała się wokoło. – Przecież mówiłaś, że dzisiaj jedziesz do Malinówki.

– Zostawiłam w bagażniku – odpowiedziała Alicja. – Łało strasznie jak wróciłam i nie chciało mi się moknąć.

– Spoko! – krzyknęła Łucja. – Zaraz ci to wszystko przytargamy na górę i pomożemy rozpakować. Nie możesz żyć w takim chaosie. Mam nadzieję, że nie zgubiłaś tego kalendarza, który ci kupiłam? Gdzie są kluczyki od Czarownicy? O, mam! Lecimy, dziewczyny. Ruchy, ruchy!

Zanim Alicja zdążyła cokolwiek powiedzieć, przyjaciółki wybiegły z mieszkania i wskoczyły do windy, która jeszcze stała na jedenastym piętrze. Gdy wróciły, każda z nich dźwigała wielki niebieski toból.

– Dlaczego ty to wszystko spakowałaś w śmieciowe worki? – wysapała Karolina. – Nie miałaś walizek?

– Trzeba było powiedzieć. – Łucja rzuciła swój ładunek na podłogę. – W szafie w przedpokoju jest chyba z dziesięć. Mogłaś sobie wziąć. A jakbyś chciała, to bym ci jeszcze pięć przywiozła z domu.

– Jak przyjechałam, to już wszystko było spakowane – powiedziała Alicja.

– W worki cię spakował? Cham jeden i palant wyjątkowy! – krzyknęła Łucja.

Alicja kiwnęła głową. Dziewczyny stosownie się oburzyły i w ramach kobiecej solidarności wylały na Pawła wiadro pomyj. I drugie na jego kochankę. Postanowiły też zaopiekować się przyjaciółką po ciężkich przejściach. Okazało się, że oprócz alkoholu przyniosły masę jedzenia i teraz postanowiły zmusić Alicję, żeby coś przełknęła.

– Nie jestem głodna – zaprotestowała.

– A jadłaś coś dzisiaj? – zapytała Łucja.

– Herbatniki jadłam u pani Korolkiewiczowej – odpowiedziała zgodnie z prawdą.

– Dużo? – dociekała Ewa.

– Jeden chyba – przyznała. – Nie, dwa. Tak, na pewno dwa.

– I coś jeszcze? – Łucja drażyła temat.

– Herbatę piłam – przypomniała sobie. – Pyszna była.

– Ale bez cukru, bo nie słodysz. Rewelacja! Przecież ty się niedługo anemii nabawisz i szkorbutu – krzyknęła Karolina. – Zresztą nie możesz pić tak na pusty żołądek, bo zaraz będziesz napruta jak Zenkowa koparka.

Alicja już chciała odpowiedzieć, że dokładnie o to jej chodzi. Że zanim przyszły, zamierzała wypić butelkę albo nawet dwie taniego wina. Tyle, ile będzie potrzeba, żeby jej się film urwał choć na parę godzin. Ale w końcu machnęła ręką, bo wiedziała dobrze, że przyjaciółki nie odpuszczą, i zjadła posłusznie dwie kanapki tak obłożone różnymi składnikami, że ledwo mieściły jej się w ustach.

– A co z twoją pracą? – zapytała Ewa, wystawiając głowę z kuchni. – Masz coś na oku?

Alicja wzruszyła ramionami.

– Chyba wrócę na stare śmieci. To znaczy do restauracji – powiedziała po dłuższej chwili, której potrzebowała na przełknięcie dużego kęsa chleba. – W końcu jak odchodziłam, to w hotelu namawiali mnie, żebym jeszcze to przemyślała. Może nie znaleźli jeszcze nikogo na moje miejsce. Pojadę tam jutro z samego rana.

Nagle przyszłość zaczęła wyglądać dużo lepiej, niż wydawało jej się jeszcze dwie godziny wcześniej, gdy z dobytkiem spakowanym przez niewiernego męża (albo jego kochankę) w foliowe worki na śmieci wracała w strugach deszczu do wynajętej od przyjaciółki kawalerki.

– Wszystko na pewno się ułoży – powiedziała i sięgnęła po kolejną kanapkę, bo nagle poczuła się potwornie głodna. – Przecież gorzej już być nie może. Męża nie mam, domu nie mam... Nic nie mam!

– Napij się. – Ewa podała jej wysoką szklankę.

– Co to jest? – zapytała podejrzliwie Karolina. Wyjęła szklankę z rąk Alicji, powąchała podejrzliwie i odstawiła na stolik. – Wolę zapytać, bo ty masz czasami dziwaczne pomysły z tym mieszanym. Co to było ostatnio, Łucja? No, to po czym rzygałaś trzy dni jak kot?

– Chyba wódka i sok z kiszonych ogórków – odpowiedziała zagadnięta przyjaciółka i na samo wspomnienie pozieleniała na twarzy.

– Wódka, sok z kiszonej kapusty, sok z marchwi i curry – sprecyzowała urażona Ewa. – Ten drink nazywa się „Latający Holender”. Bardzo popularny teraz w Stanach.

– Nazwa bardzo adekwatna do skutków, jakie wywołuje. Żołądek mi latał tam i z powrotem – stwierdziła ironicznie Łucja.

– Nie znacie się. – Ewa wzruszyła ramionami. – Barmani na całym świecie codziennie wymyślają nowe drinki albo modyfikują te, które wymyślił ktoś inny. To normalna sprawa.

Przysłuchując się tej wymianie zdań, która w przypadku jej przyjaciółek była standardem, przypomniała sobie, jak zobaczyła je po raz pierwszy. To było pierwszego dnia w liceum.

Biegła przez park. W pewnej chwili spojrzała na zegarek i zaklęła tak głośno, że nobliwy

staruszek w garniturze i muszce, który siedział na ławce, podskoczył i spojrzał na nią z oburzeniem.

Ciekawe, jak on by się zachował, gdyby spóźnił się pierwszego dnia do nowej szkoły – pomyślała.

Wszystko przez te parszywe pantofle. Najpierw nie mogła ich znaleźć, a później okazało się, że w jednym złamał się obcas. Złamał się trzy tygodnie temu na krzywych płytach chodnikowych. Nawet miała zanieść buty do szewca, ale oczywiście zapomniała. Najpierw przez pół godziny usiłowała przykleić ten obcas. Na koniec cisnęła ze złością buty do kosza i założyła trampki.

– Przepraszam. Czy wie pan może, która jest godzina? – zapytała.

Miała nadzieję, że jej zegarek się spieszy i jednak zdąży na pierwszą lekcję. Komórka jej się rozładowała, a zegar na wieży ratusza pokazywał godzinę siódmą dwadzieścia siedem od czasu, gdy trafiła go bomba podczas nalotów we wrześniu 1939 roku. Nikt go nie naprawił, bo ta sama bomba zabiła jedyne zegarmistrza, który potrafił obsługiwać ten mechanizm.

Staruszek podniósł rękę, odchylił rękaw i jak nie bluznął! Alicja aż otworzyła usta ze zdumienia.

– Ukradli mi zegarek! – wrzasnął nobliwy starszy pan między jedną a drugą falą przekleństw, po czym zerwał się z ławki i wygrażając pięścią hipotetycznym złodziejom, popędził w kierunku przystanku autobusowego.

Alicja przez chwilę patrzyła za nim, a potem westchnęła i ruszyła szybko w stronę szkoły. Miała dużo szczęścia, bo nauczyciel się spóźnił i lekcja jeszcze się nie zaczęła. Usiadła na schodach obok wysokiej blondynki, która zawzięcie wertowała kalendarz.

– Dodali nam angielski na ostatniej lekcji. Nie zdążę – jęknęła.

– A co, też idziesz na pokaz robienia koktajli w tym nowym barze mlecznym przy dworcu? – zapytała niska szatynka.

– Nie, skąd! – odpowiedziała zdziwiona blondynka. – Ale ja mam rozplanowany cały dzień.

– Tu jest fatalna aura – wtrąciła się trzecia dziewczyna, pulchna mysia blondynka. – Dobrze, że jest jeszcze trochę czasu.

Wyciągnęła z kieszeni jakiś woreczek i rozwiązała go. Po korytarzu rozniósł się zapach ziół. Dziewczyna rozsypała zawartość woreczka w kątach. W ten sposób Alicja poznała Łucję, Karolinę i Ewę. A staruszek z parku okazał się spóźnionym nauczycielem historii.

Sięgnęła po szklankę i wypila duszkiem połowę.

– Matko jedyna! Mówiłam, żebyś tego nie piła, zanim ta wariatka nie powie nam, co tam namieszała – krzyknęła Karolina. – A najlepiej zanim sama nie wypije.

– Ale to całkiem smaczne! – Alicja ujęła się za Ewą. – Naprawdę.

Wychyliła resztę drinka i zaczęła chichotać jak szalona.

– Coś ty jej dała do picia? Gadaj zaraz! I jak się to nazywa? – zażądała Łucja.

– Chcę jeszcze – oznajmiła Alicja. Wybuchła głośnym śmiechem i wybiegła na balkon. – Dajcie mi jeszcze pić!

– Ale jazda – jęknęła Łucja.

Wciągnęła przyjaciółkę do mieszkania, bo ta zamierzała właśnie wejść na wąską barierkę, nie przejmując się zupełnie tym, że balkon wisi kilkadziesiąt metrów na ziemi. O dziwo, na trzeźwo Alicja twierdziła, że ma lęk wysokości i bała się wejść nawet na krzesło.

– Natychmiast mów, co jej dałaś – zażądała Karolina i wycelowała palec w Ewę. – Może trzeba wezwać pogotowie, żeby ją zabrali i odtruli?

– Nie przesadzajcie. – Ewa wzruszyła ramionami.
– Albo powiesz, coś namieszała, albo dzwonię do szpitala – stwierdziła stanowczo Łucja, której mąż był ratownikiem medycznym. – Rany boskie, gdzie ona znowu polazła?

Przyjaciółki rzuciły się za Alicją i dopadły ją w łazience. Właśnie zamierzała wejść do wanny w ubraniu.

– To była tylko wódka z sokiem – tłumaczyła się Ewa.

– Jaka wódka? – dociekała Karolina.

– Stała w szafce w kuchni. Chyba się nie przeterminowała? – broniła się Ewa. – Wódka się przecież nie może przeterminować. Sok też znalazłam w kuchni.

– O Boże! – krzyknęła przerażona Łucja. – Ostatnio Grzesiek czyścił tu coś denaturatem, zakrętka mu wpadła pod szafkę i przelał do pustej butelki po wódce. Otrułaś ją denaturatem, ty wariatko? Mów zaraz, bo cię uduszę!

– No co ty? – przeraziła się Ewa. – Przecież denaturat jest fioletowy, a to było białe. Na pewno było białe.

– Teraz robią biały denaturat! – stwierdziła Łucja.

– A po co? – zdziwiła się Ewa.

– Nie mam pojęcia. Może żeby menele nie wpadali w kompleksy, jak piją denaturat pod śmietnikiem? – zastanawiała się Karolina.

– Przestańcie wreszcie wygadywać głupoty – zdenerwowała się Łucja. – Karolina, miej oko na Alę, żeby nie zrobiła czegoś głupiego. Ja lecę sprawdzić, co ta wariatka dała do picia drugiej wariatce. A ty idziesz ze mną. – Pokiwała palcem na Ewę. – Pokażesz mi, skąd wzięłaś tę wódkę i sok.

Po chwili wróciły i Łucja rzuciła się z ulgą na fotel.

– Masz szczęście – powiedziała do Ewy, która z obrażoną miną stała w drzwiach kuchni.

– To naprawdę była wódka.

– No właśnie. A ty się czepiasz! – Przyjaciółka wzruszyła ramionami. – Wódka zwyczajna, sok z kaktusa, dużo zielonego pieprzu, papryki i oregano.

– Ten pieprz, oregano i papryka też były w przepisie? – zapytała podejrzliwie Łucja.

– No nie – przyznała Ewa. – To dodałam sama z siebie. Chciałam zmodyfikować.

– No i mamy skutki tych twoich modyfikacji. – Łucja pokazała na Alicję, która spała pod kocem na kanapie i przez sen na zmianę wymachiwała rękami i chichotała jak szalona. – Wesoła rozwódka.

– Świetna nazwa drinka – ucieszyła się Ewa. – Dzięki. Zaraz to sobie gdzieś zapiszę i wyślę na konkurs dla barmanów. Do jutra przyjmują zgłoszenia.

Alicja usiadła na łóżku, zaniósła się śmiechem, a potem upadła na poduszkę i zachrapała głośno.

ROZDZIAŁ II

MEŹCZYŹNI, PIEKŁO WAS STWORZYŁO, ŻE NIE MA MIEJSCA, GDZIE BY WAS NIE BYŁO

Następnego dnia Alicja obudziła się z potwornym bólem głowy. Próba przypomnienia sobie wydarzeń poprzedniego wieczoru wydatnie spotęgowała wrażenie dudnienia i łupania pod czaszką. Gdy zwlekła się na czworakach z łóżka, znalazła przyklejoną do gipsowego krasnala kartkę wyrwaną z kalendarza Łucji z napisaną jej ręką wiadomością: „Trzymaj się, nasza wesoła rozwódka. Zadzwonimy do ciebie wieczorem. W lodówce masz kefir na kaca. Kupiliśmy w nocnym sklepie”.

– No tak, dziewczyny były. Czy ja coś piłam? O matko! Nic nie pamiętam. Gipsowy! Ratuj!

Ale krasnal jakoś nie wykazał zrozumienia dla jej ciężkiego stanu. Pokazała mu język i ruszyła powoli do łazienki.

– Moim zdaniem na kaca najlepszy jest sok z ogórków kiszonych – usłyszała nagle za swoimi plecami.

Wrzasnęła i podskoczyła z przerażenia.

Stało się! Zwariowałam i Gipsowy do mnie przemówił – pomyślała i powoli się odwróciła.

Spojrzała na figurę w kącie pokoju. Krasnal stał tam, gdzie zawsze, i nie wyglądało na to, żeby ożył. Trochę się uspokoiła.

– Zdawało mi się. Pewnie to od tego bólu głowy – wytłumaczyła sobie i znowu ruszyła do łazienki.

– Albo z kiszonej kapusty. Ale nie wiem, czy pani to ma w lodówce. Bo musi być zimny – usłyszała znowu.

A jednak zwariowała. Paweł miał rację.

– Tutaj jestem – odezwał się znowu głos. – Za oknem.

Podeszła ostrożnie i odchyliła firankę. Za drzwiami prowadzącymi na balkon stał jakiś

facet w roboczych ciuchach.

– Co pan tu robi? – zapytała przestraszona.

– Blok będziemy ocieplać – wyjaśnił mężczyzna.

– Jak to „będziecie”? – zapytała ze zdziwieniem i skrzywiła się, bo znowu łupnęło jej w głowie.

Rozejrzała się po balkonie, ale nikogo innego nie zobaczyła.

– No, ja z kolegami – powiedział nieznajomy. – Koledzy mnie tu wciągnęli. Wie pani, windą. A sami robią niżej. Na kaca najlepszy ten sok z ogórków. A potem gorąca kawa, bo coś dzisiaj zimno. Wiesiek jestem.

– Alicja – odpowiedziała odruchowo.

Faktycznie, poczuła powiew powietrza i zadrżała z zimna. Owinęła się szczelnie szlafrokiem.

– Ładnego ma pani krasnala. – Nowy znajomy pokazał na Gipsowego. – A zna pani ten dowcip? Przychodzi krasnoludek do apteki i pyta: „Czy jest aspiryna?”. Farmaceutka na to: „Jest. Zapakować?”. „Nie, potoczę”. Dobrze?

– Świetne, naprawdę świetne – odpowiedziała Alicja. – Nie będę już panu przeszkadzała.

Przymknęła drzwi i pomaszerowała do łazienki. Przez drzwi przeszła bardzo ostrożnie. Miała wrażenie, że ma strasznie wielką, pulsującą głowę, i bała się, że zahaczy nią o futrynę. Na dodatek mdliło ją od dziwnego zapachu. Po kąpeli mogła już normalnie wrócić do pokoju, choć wrażenie łupania nie ustępowało. Otworzyła szerzej drzwi balkonowe, żeby wpuścić więcej świeżego powietrza. Wieśka na balkonie nie było.

Pewnie go koledzy ściągnęli, jak byłam w wannie – pomyślała. – Wie pani, windą.

Po kąpeli doszła trochę do siebie i wróciły wspomnienia z poprzedniego wieczoru. Już wiedziała, jak niebieskie worki przywędrowały z samochodu na jedenaste piętro. Przypomniała też sobie, że to Karolina okadziła jej całe mieszkanie, żeby odczynić złe uroki. Pewnie głowa bolała ją nie tylko od alkoholu, ale również od tych ziołowych mieszanek.

Zajrzała do lodówki i oprócz kefiru odkryła tam butelkę z wódką i kartonik soku z kaktusa. Gdy spróbowała sobie przypomnieć, czy kupowała to poprzedniego dnia, coś ostrzegawczo zapulsowało w potylicy. Postanowiła na wszelki wypadek zrezygnować tymczasem z jakichkolwiek wysiłków umysłowych i wstawiła wodę na kawę. Po dwóch kawach i dwóch kubkach kefiru uznała, że wraca do świata żywych. Koło jedenastej wzięła jeszcze jedną kąpiel, wypila trzecią kawę i zjadła kilka herbatników.

– Czy to ja je kupiłam? Nie mogę sobie przypomnieć. – Skrzywiła się.

Ponieważ zbyt długie rozważanie dylematu herbatnikowego groziło nawrotem bólu głowy, zdecydowała, że lepiej będzie, jak pojedzie do swojej starej pracy i odwiedzi dawną szefową. A przy okazji załatwi swoją sprawę.

– No to jeszcze mały teścik – mruknęła i sięgnęła po gazetę z poprzedniego dnia. – Jak uda mi się zrozumieć, co tu napisali, to znaczy, że mogę wyjść do ludzi.

Przekartkowała gazetę w poszukiwaniu rubryki policyjnej. Zawsze pociągała ją mroczna strona ludzkiej natury. Tym razem opisywano historię faceta, który zdefraudował jakąś niewiarygodną sumę z kasy firmy i teraz się ukrywa. Nawet zdjęcie zamieścili, chociaż tak niewyraźne, że mógł być na nim każdy.

– Nawet mój były mąż – zachichotała. Przyjrzała się uważniej fotografii. – Nie, to chyba jednak nie Paweł. Za niski, za gruby, za stary. A szkoda! Tania by mu paczki do więzienia woziła. No to jadę!

Zaparkowała Czarownicę w garażu podziemnym i wjechała windą do hotelu, gdzie jeszcze niedawno pracowała w restauracji.

– Ala! – krzyknęła na jej widok recepcjonistka Magda. – Super, że do nas wpadłaś. Chciałaś spojrzeć na stare śmieci? Szczęściara jesteś, że już nie musisz tu kiblować przez osiem godzin dziennie albo dłużej. W tym tygodniu przeważnie dłużej.

Alicja mruknęła coś w odpowiedzi. Nie miała ochoty tłumaczyć się niespecjalnie lubianej koleżance z sytuacji, w której się znalazła. W końcu kilka miesięcy wcześniej opuszczała hotel odprowadzana zazdrosnymi spojrzeniami. Z punktu widzenia tych, którzy tu zostawali, ona odniosła wielki życiowy sukces. Właśnie przeprowadzała się do nowo wybudowanego domu, miała przystojnego i dobrze zarabiającego męża. Planowali jak najszybciej powiększyć rodzinę. Po prostu cud, miód, orzeszki i los wygrany na loterii. Szkoda, że ten los okazał się fałszywy.

– Nie wiesz, czy Baśka jest u siebie? – zapytała, mając na myśli Barbarę Nowik, swoją bliską koleżankę i do niedawna szefową.

– Chyba tak – odpowiedziała Magda. – Widziałam, jak jakieś dziesięć minut temu wracała z magazynu. Zadzwoń do niej?

– Nie, nie. Sama tam zajrzę. Chyba jeszcze trafię – roześmiała się Alicja.

– No, u nas akurat nic się nie zmienia. Ciągłe siedzimy na tych samych starych stołkach. Nie to, co ty. A wiesz, że Iwona, ta z finansowego, zwolniła się i wyjechała do Irlandii? Poznała jakiegoś Irlandczyka w necie i do niego pojechała. Irlandczycy są podobno potwornie skąpi – paplała koleżanka.

– Nie, to Szkoci – poprawiła ją odruchowo Alicja.

– Co Szkoci? – nie rozumiała Magda.

– No, Szkoci są chorobliwie skąpi – wyjaśniła. – Chociaż to nieprawda. Znam osobiście Szkota, który wcale nie jest skąpy.

– A może to był Szkot? – Magda wzruszyła ramionami. – W sumie wszystko jedno.

W tym samym momencie zadzwonił telefon i recepcjonistka musiała odebrać. To był jakiś gość, który miał u nich rezerwację, ale nie wiedział, jak trafić do hotelu. Alicja skorzystała z okazji, żeby uniknąć dalszej dyskusji wokół stereotypów na temat mieszkańców Wielkiej Brytanii, i ruszyła korytarzem do restauracji. Tą samą trasą, którą jeszcze kilka miesięcy wcześniej pokonywała kilka razy dziennie. Nagle usłyszała jakieś głosy z bocznego korytarza. Poznała, że to dwóch facetów z zaopatrzenia. Nie miała ochoty się z nimi spotkać, więc przyspieszyła kroku i szybko zapukała do służbowych drzwi do restauracji.

– Proszę – rozległ się ze środka znajomy głos. – No, rusz się, krowo!

Alicja uchyliła drzwi i zajrzała ostrożnie do środka.

– Wchodź, wchodź. Ta krowa to nie do ciebie, tylko do niej. – Dawna szefowa kopnęła stojącą w kącie maszynę. – Fajnie, że zajrzałaś. Akurat mam luz, bo gości dzisiaj mało. Mieli przyjechać jacyś Japończycy, ale przełożyli, bo im wulkan wybuchł.

– Ciągłe nie dostałaś tej nowej zmywarki? – Alicja zdziwiła się. – Przecież już pół roku temu obiecali nam nową.

– Obiecali, obiecali! – Baśka pokiwała głową i walnęła pięścią w odporne urządzenie, które najpierw warknęło głośno, jakby chciało ją ugryźć w rękę, a potem zamruczało potulnie i zaczęło zmywać. – Już nie pamiętasz, jak to jest z ich obietnicami?

– Jasne, że pamiętam. Tak samo obiecywali nowy grill elektryczny – odpowiedziała Alicja i rozejrzała się po pokoju. – Dostałyśmy dopiero, jak stary trup zrobił zwarcie i w całym hotelu prądu nie było przez godzinę.

– Nie daliby, gdyby wiceprezes nie utknął wtedy w windzie z główną księgową. – Baśka roześmiała się na samo wspomnienie. – Swoją drogą, do dzisiaj się zastanawiam, co ona mu w tej windzie zrobiła. Nie mam pomysłu, ale to musiało być coś strasznego, bo jak tylko wysiadł, to poleciał podpisać nasze zlecenie. Z tą zmywarką też by jakoś tak trzeba...

– A w ogóle, to co tu u was ciekawego? – zapytała Alicja.
– Posadzili mi tu jakąś młodą. Podobno mam ją przyuczać – powiedziała Baśka.
– Dlaczego podobno?
– Bo jakoś rzadko ją widuję. – Dawna szefowa wzruszyła ramionami. – Bez przerwy gdzieś lata. Lunch, kawa, jakieś zakupy... Albo musi wcześniej wyjść, bo to czy śmo.
– I co? Wice na to pozwala? Nas zawsze ścigał, jak się pięć minut spóźniłyśmy. Złagodniał na starość? – zainteresowała się Alicja.
– Bynajmniej. Nadal z zegarkiem w rękę pilnuje, żebyśmy przypadkiem kanapki nie jadły pięć minut dłużej, niż przewiduje przyznana nam przez niego łaskawie przerwa na posiłek – mruknęła koleżanka z przekąsem. – Znasz te klimaty. No, ale to nie dotyczy Izy.
– Aha – powiedziała Alicja znaczącym tonem.
– No właśnie „aha”. – Baśka pokiwała głową. – A ja muszę za nią odwalać robotę. Zmywarkę też ona miała załadować. No, nareszcie ruszyła, krowa jedna. Podaj mi kawę, to zrobię dla nas. Jest tam, gdzie zawsze.
Alicja wstała i sięgnęła do szafki.
– Nie ma – odpowiedziała.
– A żeby ją pokręciło! – warknęła Baśka. – Nie dość, że bzdziągwa jedna nic nie robi, to jeszcze mi tu bałagani. Bez przerwy coś przestawia albo myli pudełka. Kartki jej wielkie i kolorowe poprzyklejałam na pojemnikach, a i tak kotlety wypanierowała w soli zamiast w mące. Sprawdź w drugiej szafce.
Alicja zerknęła we wskazane miejsce.
– Kurza stopa! – wykrztusiła oszołomiona i podniosła wysoko słoik z zielonym proszkiem. – Co to jest?
Była pewna, że już to gdzieś widziała. Wreszcie przypomniała sobie, że informatycy w firmie Pawła wyhodowali podobną formę życia w szklankach z herbatą, których nie myli przez pół roku. Baśka spojrzała przez ramię.
– A, to! Spirulina – odpowiedziała. – Jakieś glony takie chyba. Iza to dodaje do żarcia. Podobno bardzo zdrowe. Białko czy coś. Wiesz, że ja nie jestem fanką zdrowej żywności.
– Białko nie białko, ale dlaczego tak śmierdzi? – Alicja skrzywiła się i szybko zakręciła słoik.
– Musi śmierdzieć. Wszystko, co jest zdrowe, śmierdzi. Wątróbka na przykład, albo cebula – stwierdziła Baśka.
– To śmierdzi dużo bardziej niż wątróbka do kupy z kupą cebuli – zawyrokowała Alicja i na wszelki wypadek odsunęła się od szafki. Bała się, że przesiąknie tym koszmarnym smrodem.
– Tobie to nie przeszkadza?
– Teraz akurat nie – odpowiedziała Baśka. – Mam alergię i okropny katar. Jak mi przejdzie, to wyrzucę Izę razem z jej słoikiem przez okno. A tak w ogóle, to co ty tu robisz? Nudzisz się w swoim pięknym nowym domu z przystojnym mężem?
– Można to tak określić – odpowiedziała Alicja. – Myślisz, że by mnie przyjęli z powrotem? Szukam roboty.
Baśka, która akurat zamykała szufladę, spojrzała na nią ze zdumieniem i przycięła sobie palec.
– Aa! Niezły dowcip. – Obejrzała kciuk. – Ty tu już na szczęście nie musisz pokutować za winy niepopelnione. Masz męża, willę pod miastem... Możecie uprawiać seks piętnaście razy dziennie. I nocnie oczywiście też.
– Męża to już właściwie nie mam – odpowiedziała była podwładna. – Seksu w związku z tym też zresztą nie. Ja się na ONS nie nadaję.

– Na co? – Baśka uniosła ze zdumienia brwi.

– *One Night Stand* – wyjaśniła Alicja.

– Aha... – koleżanka pokiwała ze zrozumieniem głową i przyjrzała jej się uważnie.

Na szczęście nie zadawała więcej pytań, na które Alicja nie miała najmniejszej ochoty odpowiadać. A niestety zadawali je niemal wszyscy. I może właśnie ten brak ciekawości ze strony Baśki sprawił, że nieindagowana, opowiedziała jej całą historię z Tanią.

– No, to jakby zmienia postać rzeczy – powiedziała Baśka. – Chcesz tu wrócić?

– To było pierwsze i jak na razie jedyne, co przyszło mi do głowy. – Alicja wzruszyła ramionami. – Myślisz, że przyjmą mnie z powrotem?

– Pewnie, że tak. Będzie z ciebie większy pożytek niż z tej całej Izy. Ona nawet wody na herbatę nie umie zagotować – stwierdziła dawna szefowa.

– Nie mów! – Alicja parsknęła śmiechem.

– No raczej. Ostatnio zapomniała włączyć wodę do elektrycznego czajnika. A że on bez wody się nie włącza, to zablokowała włącznik łyżką. No i się czajnik sfajczył. – Baśka zachichotała. – Może powinni jej przydzielić specjalne stanowisko „materac wice”. Nie musiałabym się z nią użerać.

W tym samym momencie drzwi otworzyły się i weszła wysoka brunetka.

„Słyszała?” – Baśka spojrzała wymownie na Alicję.

„Pojęcia nie mam” – odpowiedziała w ten sam sposób Alicja.

Okazało się, że jak najbardziej słyszała...

– Mówiłyście coś o materacu? – zapytała.

Alicja zdusiła śmiech.

– Właśnie kupiłam sobie nowy materac, który nazywa się „materac wice” – powiedziała.

– Bardzo wygodny. Polecam z całego serca.

– Naprawdę? – zainteresowała się Iza, sięgając do szafki. – Vice przez „w” czy przez „v”?

– Naprawdę, przez „w” – odpowiedziała Alicja i zdębiała, bo nowa pracownica wyciągnęła słoik ze śmierdzącym zielonym proszkiem.

Przeżona patrzyła, jak nowa podwładna Baśki miesza to z wodą i... wypija bez mrugnięcia okiem.

Matko jedyna! – jęknęła w duchy ze zgrozy i podziwu.

Patrzyła przez chwilę, czy Iza nie zamieni się w galaretowatego, mackowatego potwora z filmów science fiction, ale ku jej wielkiemu zdumieniu nic takiego się nie wydarzyło.

– Bo ja właśnie chciałam sobie kupić jakiś wygodny materac – kontynuowała Iza. – Powiedz jeszcze raz, jak on się dokładnie nazywa?

– Materac wice – odpowiedziała z kamienną miną Alicja. – Przez „w”.

– A gdzie można taki kupić? – chciała wiedzieć Iza.

– Na allegro wpisz i od razu powinno wyskoczyć – poradziła jej życzliwie. – No, to ja się zwijam. Może zajrzę jeszcze do szefa. Do zobaczenia.

– Do szybkiego – odpowiedziała Baśka i mrugnęła do niej porozumiewawczo.

Alicja wyszła na korytarz. Wice, który zajmował się w hotelu sprawami kadrowymi, urzędował po przeciwnej stronie korytarza za szklaną szybą. Pamiętała, że gdy ją zamontowano, wszyscy zachwycali się, że tak idealnie wykonana, taka gładka i że jej w ogóle nie widać. Zachwyt trwał, dopóki na zamknięte drzwi nie wpadła sekretarka prezesa z gorącą kawą. Następnego dnia zjawili się panowie w szarych kombinezonach z niebieskim napisem „Welt aus Glas”, zainkasowali dwa tysiące złotych gotówką i nakleili na drzwiach logo hotelu.

Zapukała do drzwi z napisem „Sekretariat”.

– Mogę zobaczyć się z wiceprezesem? – zapytała.

– Ala! Super, że jesteś. Nie ma go w gabinecie. Gdzieś lata od rana, a ja go pilnie potrzebuję – powiedziała pulchna Marta, sekretarka.

W tej samej chwili drzwi otworzyły się i do środka wszedł wiceprezes.

– Kogo ja tu widzę? – krzyknął na widok Alicji. – Przyszłaś nas odwiedzić? To miło.

– Właściwie to mam pewną sprawę. – Postanowiła od razu przejść do rzeczy, żeby później nie zabrakło jej odwagi.

– Kadry coś pokręciły z papierami przy zwolnieniu? Zaraz do nich zadzwonię – powiedział i udał, że grozi palcem komuś za ścianą.

– Nie, z papierami wszystko było w porządku. Ale... – spojrzała na sekretarkę, która pozornie pochłonięta pracą, w rzeczywistości chłonęła każde słowo z ich rozmowy. – Czy moglibyśmy porozmawiać?

– Oczywiście, oczywiście. Wejdz. – Otworzył drzwi do swojego gabinetu. – Marta! Zadzwon do kadr. Niech mi przysła te papiery, o których im mówię od wczoraj. Muszę je mieć najpóźniej za godzinę.

Zamknął drzwi i usiadł za biurkiem. Alicji pokazał krzesło po drugiej stronie. Gdy usiadła, spojrzał na nią pytająco, a potem mało dyskretnie zerknął na zegarek.

– Czy mogę wrócić? – zapytała.

– Gdzie wrócić? – Nie zrozumiał.

– Do pracy – powiedziała Alicja. – Jak odchodziłam, to prezes Olszowy namawiał mnie, żebym wycofała prośbę o zwolnienie.

Mężczyzna odchylił się na fotelu i wpatrywał się w nią przez chwilę.

– Byłoby świetnie, gdybyś z nami pracowała – powiedział w końcu.

Alicja odetchnęła z ulgą. Wszystko zaczęło się dobrze układać. Musi wieczorem zadzwonić do dziewczyn. Może zrobią jakąś imprezkę. Nie, lepiej nie imprezkę.

– Niestety, nie mogę cię przyjąć z powrotem – kontynuował wiceszef. – Takie są zasady firmy. Jeśli ktoś odszedł, nie przyjmujemy go z powrotem. Naprawdę, uwierz, że gdyby to zależało ode mnie... No, ale nie zależy. Jesteś dobra, naprawdę dobra, i na pewno coś szybko znajdziesz.

– Tak, rozumiem. Dziękuję – odpowiedziała i podniosła się z krzesła.

ROZDZIAŁ III

CZY JEST PANI SŁYNNĄ WŁAMYWACZKĄ?

Marzyła tylko o tym, żeby jak najszybciej wyjść z hotelu, dotrzeć do domu i wypić duszkiem wódkę, którą znalazła rano w lodówce. Na szczęście tym razem nikt jej nie przeszkodzi. Tak się zagłębiła w rozmyślaniach nad własnym spapranych koncertowo życiem, że odruchowo pojechała prosto do... Malinówki. Najwidoczniej włączył jej się autopilot. Nic dziwnego, w końcu jeszcze do niedawna pokonywała tę drogę dwa razy dziennie, a zdarzało się, że i częściej.

W pierwszej chwili miała zamiar zawrócić, ale tuż za nią w wąską, ślepo zakończoną uliczkę wjechała wielka śmieciara. Jedyne, co jej pozostało, to skręcić w otwartą bramę starego, pustego domu. Czekając, aż śmieciarze opróżnią kontenery, przytupywała z nudów i dla zabicia czasu przyglądała się ruderze. Wiedziała, jak wygląda w środku, bo kiedyś namówiła Pawła, żeby się tam zakradli.

– No chodź! – powiedziała. – Zajrzemy tylko na chwilę i zaraz wyjdziemy. Bardzo lubię takie stare domy. Chciałabym, żeby nasz też już był stary.

– Chyba zwariowałaś. A co będzie, jak przyjedzie któryś z właścicieli? – Paweł wyraźnie nie miał ochoty na penetrowanie, jak ją obrazowo określił, „zapleśniałej nory”.

– Przecież to środek tygodnia. Nikt tu nigdy nie przyjeżdża poza weekendami – przypomniała mu. – Tylko na momencik. No chodź, Papuś!

Tym „Papusiem” zawsze go rozczulala. Tym razem też się udało. Z oporami, ale w końcu poszedł za nią. Uchyliła skrzypiące drzwi i weszła do wnętrza pełnego pajęczyn i kurzu. To było tak, jakby cofnęła się w czasie. Zafascynowana dotykała ostrożnie ścian i mebli. Miała wrażenie, że stoją za nią duchy dawnych właścicieli. Gdyby tylko potrafiła się odwrócić na tyle szybko, żeby nie zdążyli się ukryć!

– Możemy już iść? – zniecierpliwiony Paweł rozglądał się wokół, jakby spodziewał się, że zaraz wpadnie policja i aresztuje ich za włamanie.

– Jeszcze sekundę – zapewniła go i zajrzała do szafki w kuchni.

Stał tam stary ręczny młynek do kawy, a pod nim leżał zniszczony album na zdjęcia. Podniosła młynek i chwyciła album. Przerzuciła strony wypełnione zdjęciami i w ciągu kilku minut przeżyła całe życie z bohaterami zdjęć. Na pierwszych byli młodzi, na kolejnych coraz starsi, na ostatnich już bardzo starzy. Ale na wszystkich uśmiechnięci i zakochani w sobie.

Ciekawe, czy nasz album też tak będzie wyglądał za kilkadziesiąt lat – przyszło jej do głowy.

– Nie wiem jak ty, ale ja już wychodzę – powiedział zniecierpliwiony bohater jej romantycznych wzruszeń, ruszywszy do drzwi.

Nagle usłyszeli skrzyp bramy wjazdowej i jakieś głosy.

– Nie mówiłem? – krzyknął zirytowany Paweł. – Ktoś przyjechał! Przez ciebie trafimy do aresztu. Pospiesz się! Może uda nam się jeszcze uciec przez dziurę w płocie.

Pociągnął ją za rękę i wybiegli. Zatrzymali się jakieś dwieście metrów dalej i to tylko dlatego, że Alicja dostała kolki i zbuntowała się, że nie będzie uciekać, jak nikt jej nie goni.

– A co ty tam niesiesz? – zainteresował się Paweł.

Dopiero teraz żona zorientowała się, że pod pachą ciągle trzyma młynek do kawy.

– Ukradłaś go? – Paweł uniósł brwi.

– Zabrałam, bo mnie popędzałeś i nie zdążyłam odłożyć do szafki – fuknęła.

No i musiała się jeszcze raz zakradać do starego domu, żeby oddać ten nieszczęsny młynek. Oczywiście sama, bo Paweł stanowczo odmówił kolejnej wizyty i nawet „Papuś” go nie przekonał.

– No właśnie, zdjęcia. Gdzie ja położyłam ten album, który dała mi pani Korolkiewiczowa? Chyba go nie zgubiłam? – mruknęła pod nosem. – A tak swoją drogą, to już wtedy zaczęłam się pewnie staczać. Zaczyna się od zaboru cudzego młynka, a kończy jako bezrobotna rozwódka. Może to kara za próbę kradzieży? No, ale co wtedy musiałoby spotkać taką Tanię za zabór mojego męża? Chyba biblijny potop. Na szczęście ona jest za głupia, żeby sobie arkę zbudować.

I w tej samej chwili lunęło jak z cebra. Na dodatek rozległ się grzmot, a ona potwornie bała się burzy. Chciała szybko odjechać, ale wredna Ścierka nie odpaliła.

Jeśli postoję tu jeszcze chwilę, to walnie we mnie piorun, bo tu wszędzie drzewa. I za co? Przecież ja żadnego męża nikomu nie ukradłam – pomyślała i postanowiła schować się w starym domu.

Weszła do środka i schyliła się, żeby strząsnąć wodę z włosów. Wyprostowała się i wrzasnęła ile sił w płucach, bo przez otwarte drzwi do kuchni zobaczyła obcego mężczyznę. Siedział za stołem i przyglądał jej się z zainteresowaniem..

– Przepraszam – powiedziała, gdy trochę doszła do siebie. – Myślałam, że nikogo tu nie ma.

– Zawsze pani wchodzi do domów, które wydają się pani puste? – zapytał starszy, siwy nieznajomy i uśmiechnął się. – Czy jest pani słynną włamywaczką?

– Naprawdę przepraszam – powiedziała i zrobiła krok w tył. – To ta ulewa i burza. Nie miałam gdzie się schować. Już wychodzę.

Sięgnęła do klamki i szarpnęła drzwi. Nie otworzyły się. Szarpnęła jeszcze raz. Nic! To zaczynało przypominać jakiś koszmarny sen. Tyle że nie mogła sobie przypomnieć, żeby kładła się spać!

– Te drzwi się często zacinają. Szczególnie jak na dworze jest wilgoć. Niech pani lepiej usiądzie i powie mi, co pani chciała stąd ukraść. Jestem bardzo ciekawy, bo nigdy jeszcze nie

spotkałem włamywacza, a tym bardziej włamywaczki. A jak pani będzie mówić, to ja zrobię herbatę – powiedział.

To jakiś psychol – pomyślała. – Powinam stąd wiać choćby przez okno, jak przez drzwi się nie da.

Ale ponieważ ostatnio coraz częściej zachowywała się wbrew podszeptom zdrowego rozsądku, to zamiast uciec, usiadła przy stole przykrytym spłowiałym obrusem w niebieską kratkę.

– No, to co pani chciała stąd ukraść? – zapytał jeszcze raz mężczyzna i postawił przed nią kubek, a na środku stołu dzbanek z herbatą. – Tylko proszę nie mówić, że ten niebieski porcelanowy wazon po prababce. Jest w rodzinie od czasów wojny.

– Pamiątka rodzinna. – Pokiwała głową ze zrozumieniem. – Pewnie jest pan do niego bardzo przywiązany?

– Bynajmniej – roześmiał się mężczyzna. – Nie znoszę tej starej skorupy, ale jakoś dziwnym trafem nie chce się stłuc. Miałem nadzieję, że przyszła pani ukraść to paskudztwo. Przymknąłbym na to oko i nie wzywał policji.

– A nie może pan po prostu rzucić wazonem o podłogę? – Alicja zasugerowała najprostsze jej zdaniem i najbardziej oczywiste rozwiązanie problemu. – Potłucze się i będzie pan go miał z głowy.

Mężczyzna pokręcił głową.

– Nie, to byłoby zbyt prostackie. Jak morderstwo. Bo ja, proszę pani, uważam, że przedmioty mają duszę. Nie mógłbym zamordować wazonu prababci, choć to stary rupieć. Wazon oczywiście, nie prababcia. A pani nie uważa, że przedmioty mają duszę? – zapytał.

– No, może niektóre – wyjąkała zaskoczona i pomyślała o Gipsowym. – To może pan się odwróci, a ja ukradnę wazon prababki i gdzieś go wyrzucę? – zaproponowała.

Cała ta sytuacja zaczęła ją wciągać jak dobra książka.

– Nie, to się musi wydarzyć samo – stwierdził poważnie mężczyzna. – No nic, mam nadzieję, że kiedyś się go pozbędę. Nie, proszę na niego nie patrzeć, bo się domyśli, że o nim mówimy. A więc nie jest pani włamywaczka?

– Nie – odpowiedziała, a w duchu pomyślała, że być może tylko to jej zostanie, jak nie znajdzie roboty.

– Wie pani, skąd mi to przyszło do głowy? – zapytał nieznajomy i sięgnął po gazetę.

Alicja zauważyła, że był to ten sam numer, który przeglądała rano.

– Tu jest artykuł o jakiejś seryjnej włamywaczce, która grasuje w naszym mieście – powiedział. – No, ale skoro twierdzi pani, że to nie o niej, to pozostaje mi poczekać, aż wreszcie kiedyś spotkam prawdziwego złodzieja.

– A kim pan jest? – zapytała Alicja i zdała sobie sprawę, że zabrzmiało to trochę zbyt obcesowo.

Ale mężczyzna nie wyglądał na urażonego. Raczej na zaskoczonego. Spojrzał jeszcze raz na gazetę i powiedział:

– Mam nadzieję, że mnie pani nie wyda, ale w przeciwieństwie do pani, ja jestem przestępcą. I to poszukiwanym przez policję.

Alicja zakrztusiła się herbatą i zaplula obrus w niebieską kratkę.

– Świetny żart – wyrzęziła, gdy już mogła mówić, i sięgnęła po chusteczki jednorazowe, żeby wytrzeć stół.

– To nie żart. – Nieznajomy pokiwał ze smutkiem głową. – Zostałem oskarżony o zdefraudowanie potężnej sumy z konta firmy, w której pracowałem. Teraz powiem coś, w co oczywiście pani może nie uwierzyć. Jestem niewinny. Mam nadzieję, że to koszarne

nieporozumienie się wyjaśni, zanim mnie znajdą. No, chyba że pani jeszcze dzisiaj zadzwoni na policję. To jak? Zadzwoni pani? Tu nawet podają numer.

Podał jej gazetę.

– Nie, skąd. – Alicja wzruszyła ramionami. – Gdyby pan kogoś zamordował, to pewnie tak. Nie mam oczywiście na myśli zamordowania wazonu po prababce. Ale pieniądze to zdecydowanie nie moja bajka. Z tego co czytałam, nie okradł pan sierot ani wdów, tylko konto jakiegoś wielkiego koncernu produkującego traktory i wiertarki. One chyba nie mają duszy. Naprawdę jest pan niewinny?

– Naprawdę – zarzekł się mężczyzna. – A pani naprawdę nie chciała się do mnie włączyć?

– Naprawdę – roześmiała się w odpowiedzi. – No, w każdym razie nie tym razem. Bo muszę się panu przyznać, że jestem tu już drugi raz. I za tym pierwszym razem zabrałam przez nieuwagę młynek do kawy. Ale później go podrzuciłam.

Mężczyzna odwrócił się i sięgnął do szafki.

– Ten? – zapytał.

Skinęła głową. Gospodarz wyszedł do pokoju, a po chwili wrócił i wręczył jej młynek zapakowany w foliową torbę.

– To proszę go sobie wziąć – powiedział. – Mówię zupełnie poważnie. I proszę mnie jeszcze kiedyś odwiedzić, bo czuję się tu trochę samotny. Wychodzę tylko po zmroku i jak nikogo z sąsiadów nie ma w pobliżu. O, chyba przestało padać.

Miał rację. Drzwi otworzyły się bez problemu. Ścierka też przestała stroić fochy i zapaliła po pierwszym przekręceniu kluczyka. Mogła wracać do domu.

– Z tobą to sobie jeszcze pogadam – mruknęła pod adresem kapryśnego samochodu, który w odpowiedzi wypuścił z rury wydechowej kłąb smrodliwego dymu.

Zaparkowała pod blokiem i weszła do klatki z młynkiem pod pachą. Nacisnęła na guzik windy.

– Co jest? – mruknęła po dłuższej chwili oczekiwania.

Przechyliła się, usiłując zajrzeć do szybu. No tak, ani śladu zbliżającej się windy. Łucja wspominała coś o ciągłych awariach.

– Znowu się zepsuła? – usłyszała za sobą jakiś głos.

Odwróciła się. Jakiś mężczyzna. Młody, przystojny, uśmiechnięty, wysportowany, w martensach.

O nie! – pomyślała i ruszyła ostro po schodach, jakby goniło ją stado wściekłych psów. – Żadnych facetów! Zwłaszcza przystojnych, uśmiechniętych, a przede wszystkim żadnych wysportowanych. Tacy są najgorsi.

Akurat ona wiedziała o tym najlepiej. Paweł był przystojny, zawsze uśmiechnięty (no, może w końcowym okresie ich małżeństwa już trochę mniej), trenował od lat koszykówkę, a jego ulubionymi butami były właśnie martensy. Miał ich więcej niż Alicja wszystkich butów razem wziętych.

– Żadnych przystojniaków – mruknęła pod nosem na pierwszym piętrze.

– Żadnych uśmiechniętych – wysapała na trzecim.

– Żadnych wysportowanych – wyrzęziła na piątym. – Wysportowani są niewierni. Ciekawe, czy to dotyczy tylko facetów, czy kobiet też?

Ją samą trudno było uznać za wysportowaną. Może właśnie dlatego w ich związku okazała się tą wierniejszą połową? Na szóstym piętrze czuła się tak, jakby miała wyzionąć ducha. Oparła się o ścianę obok windy. W tym samym momencie w głębi szybu coś zaskrzypiało,

zawyło i dźwig ruszył ociężale. Zjechał na dół, żeby zaraz z wysiłkiem zacząć pięć się w górę. Po chwili zatrzymał się na szóstym piętrze i ze środka wysiadł jegomość z teczką. Zdziwiony spojrzał na zdyszana, spoconą młodą kobietę i wszedł do mieszkania naprzeciwko windy. Alicja dałaby sobie głowę uciąć, że obserwował ją przez wizjer. Chwyciła drzwi od windy w ostatniej chwili zanim się zamknęły i wczołgała się do środka.

Jęknęła w duchu i pomyślała, że gdyby nie to, że winda już ruszyła, to by z niej wyszła i poczłapała dalej na piechotę, nawet gdyby miała paść po drodze.

Wszystko dlatego, że w kącie stał uśmiechnięty, przystojny i wysportowany w martensach. Przez krótką chwilę miała nadzieję, że może jedzie na siódme. Zerknęła na guziki z numerami pięter. Niestety! Podświetlone było jedenaste. A niech to!

Gdy dojechali wreszcie na ostatnie piętro, uśmiechnięty wysportowany otworzył drzwi windy i przytrzymał je. Mimo zmęczenia Alicja wystrzeliła z kabiny jak pocisk. Marzyła tylko o tym, żeby znaleźć się w mieszkaniu i zatrzasnąć za sobą drzwi. Trzymając młynek pod pachą, sięgnęła do kieszeni kurtki po klucze. Długo szukała, ale w końcu znalazła.

– Co jest? – spróbowała przekręcić, ale coś się zablokowało.

Najwidoczniej ostatnio sprzysięgły się przeciwko niej wszystkie zamki tego świata. Mocowała się z kluczem coraz bardziej wściekła. Tym bardziej że wysportowany w martensach chyba ciągle nie wszedł do swojego mieszkania, bo nie słyszała trzasku otwieranych i zamykanych drzwi. Miała wrażenie, że stoi i z uśmiechem jej się przygląda. Coraz bardziej wkurzona wyrwała klucz z zamka. Zrobiła to tak energicznie, że wypadł jej z ręki i potoczył się gdzieś po podłodze klatki schodowej. Odwróciła się i rozejrzała. Doleciał aż na koniec korytarza, tuż pod drzwi uśmiechniętego. Nieznajomy z windy podniósł go i podał jej.

– Dziękuję bardzo – burknęła mało uprzejmie Alicja.

Wsadziła klucz do zamka i znowu spróbowała przekręcić, ale znowu bezskutecznie.

– Może ja pomogę – zaproponował wysoki i wysportowany.

Nie czekając na jej odpowiedź, wyjął klucz z zamka, obejrzał dokładnie, potrząsnął, wsadził do zamka, przekręcił i otworzył drzwi.

– Pewnie coś dostało się do środka klucza. Często sam tak mam – powiedział, a Alicja stwierdziła, że jest jeszcze gorzej niż myślała.

Nie tylko wysoki, wysportowany i przystojny, ale jeszcze z uwodzicielskim głosem. Tego już było za wiele. Z impetem weszła do mieszkania.

– Dziękuję i do widzenia – powiedziała raczej mało uprzejmym tonem i zamknęła z hukiem drzwi.

Położyła torebkę na komodzie w przedpokoju, a potem podeszła na palcach do drzwi i spojrzała przez wizjer. Ciągle tam był i patrzył w jej stronę z tym swoim uśmiechem.

Bezczelny jakiś – pomyślała, a do głowy przyszło jej zdanie zapamiętane jeszcze ze szkoły: „Mężczyźni, piekło was stworzyło, że nie ma miejsca, gdzie by was nie było!”[1]. Szczególnie przystojnych i uśmiechniętych. Skąd ja to znam, kurza stopa? No tak, tego oczywiście sobie nie przypomnę.

Jej pamięć była jak śmietnik. Przechowywała w niej mnóstwo do niczego już nieprzydatnych informacji.

Pewnie Pawła też z niej nie wyrzucę, choć to akurat byłoby świetne rozwiązanie!

Wzruszyła ramionami i weszła do pokoju.

Zdjęła kurtkę i rzuciła ją na łóżko, a potem podreptała do kuchni, żeby napić się wody. Przechyliła szklankę i w tym samym momencie usłyszała pukanie do drzwi. Drgnęła i wylała sobie wodę wprost za dekolt bluzki.

– Świetnie! Po prostu super! Teraz jeszcze powinnam poślizgnąć się na rozlanej wodzie

i złamać rękę albo nogę – warknęła wściekła i w tym samym momencie poczuła, jak jedna noga odjeżdża jej w kierunku drzwi, druga biegnie do okna, a ręce rozpaczliwie młóć powietrze.

W ostatniej chwili złapała się szafki kuchennej. Klnąc pod nosem, ruszyła do drzwi.

– Już, już! – krzyknęła, bo dzwonek ciągle natrętnie dzwonił. Zupełnie jakby się ktoś na nim oparł. – Już idę! Chwileczkę!

Spodziewała się po drugiej stronie przystojnego, wysportowanego i uśmiechniętego. Tymczasem na wycieracze stał mały, łysy i bardzo, ale to bardzo wkurzony.

– Pani pies nasikał pod moimi drzwiami – powiedział oskarżycielskim tonem.

– Ale proszę pana... Ja przecież nie mam psa – wytłumaczyła zaskoczona.

– Jak to nie ma pani psa?! – wrzasnął mężczyzna. – Pani kłamie. Pani na pewno ma psa!

– No, właściwie to mam, ale... – zaplatała się, bo tak właściwie to miała psy. Ale przecież Hula i Hop zostały z Pawłem i w żaden sposób nie mogły nasikać temu facetowi pod drzwiami!

– A więc jednak! Proszę w takim razie posprzątać tę kałużę – krzyknął triumfalnie staruszek i dramatycznym gestem wskazał małe jezioro pod drzwiami swojego mieszkania, które nie pozostawiało żadnych złudzeń co do swojego pochodzenia.

– Ale żaden z moich psów nie mógł nasikać pod pana drzwiami – tłumaczyła Alicja. – Ich tu nie ma!

W tym samym momencie z półpiętra wbiegło coś potwornie brzydkiego i kudłatego. Zaszczekało, przemknęło obok nóg Alicji i zniknęło w kuchni wynajmowanego przez nią mieszkania.

– Aha! – wrzasnął staruszek. – A więc jednak! Okłamała mnie pani. Proszę natychmiast po nim posprzątać, bo inaczej jutro poskarżę się w administracji.

Po tych słowach odwrócił się na pięcie, wszedł do swojego mieszkania i trzasnął drzwiami. Alicja westchnęła. No i co miała teraz zrobić, pozostawiona między kałużą na korytarzu a psem, który krył się gdzieś w wynajmowanym przez nią mieszkaniu? Nie chciała, żeby Łucja miała przez nią jakieś przeboje z rozeźlonym sąsiadem i administracją. Westchnęła jeszcze raz, a potem poszła po wiadro z mopem i sprzątnęła korytarz. Wróciła do mieszkania i rozejrzała się w poszukiwaniu psa. Zamierzała mu powiedzieć, że nie jest mile widzianym gościem. A w ogóle to nie sika się, gdzie popadnie. Hulę i Hopa nauczyli tego już w psim przedszkolu. No, ten pies nie wyglądał akurat na takiego, który chodziłby do ekskluzywnego przedszkola dla psów. Ale zwierzaka nigdzie nie było.

– A może ja z tego wszystkiego zwariowałam? – przyszło jej nagle do głowy. – Paweł bez przerwy mi powtarzał, że starania o dziecko robią ze mnie histeryczkę. Histeryczkę i wariatkę. Tak to chyba był łaskaw określić podczas naszej ostatniej rozmowy, a raczej kłótni.

Usiadła w fotelu i sięgnęła po herbatnika, ale talerzyk był pusty. A dałaby głowę, że jak wychodziła, to było jeszcze sporo ciastek.

– Zjadłam? Nie pamiętam... – mruknęła.

Spojrzała podejrzliwie na krasnała, ale gipsowa twarz wyrażała absolutny brak zainteresowania dla jej problemów. No i do tej pory nie podkładał jej jedzenia, więc to chyba nie on. Może jednak sama je zjadła? Poszła do kuchni i zrobiła kanapkę z pasztetem z puszki. Przy okazji wysmarowała sobie pół rękawa.

– Histeryczka, a do tego niedojda i niezguła – warknęła pod swoim adresem i popędziła do łazienki, żeby zaprać plamy.

Po drodze zostawiła talerzyk z jedzeniem na małym stoliku w pokoju. Gdy wróciła, po kanapce nie było śladu. Przepadła jak wcześniej herbatniki.

– Albo naprawdę zwariowałam, albo mieszkanie Łucji jest czarną dziurą... Albo ktoś tu

jest! Gdzie? Gadaj zaraz albo wywozę cię do lasu – zagroziła Gipsowemu.

Krasnal wpatrywał się w jeden punkt. Podążyła za jego wzrokiem. Aha! Więc on był cały czas pod łóżkiem!

– Wyłaż, ale już! – zażądała stanowczym tonem. – Musimy pogadać.

Pod łóżkiem coś zaszeleściło i wypełzła stamtąd brudna i kudłata psia brzydota.

– Ładnie to tak kraść cudze jedzenie? I odkąd to psy jedzą pasztet, hę? – zapytała.

Przyjrzała się uważnie i stwierdziła, że zwierzak nie wygląda na zagłodzonego. O ile to w ogóle można było stwierdzić przy tej skudłaconej, brudnej sierści. Zagłodzony czy nie, nakarmić go jednak należało. Poszła do kuchni i otworzyła lodówkę. Wyjęła kielbasę, pokroiła kawałek i dała na talerzyku nieproszonemu gościowi. Obok postawiła miskę z wodą. Pies zjadł to niemal jednym chapnięciem i spojrzał na nią wyczekująco.

– Nie mogę dać ci więcej, łakomczuchu – powiedziała z uśmiechem.

Pies chyba zrozumiał, co do niego mówi, bo wylizał starannie talerzyk, napił się wody z miski, a potem ułożył się obok Gipsowego. Położył pysk na łapach i obserwował Alicję, która odwieszala rzeczy do szafy. W końcu usiadła w fotelu i spojrzała na gościa.

– I co ja mam z tobą zrobić? Masz jakiegoś właściciela? – zastanawiała się. – Chyba nie. Przecież by cię szukał. A ty wyglądasz, jakbyś całymi tygodniami mieszkał na śmietniku.

Pies spojrzał na nią. Miała wrażenie, że czuje się urażony.

– No, mój drogi – powiedziała. – Nie ma co stroić fochów! Uwierz, że naprawdę nie miałbyś teraz szans w żadnym psim konkursie piękności. Chyba że na najbardziej zapuszczonego czworonogiego żula. Trzeba by cię wykapać. Wyobraź sobie, że dzisiaj z przyzwyczajenia pojechałam do sklepu z akcesoriami dla zwierząt i kupiłam szampon dla psów. Gdybyś się nie zjawił, to chyba sama musiałabym myć nim głowę. Zapraszam do łazienki. Zaraz, zaraz... Gdzie ty jesteś?

W tej samej chwili zadzwonił telefon.

– No i jak ci poszło z szefem? – zapytała Baśka. – Myślałam, że zajrzysz jeszcze do mnie, a ty chyba z tego szczęścia od razu poleciałaś się upić. To kiedy wracasz do tej naszej parszywej roboty?

– Wcale – powiedziała zgodnie z prawdą Alicja i zajrzała pod łóżko. – Powiedział, że polityka firmy nie przewiduje.

– Poczekaj, bo nic z tego nie rozumiem – zdziwiła się Baśka. – Ciebie polityka firmy nie przewiduje? To chore! Dlaczego akurat ciebie nie przewiduje?

– Nie mnie konkretnie! – Alicja wyjrzała na balkon, choć nie miała pomysłu, jak pies mógłby wyjść przez zamknięte okno albo drzwi. – Nikogo nie przewiduje. To znaczy tych, co już kiedyś pracowali w hotelu. Jak ktoś raz się z nimi rozstanie, to nie ma powrotu. Taka wyrafinowana zemsta za to, że ktoś w ogóle wyobrażał sobie, że może funkcjonować poza naszą wspaniałą firmą.

– Szkoda! Po cichu liczyłam, że zabiorą Izę, a ciebie znowu dadzą do mnie – westchnęła Baśka. – No i co teraz będziesz robić?

– Teraz? Muszę umyć psa – odpowiedziała Alicja.

– Nie teraz, że w sensie teraz. Ty masz psa? – zdziwiła się dawna koleżanka z pracy. – A mówiłaś, że Hula i Hop zostały z Pawłem.

– No bo zostały – potwierdziła. – To jakiś obcy pies. Przyplątał mi się. A teraz znowu zgubił. A tak w ogóle, to nie wiem, co teraz będę robić. Gorzej, że kasa mi się kończy.

– Jakbyś potrzebowała, to wiesz... – zadeklarowała Baśka.

– No wiem, ale raczej postaram się szybko coś wymyślić – odpowiedziała Alicja. – Może firmę założę? Jeszcze nie wiem, czym bym się miała zajmować, ale mam już pomysł na nazwę.

– No? – zainteresowała się Baśka.
– Wesoła rozwódka – roześmiała się ironicznie Alicja.
– Nazwa doskonała – orzekła dawna szefowa. – A wiadomo, że dobra nazwa to połowa sukcesu. Znalazłaś już tego psa?

– Nie. Zaczynam podejrzewać, że ja naprawdę sfiksowałam. Paweł mi to bez przerwy powtarzał w ostatnich tygodniach. Ty, a może on jednak miał rację? – zapytała.

– Nie znam bardziej normalnej wariatki niż ty – fuknęła Baśka. – A sfiksował to on, jak się za tą głupią bzdziągwą zaczął oglądać. Zobaczysz, że jeszcze przypełźnie do ciebie na kolanach.

– Nie, tylko nie to! – przestraszyła się Alicja. – To ja już wolę zostać na wieki wesołą rozwódką.

– Nie zostaniesz, nie zostaniesz – zawyrokowała Baśka. – Muszę kończyć, bo dziecko siostry zabrało się za wydłubywanie klawiszy z mojego laptopa. Jasiu! Nie połykaj tego!

– Informatyk ci rośnie – roześmiała się Alicja. – Nie, lepiej nie. Paweł jest informatykiem. Dobra, kończę, bo ci całego lapka rozmontuje. A ja muszę znaleźć tego psa, bo inaczej odwiozą mnie do wariatkowa. Hejka!

Odłożyła telefon i ruszyła na obchód mieszkania. Sprawdziła dokładnie pokój i kuchnię. Już miała otworzyć lodówkę, ale w ostatniej chwili się opanowała. Psa nigdzie nie było. Zajrzała do łazienki. Był! Siedział cierpliwie obok wanny, a gdy weszła, spojrzał na nią tak, jakby mówił: „No, ile można czekać?”.

Alicja spodziewała się problemów z myciem, ale o dziwo nie było żadnych. Miała nawet wrażenie, że kąpiel z pianą sprawia psu prawdziwą przyjemność. Oplukała go delikatnie wodą i wytarła. Cofnęła się kilka kroków, żeby ocenić efekty pracy.

– No, teraz wyglądasz dużo lepiej – stwierdziła. – Trudno cię nawet poznać.

Pies ułożył się z powrotem obok Gipsowego i spojrzał wyczekująco na Alicję.

– Dobra, dobra – roześmiała się. – Możesz tak nie patrzeć. Zaraz dam ci jeść.

Tym razem pies nie rzucił się na podane na talerzyku smakołyki. Jadł kęs po kęsie.

– Jesteś zdecydowanie lepiej wychowany niż Hula i Hop – stwierdziła. – Mimo że Paweł zapisał je do drogiego psiego przedszkola, i tak na widok jedzenia zawsze dostawały kompletnego amoku. A świniły wokół siebie prawie tak samo jak ich ukochany pan.

Pies zjadł, napił się wody, a potem przewrócił się na grzbiet i zastygł w relaksacyjnej pozycji.

– Psi jogin z ciebie – roześmiała się. – Zaraz, zaraz... A co ty tutaj masz?

Podeszła bliżej i przyjrzała się. Pies miał w pachwinie wytatuowane numery.

– A więc jednak masz jakiegoś pana. I ten pan na pewno cię szuka i bardzo za tobą tęskni – stwierdziła. – Musimy go odszukać. Zaraz się do tego zabiorę. Gdzie ja mam komórkę? Muszę zrobić ci ładne zdjęcia. Kurza stopa, gdzie się podział ten telefon? Nie zjadłeś go przypadkiem? Żartowałam. O, nareszcie mam!

Cała jej krzątanina mało obeszła psa. Przewrócił się z powrotem na brzuch i zwyczajnie zasnął. Alicja zrobiła mu „na śpiocha” całą sesję zdjęciową i wrzuciła na parę portali w necie, gdzie ludzie najczęściej szukali zagubionych czworonogów. Miała to przetrenowane, bo kiedyś Hop zwał z domu i popędził za jakąś ponętą suczką. Niestety, później nie potrafił wrócić i błąkał się po okolicy. Dobrze, że nie wpadł pod samochód. Na szczęście zauważył go pan Korolkiewicz i dał znać. Alicja świetnie wiedziała, jak czuje się właściciel zwierzaka.

– No, zrobione – powiedziała do psa. – Na pewno wkrótce twój właściciel albo właścicielka się odezwą i będziesz mógł wrócić do domu. Cieszysz się?

Ale pies znowu wykazał się kompletną obojętnością dla tej informacji. Otworzył jedno

oko i spojrzął na nią, zupełnie jakby chciał powiedzieć: „No i o co to całe zamieszanie, lalka? Przecież teraz mieszkam u ciebie. Wykąpałaś mnie, dałaś jeść i jest git!”. Po czym zamknął oczy i zasnął. Co jakiś czas przez sen poruszał łapami albo uszami.

Następnego dnia po przebudzeniu Alicja przez dłuższą chwilę nie mogła zorientować się, gdzie jest. Gdzieś zniknęła sypialnia w nowo wybudowanym domu. Był jakiś obcy pokój, obce meble, a zamiast Pawła gipsowy krasnal i... pies. Dopiero widok tego psa, który siedział obok krasnala z gipsu i przyglądał się gołębiom na balkonie, sprawił, że nagle wszystko sobie przypomniała.

– Nie, żadnego rozklejania się – ofuknęła samą siebie. – Wyłazisz z łóżka i bierzesz się za zmienianie swojego życia. Ale już! Raz dwa, raz dwa!

Zapału starczyło jej na umycie się, przebranie, nakarmienie psa i przygotowanie śniadania. Gdy usiadła z kanapką przy stole, poczuła się jak balon, z którego ktoś wypuścił powietrze. Tak naprawdę wcale nie miała pomysłu, co ma dalej ze sobą zrobić. Bez własnego kąta, bez pieniędzy, bez pracy, bez męża – choć formalnie ciągle go miała, bo orzeczenie o rozwodzie jeszcze nie zapadło. Już miała się wbrew wcześniejszemu postanowieniu rozkleić, gdy nagle usłyszała za oknem:

– Dzień dobry! Miło panią widzieć.

Chciała wrzasnąć ze strachu, już otworzyła usta, i w tej samej chwili przypomniała sobie mężczyznę z ekipy, która miała ocieplać budynek. Jak on miał na imię? A, Wiesiek!

Podeszła do okna i odchyliła firankę.

– Już pana koledzy wciągnęli? – zapytała uprzejmie.

– O! Ze dwie godziny temu – odpowiedział. – Pani jeszcze sobie w najlepsze spała. Ale chyba panią jakieś koszmary dręczyły, bo się pani strasznie rzucała.

Faktycznie, śniło jej się, że Tania przyjechała do kawalerki Łucji i stwierdziła, że jest w ciąży z Gipsowym, więc Alicja ma się natychmiast wyprowadzić, bo teraz ona będzie tu mieszkać.

– Na koszmarnie sny dobre jest smaczne śniadanie – poradził Wiesiek. – Żona mi dzisiaj zrobiła kanapki z kielbasą krakowską i serem żółtym na świeżutkim chlebkę razowym. Może się pani poczęstuje?

– Nie, dziękuję – odpowiedziała. – Nie będę pana objadać. Nie wiadomo, kiedy po pana koledzy przyjadą.

– Obiecali, że wpadną koło ósmej, żeby mi kawę w termosie podrzucić, bo zapomniałem zabrać. Ale ich nie ma, skórkowanych. No i muszę tę kanapkę na sucho jeść – powiedział Wiesiek z goryczą.

– No to ja panu zrobię kawę, a pan mnie poczęstuje w zamian kanapką – zaoferowała.

– O, jakby pani była taka miła! – ucieszył się Wiesiek. – A zna pani ten dowcip? Trzy krasnoludki założyły się o to, który ma mniejszego dziadka. Pierwszy mówi: „Ja mam takiego dziadka, który jest mniejszy od stołu!”. Drugi mówi: „Ja mam dziadka, który jest mniejszy od krzesła!”. Na to trzeci: „A mój dziadek ostatnio złamał nogę, bo jak zbierał poziomki, to spadł z drabiny!”.

– Świetne – roześmiała się Alicja. – Proszę, tu jest kawa dla pana. Jak pan wypije, to niech pan zostawi kubek na balkonie, bo ja teraz muszę wyjść na spacer z psem. Pyszna ta kanapka.

– Moja żona w ogóle świetnie gotuje. A jak pani wróci, to pani opowiem inny dowcip o krasnoludku. Przychodzi krasnoludek... – zaczął.

– Chyba znam – odpowiedziała. – Przychodzi krasnoludek do baru...

– A nie, nie. – Wiesiek pokręcił głową. – Ten to suchar jest. Ja znam lepszy.

– No to chętnie posłucham, jak wrócę – obiecała. – Pasztet, do nogi!

Pies zerwał się ze swojego miejsca obok gipsowego krasnala, pobiegł do przedpokoju i zaczął szczekać jak szalony.

– No już, już – uspokoiła go Alicja. – Tylko że ja nie mam smyczy. Może znajdę coś, co będzie można przywiązać do obroży? Luzem cię nie puszczę, bo znowu się zgubisz.

Znalazła wreszcie odpowiednio długi pasek od sukienki w kolorze jaskrawego różu i ruszyli na spacer. Zamknęła drzwi i nacisnęła guzik windy. W tej samej chwili z mieszkania naprzeciwko wyszedł przystojny wysportowany w martensach.

– Dzień dobry! – powiedział z uśmiechem, otworzył drzwi windy i przepuścił sąsiadkę przodem.

Alicja wsiadła, a raczej została wciągnięta do środka przez psa. Zwierzak był wyraźnie zachwycony sąsiadem. Aż do parteru łąsił się do niego, a wysportowany drapał go z uśmiechem za uszami. Wreszcie ku ogromnej uldze Alicji dojechali na parter.

– Do widzenia – powiedział przystojny i oddalił się, stukając podszewkami martensów.

Pies przez chwilę spoglądał za nim z wyraźnym żalem w brązowych ślepiach. Gdy mężczyzna zniknął za rogiem bloku, zwierzak nagle odzyskał zainteresowanie Alicją i zaczął podskakiwać wokół jej nóg. Na szczęście pasek do sukienki był bardzo długi i nie krępował mu ruchów.

Zamówiła tę sukienkę w sklepie internetowym. Gdy przesyłka doszła, jej zawartość wprawiła ją w zdumienie. Po pierwsze, na zdjęciu kolor był dużo mniej intensywny niż w rzeczywistości. W takim odcieniu różu nie odważyłaby się wyjść na ulicę. A po drugie, paskiem do sukienki mogła się trzy razy owinąć w pasie. Zwróciła ją, ale akurat tego dnia zjawiała się Tania i cały świat Alicji runął jak domek z kart. A jako pamiątka po nim została jej ta nieszczęsna kiecka. Płatała się po szafie w Malinówce, a teraz przyjechała w jednym z niebieskich worków.

– Przynajmniej pasek do czegoś się przydał – mruknęła pod nosem. – Swoją drogą, to potrzebna nam jednak jakaś smycz, bo ten kawałek szmatki zbyt wygodny nie jest. No i chyba powinien cię zobaczyć weterynarz. Oni mają bazę danych i może w ten sposób znajdziemy twojego właściciela.

Po powrocie do domu zadzwoniła do lekarza, który opiekował się Hulą i Hopem.

– Miło panią słyszeć. Jakoś ostatnio rzadko tu pani przychodzi – powiedział doktor Aleks Koszowski. – Częściej widuję za to pana Pawła. Był u mnie w zeszłym tygodniu. Hula i Hop są w doskonałej kondycji. Zaleciłem tylko zmianę karmy na taką dla starszych psów. W końcu to już nie szczeniaki tylko dorosłe chłopy, to znaczy psy. Czyżby po tej zmianie coś się działo? Proszę je przywieźć jutro. Mam dyżur do dwudziestej, ale pewnie przed dwudziestą drugą nie wyjdę.

– Nie, nie – zaprzeczyła Alicja. – To nie Hula ani Hop. Mam zupełnie innego psa.

– Widzę, że stado się rozrasta – roześmiał się weterynarz. – Czekam w takim razie na panią i na nowego domownika jutro po południu.

Alicja uznała, że nie ma sensu tłumaczyć lekarzowi przez telefon wszystkich zawiłości jej obecnej sytuacji życiowej, więc tylko podziękowała i rozłączyła się.

[1] Aleksander Fredro, *Śluby panińskie*. Oryginalny cytat: *O, wy mężczyźni! / Piekło was zrodziło! / Że nie ma kraju, gdzie by was nie było!*

ROZDZIAŁ IV

SZTAUERZY, SZAMBIARZE, SZCZUDLARZE, SZCZUROŁAPY I SZOWINIŚCI

– No dobra – powiedziała do psa. – Teraz ja wychodzę, a ty zostań i pilnuj Gipsowego, żeby go nikt nie ukradł. Nie zapalajcie gazu, nie odbierajcie telefonów i nie wyżerajcie jedzenia z lodówki. Wróć za jakieś dwie godziny. No i przede wszystkim nie otwierajcie obcym. Nawet jeśli będą udawać miłego pana policjanta, listonosza albo sąsiada. No, tego sąsiada, który wrzeszczał, bo nasikałeś na klatce schodowej, to na pewno byś nie wpuścił. Ale temu przystojnemu z windy też nie otwieraj. Tacy są najgorsi. Wiem, bo jeden z nich ciągle formalnie jest moim mężem. Opowiem ci, jak wrócę. Teraz muszę pojechać i zarejestrować się jako bezrobotna. Raczej nie sądzę, żeby znaleźli mi jakąś pracę, ale ubezpieczenie trzeba mieć. Szczególnie jeśli ma się takiego pecha jak ja ostatnio. No to na razie.

Po kilkunastu minutach dotarła do Urzędu Pracy. Zaparkowała i została w samochodzie, obserwując budynek i ludzi, którzy kręcili się wokół wejścia. Siedziała w Czarownicy tak długo, że zaczął się nią interesować cieć parkingowy. Już zmierzał w jej stronę, więc wyskoczyła zza kierownicy i ruszyła w stronę budynku. Gdy przy drzwiach odwróciła się, dostrzegła, że cieć przypatrywał jej się podejrzliwym wzrokiem.

Może myśli, że chcę wysadzić urząd pracy w powietrze? – przyszło jej do głowy. – Po tym, co czytałam o tej instytucji, nie zdziwiłabym się, gdyby ktoś kiedyś naprawdę to zrobił.

Weszła do środka. Kłębił się tam taki tłum, że chociaż do tej pory nie dostrzegła u siebie jakichkolwiek zadatków na socjofobkę, to jednak tym razem miała ochotę uciec i zaszyć się gdzieś w leśnej głuszy. Ponieważ jednak najbliższy las był kilkanaście kilometrów dalej, została. Po dwóch godzinach wyszła. Czuła się, jakby ten budynek przeżuł ją i wypluł z obrzydzeniem. Wsiadła do samochodu, ciągle trzymając w ręku karteczkę, którą dostała w urzędzie pracy. Miała się stawić za tydzień, aby wyrazić swoją gotowość do podjęcia pracy. Choć pani, która ją rejestrowała w okienku, od razu powiedziała, że dla takich jak ona to tutaj od dziesięciu lat pracy nie mieli. A wcześniej to nie wie, czy coś było, bo akurat w tym roku mija dziesięć lat, odkąd zaczęła tu pracować.

– Ale jakby się pani przekwalifikowała... – zasugerowała i spojrzała na nią wyczekująco. Alicja zrozumiała, że oczekuje się od niej wyrażenia entuzjazmu i gotowości na natychmiastową zmianę zawodu.

– Oczywiście. Mogłabym zostać... nauczycielką – powiedziała. – Bardzo lubię dzieci.

– Nie. – Pani machnęła ręką. – Dzisiaj to już trzy nauczycielki rejestrowałam. Żadnych ofert dla nauczycielek nie mamy. A będzie jeszcze gorzej, bo wie pani... Reforma.

– A dla kogo w takim razie jest praca? – zainteresowała się Alicja.

Pani postukała szybko w klawiaturę komputera, chwilę przewijała myszką niewidoczną dla Alicji stronę i wreszcie powiedziała:

– Dla hydraulików mamy, dla tokarzy. O, a dzisiaj zgłosili, że potrzebują kurierów. Ma pani samochód?

– Tak – odpowiedziała Alicja.

– Nie, jednak nie – zawyrokowała pani po chwili. – Tu właściciel firmy zaznaczył, że szuka mężczyzn.

– Szowinista – wyrwało się Alicji.

Urzędniczka spojrzała na monitor komputera.

– Nie, dla szowinistów nic nie mamy – odpowiedziała. – W ogóle nie ma takiego zawodu. Na „sz” mam szwaczki, szklarzy, szczudlarzy... Kiedyś do cyrku jednego szczudlarza szukaliśmy. Dla szambiarzy, sztauerów i szczurołapów też mamy oferty. Ale dla szowinistów nie. To chyba jakiś nowy zawód jest.

– Nie, stary jak świat – powiedziała Alicja, bardzo się przy tym starając zachować powagę.

– A to nie wiem. U nas w każdym razie nic nie ma. – Urzędniczka ucięła dyskusję. – Proszę przyjść za tydzień, to może coś dla pani będzie. Jak ma pani papiery o dodatkowych kwalifikacjach, to może pani też donieść.

Po tych słowach nacisnęła jakiś tajny guzik pod biurkiem i nad okienkiem zaczął się świecić kolejny numer.

– Koszmarne miejsce – powiedziała półgłosem Alicja i schowała kartkę z terminem następnej wizyty do schowka.

Miała nadzieję, że jak wszystko, co tam wrzucała, ta kartka też przepadnie na wieki, a ona już więcej tu nie przyjedzie. Wyprostowała się i zastygła z przerażenia. Jakiś facet wetknął głowę przez okno Ścierki!

– Tak, ma pani absolutną rację – powiedział z uśmiechem, który, zdaje się, w jego odczuciu był uwodzicielski, a zdaniem Alicji po prostu obleśny. – Może w takim razie odstresujemy się troszeczkę razem? Znam tu niedaleko bardzo sympatyczną knajpkę. Mają doskonałe jedzenie wegetariańskie.

– A dlaczego pan przypuszcza, że ja lubię wegetariańskie jedzenie? – zapytała zimno Alicja, po czym zakręciła szybę. – I w ogóle nie mam ochoty nigdzie z panem chodzić.

Facet w ostatniej chwili cofnął głowę, unikając dzięki temu dekapitacji.

– Wariatka! – krzyknął, gdy Alicja o mało nie przejechała mu po nogach. – Chłopa ci najwyraźniej brakuje.

Gdy tylko wysiadła z samochodu przed domem, akurat zadzwoniła Karolina.

– Czy ja wyglądam na zdesperowaną wariatkę? – zapytała Alicja bez żadnych wstępów.

– Że co? – nie zrozumiała Karolina.

– No, że niby na pierwszy rzut oka widać, że mnie facet rzucił – doprecyzowała Alicja i opowiedziała przyjaciółce, co ją spotkało na parkingu przed urzędem pracy. – No to widać, że mi chłopca brakuje, czy nie? Gadaj bez ściemniania!

– Daj spokój. To był najwidoczniej kretyn, któremu brakuje mózgu – skwitowała Karolina słowa nieznanego.

– Chciał mnie na obiad zaprosić – dodała Alicja. – Posłałam go na drzewo.

– No i dobrze zrobiłaś. Olałaś gnojka i nie myśl już o tym – poradziła Karolina.

– Ale wczoraj też jeden się do mnie uśmiechał w windzie – stwierdziła Alicja. – Może jednak wyglądam na samotną i zdesperowaną, co szuka chłopca?

– I niby pojechałaś po niego do naszego Powiatowego Urzędu Pracy w Zabrzeźnie? – zakpiła przyjaciółka. – Po prostu jesteś piękną kobietą i faceci na ciebie lecą.

– A jak byłam z Pawłem, to byłam brzydka? Eee, coś nie styka ta twoja teoria. – Alicja wzruszyła ramionami i otworzyła sobie ramieniem drzwi klatki schodowej.

– No jasne, że też byłaś. Tylko... jak by ci to wytłumaczyć... – zastanawiała się Karolina.

– Już wiem! Bo wcześniej to wszyscy wiedzieli, że należysz do Pawła. W sensie, że jesteście parą.

– Przecież nie miałam tego wytatuowanego na czole ani nie prowadziłam za sobą Pawła jak złego psa na smyczy, żeby ktoś się bał do mnie zbliżyć – powiedziała.

– Nie musiałaś – wpadła jej w słowo przyjaciółka. – Podobno faceci wyczuwają innego samca. Rozumiesz, takie znaczenie terenu. To naukowa teoria, żadne tam takie.

– Przecież Paweł nie sikał mi na buty – roześmiała się Alicja.

– Sikać nie musiał. To się nazywa feromony – wyjaśniła Karolina. – Czytam właśnie o magicznych miksturach i jest coś o eliksirze pozytywnej energii. Może by ci się przydał? Tylko że tam są potrzebne oczy nietoperza i sproszkowany ogon jaszczurki. To jeszcze jakoś bym zdobyła, ale chyba pisali coś o kropli krwi jednoroźca. A może dziurawiec? Podobno przyciąga dobre wydarzenia w życiu. Podrzucę ci trochę tego dziurawca i przy okazji odbiorę chustę.

– Jaką chustę? – zdziwiła się Alicja.

– No, taką dużą, kraciastą – tłumaczyła koleżanka. – Teraz są modne. Zostawiłam, jak byłyśmy ostatnio u ciebie. Znalazłaś?

– Nie jestem pewna – odpowiedziała z wahaniem Alicja. – Chyba tak, ale pomyślałam, że to Paweł zapakował mi jakiś łach Tani albo ona wrzuciła jakąś swoją szmatę, i cisnęłam do kubła z odpadkami. Chyba już wywieźli na wysypisko. Nie gniewaj się, odkupię ci, tylko powiedz gdzie. Przepraszam.

– Nie trzeba – roześmiała się Karolina. – Poczułaś się chociaż lepiej od tego wyrzucania?

– Zdecydowanie! – odpowiedziała z przekonaniem Alicja.

– To znaczy, że była naładowana negatywną energią i nie powinnam jej nosić, bo przyniosłaby mi pecha. No to hejka! Będę pamiętała, żeby ci podrzucić ten dziurawiec – obiecała przyjaciółka i rozłączyła się.

Alicja schowała telefon do torebki i wsiadła do windy. Ciągle miała świeżo w pamięci to, co przed chwilą powiedziała Karolina. O psach, to znaczy facetach i znaczeniu terenu. Nic dziwnego, że gdy zobaczyła charakterystyczną kałużę pod drzwiami sąsiada, natychmiast rozejrzała się w poszukiwaniu Pawła...

– Chyba jednak zwariowałam. Mój mąż miałby sikać po drzwiach wynajętego przeze mnie mieszkania? – Wzruszyła ramionami i w tej samej chwili przypomniała sobie o pozostawionym w mieszkaniu psie. – Nie, no przecież nie wyszedł przez dziurkę od klucza.

Sięgnęła po klucze do torby. Oczywiście znowu się zapodziały! Gdzieś w tle toczyło się normalne życie sąsiedzkie. Winda sunęła w górę i w dół ze zgrzytem i wysiłkiem. Ktoś piętro niżej odkurzał. A w mieszkaniu łysego staruszka, z którym Alicja miała okazję zawrzeć już znajomość, nagle jakieś dziecko krzyknęło:

– Dziadku, dziadku! A Kaśka to nie zdążyła wyprowadzić psa!

– Cicho, smarkaczu jeden! – wrzasnęła w odpowiedzi jakaś dziewczynka.

Nagle wewnątrz mieszkania sąsiada trzasnęły drzwi i dalszego ciągu dyskusji już nie usłyszała. Weszła do siebie i rozejrzała się. Pies leżał obok krasnala i obserwował razem z nim gołębie na balkonie. Na widok Alicji zerwał się i podbiegł do niej. Towarzyszył jej krok w krok, gdy chodziła po mieszkaniu, przebierając się i odwieszając jedne rzeczy do szafy, a inne wrzucając do pralki. Gdy weszła do kuchni, wyraźnie się ożywił. A gdy stanęła obok lodówki, wpadł w prawdziwą euforię.

– A! Rozumiem – roześmiała się. – Zaraz dam ci coś do jedzenia. Po drodze wstąpiłam do sklepu, gdzie zawsze kupowałam karmę dla Huli i Hopa. Kupiłam ci też miski, no i oczywiście smycz. Możesz już oddać moje talerze i różowy pasek do sukienki.

Otworzyła torbę i wyciągnęła zakupy. Nasypała karmy do jednej miski, naląła wody do drugiej i postawiła obok Gipsowego, gdzie pies chyba miał swoje ulubione miejsce. Dla siebie zrobiła kanapki z pasztetem.

– Zjedz i jedziemy do weterynarza, a wcześniej krótki spacer – powiedziała.

W tej samej chwili zadzwoniła komórka. Rozejrzała się, ale nigdzie jej nie dostrzegła. Zawsze miała problemy z lokalizowaniem dźwięków i teraz też nie miała pojęcia, skąd dochodzi dzwonienie. Poleciała do kuchni. Nie ma! Zajrzała pod poduszki na kanapie. Też nic. Telefon zamilkł, zanim zdołała go odnaleźć.

– Mnie też zawsze ginie – usłyszała głos z balkonu.

Ale tym razem nie przeraziła się, bo już wiedziała, że to Wiesiek.

– A raz to spadł mi z dwudziestego piętra, jak ocieplaliśmy jeden biurowiec – kontynuował mężczyzna, zaglądając przez okno.

– I rozbił się? – domyśliła się Alicja.

– A nie – odpowiedział Wiesiek. – Wpadł do furgonetki, co akurat papiery wywoziła ze śmietnika. Chłopaki zatrzymały samochód. Nawet się nie zarysował, ale i tak już później nie działał. Coś mu się tam w środku porobiło, kiedy tak leciał.

– Pewnie od wstrząsów. Trudno! – Wzruszyła ramionami i przestała szukać telefonu. – Jak ktoś coś do mnie ma, to zadzwoni jeszcze raz. Miał mi pan opowiedzieć dowcip o krasnoludkach.

– A! To wiem! – ucieszył się. – No to szybko mówię, bo koledzy zaraz po mnie przyjadą. Przychodzi krasnoludek do psychiatry. Psychiatra pyta: „Co ci jest, krasnoludku?”. A on na to: „Panie doktorze! Ja już sam w sobie nie wierzę!”. Dobrze, nie?

– Rewelacyjne! – zapewniła go Alicja. – Prawda, Pasztet?

Spojrzała na psa, który siedział nieruchomo obok nowej miski.

– No, czemu nie jesz? To pierwszorzędna karma – powiedziała.

Już miała sięgnąć po kanapkę, gdy telefon znowu zadzwonił. Pies zerwał się i popędził do przedpokoju. Zatrzymał się pod wieszakiem i zaczął szczekać.

Alicja poszła za nim. No tak, telefon był w torebce, która wibrowała jak wściekła na wieszaku. Nie najlepiej o niej świadczyło, że nie wpadła na taką oczywistość.

– Dzięki – rzuciła do psa i wyciągnęła telefon. – Paweł? A ten czego chce?

Przez chwilę zastanawiała się, czy odebrać. Nie miała ochoty z nim rozmawiać. Z drugiej strony, знаła dobrze swojego męża. Wiedziała, że nie odpuści, dopóki ona nie odbierze. Zawsze taki był.

– Znowu dzwonił – powiedziała Baśka. – Powiedziałam, że nie możesz podejść, bo w garach mieszasz.

– No bo nie mogę, przecież w garach mieszam. A kto dzwonił? – odpowiedziała

roztargnionym głosem, bo całkowicie ją pochłaniał sos holenderski. Była to jedna z bardziej złośliwych potraw. Ile razy odwróciła od niego wzrok, to albo robił się za rzadki, albo się warzył.

– Twój chłopak. Paweł znaczy. – Baśka przewrócił oczami. – Już piętnasty raz. Co on takiej biegunki telefonicznej dostał?

– Oświadczył mi się – powiedział Alicja. – A to bydlak jeden!

– Paweł okazał się bydlakiem? – zdziwiła się Baśka. – No to chyba za niego nie wyjdiesz?

– Nie Paweł, tylko sos. Znowu mi się zwarzył – jęknęła. – A Pawłowi powiedziałam, że muszę się zastanowić. I teraz co godzinę dzwoni, żeby zapytać, co zdecydowałam.

– W sprawie małżeństwa ci nie powiem, ale do sosu dodaj łyżkę zimnej wody – powiedziała Baśka.

Dzięki tej radzie Alicja uratowała sos i nie musiała zaczynać wszystkiego od początku. Była z tego powodu tak szczęśliwa, że odebrała następnego telefon Pawła i zgodziła się wyjść za niego.

Przez chwilę przysłuchiwała się wściekłemu warkotowi aparatu, przesuwając palec od zielonej do czerwonej słuchawki. Wreszcie nacisnęła zieloną.

– Słucham – powiedziała takim tonem, żeby sobie w żadnym wypadku nie pomyślał, że jest zadowolona z tego, że on dzwoni.

– Tu Paweł – powiedział, jakby po kilku wspólnych latach nie rozpoznawała go po głosie. – Słuchaj, mam bardzo ważną sprawę. Dobrze, że odebrałaś, bo inaczej musiałbym do ciebie jechać. Jesteś tam?

– Jestem – odpowiedziała.

– Bo nic nie mówisz. – W jego głosie zabrzmiała pretensja.

A co miałabym ci powiedzieć? Chyba tylko to, że jesteś niewiarygodnym palantem – pomyślała, a na głos powiedziała:

– Czekam po prostu, aż ty mi powiesz, po co dzwonicz.

– Aha. Mam do ciebie bardzo ważną sprawę – powtórzył Paweł.

– Mówiłeś – przypomniała mu.

– Co mówiłem? – zdziwił się.

– Że masz do mnie bardzo ważną sprawę – wycodziła z przekąsem do aparatu.

I pomyśleć, że kiedyś ten sposób prowadzenia przez niego rozmowy uważała za zabawny.

– Ciężko się z tobą rozmawia – westchnął. – Czy ty przypadkiem nie zabrałaś ostatnio ze swoimi rzeczami moich bokserów? Takich w Kubusie Puchatki?

Alicja wydała odgłos, który był czymś między stłumionym śmiechem a dławieniem się.

– A na gwizdek mi twoje bokserki w Kubusie Puchatki? – powiedziała bardzo zdziwionym głosem. – Swoją drogą, zawsze uważałaś taką bieliznę za obciachową.

– Tym razem to co innego, to prezent od Tiny – powiedział urażonym tonem.

– Chciałaś powiedzieć, że prezent Tani? Jak tani, to kup sobie następne takie same – zażartowała.

– Oj, bardzo cię proszę, nie wygłupiaj się – fuknął Paweł. – To bielizna jakiegoś bardzo znanego polskiego projektanta. Szyje tylko w pojedynczych egzemplarzach. Może zapakowałaś ze swoimi rzeczami?

– Nie wiem. – Alicja wzruszyła ramionami. – Jak przyjechałam, to już wszystko było upchnięte w niebieskie worki śmieciowe. Jeszcze wszystkich nie rozpakowałam.

– Ale jak rozpakujesz, to dasz znać? Podjadę wtedy i odbiorę. Będę czekał na wiadomość – powiedział.

– No to czekaj. Do widzenia, ale właśnie teraz jem kolację i nie jestem sama.

– Znam go? – zainteresował się Paweł.

– Nie – odpowiedziała i rozłączyła się.

Wróciła do pokoju, usiadła przy stole, sięgnęła po kanapkę i zastygła z ręką nad talerzykiem.

– Gdzie jest moja kolacja? – zapytała na głos.

Zerknęła na balkon, ale Wieśka nie było. Pewnie koledzy go zabrali, jak rozmawiała z psem. Zresztą nawet gdyby nie, to chyba nie wlaźłby jej do mieszkania, żeby zjeść kanapki? Spojrzała na psa. No tak! Siedział obok Gipsowego i beczelnie się oblizywał. Obok niego stała miska pełna suchej karmy.

– Nawet nie ruszyłeś karmy, którą ci kupiłam. Kilogram tego kosztuje trzydzieści złotych. Za to zżarłeś mi pasztet po trzy złote za puszkę. – Pokiwała głową. – Najwidoczniej jesteś psem w wersji ekonomicznej i psi kawior kłuje cię w ząbki.

Podreptała do kuchni i zrobiła sobie następne kanapki. Gdy zjadła, pies spojrzał na nią wymownie.

– Aha, spacerek – zrozumiała Alicja. – Proszę cię bardzo, a po spacerku pojedziemy do weterynarza.

W przedpokoju wpadła na niebieski wór. Jedyne, którego jeszcze nie rozpakowała.

Pewnie to ten, w którym są designerskie gacie Pawła – pomyślała. – *Sexy gaciochy* w Kubusie Puchatki.

Nie zamierzała jednak na razie szukać zagubionej garderoby Pawła, więc ograniczyła się do kopnięcia worka pod ścianę. Niech Papuś poumierza ze strachu, że Tania się zainteresuje, gdzie zapodział bieliznę, którą mu kupiła w prezencie.

– Chciałabym usłyszeć tę awanturę, jaką mu zrobi. W końcu ona najlepiej wie, że Pawełek nie ma genu wierności. – Roześmiała się i sięgnęła po smycz. – No, idziemy do weterynarza.

Pies ledwo to usłyszał, dał susa do pokoju i wcisnął się pod stół. Alicja westchnęła i ruszyła za nim.

– No, nie zachowuj się jak typowy facet. Paweł też, jak tylko się okazywało, że musi iść do dentysty, to wymyślał milion powodów, żeby tego nie robić. Bez wygłupów. Pan doktor jest bardzo miły i zawsze daje swoim pacjentom smakołyki – kusiła. – Hula i Hop uwielbiali do niego chodzić.

Na dźwięki słowa „smakołyki” pies zamerdał ogonem i postawił uszy. Ale spod stołu nie wylazł. Alicja nie miała jakiegś wielkiego ochoty wyciągać go stamtąd siłą.

– Kupię ci puszkę pasztetu – spróbowała przekupstwa.

Nic.

– Dobra, kupię ci dwie... Okej, trzy puszki tego pasztetu ci kupię. To jest moja ostateczna oferta – powiedziała stanowczo. – Nie do negocjacji.

Zwierzak łypnął na nią i z ociąganiem wyczołgał się spod stołu. Pozwolił sobie założyć smycz i wyprowadzić się na klatkę.

Kałuża spod sąsiednich drzwi zniknęła, ale pies obwąchał z zainteresowaniem miejsce, w którym jeszcze niedawno była, a potem szczerknął kilka razy w kierunku mieszkania pana Karaska.

ROZDZIAŁ V

BAJKA, W KTÓREJ NIE SPOTKALI SIĘ TOMCIO PALUCH I ALICJA Z KRAINY CZARÓW

W samochodzie i w poczekalni w lecznicy Pasztet zachowywał się wzorowo. Nie dał się nawet wciągnąć w awanturę dwóm perskim kocurom, które pulchna blondynka trzymała na kolanach, choć prowokacyjnie powarkowały i usiłowały dosięgnąć go pazurkami.

– Biedne maleństwa – powiedziała w pewnej chwili właścicielka. – Boicie się złego pieska? Duży piesek mógłby was zjeść, kruszynki. Ale mamusia was obroni.

Alicja spojrzała na nią i już miała powiedzieć, że jej pies dwoma kotkami mógłby się nie najeść, więc niech uważa, bo jeszcze połknie mamusię na dokładkę. A właściwie to wcale nie jest pies, tylko wilk, na dodatek potwornie wściekły. Albo jeszcze lepiej wilkołak. Na szczęście zanim otworzyła usta, w drzwiach gabinetu stanął lekarz i zaprosił ją do środka.

– A tego pieska to ja znam – roześmiał się, gdy weszła do gabinetu.

– Naprawdę? – zdziwiła się Alicja.

– Tak, tak. – Doktor Koszowski pokiwał głową. – Widuję go ja albo moi koledzy co kilka miesięcy.

– Tak często się gubi czy tak często choruje? – zapytała z uśmiechem.

– Ani jedno, ani drugie. – Lekarz zaświecił psu latarką w oczy. – On się nie gubi. Co jakiś czas go wywożą kawałek od domu i wypuszczają. Zawsze znajdzie się jakiś dobry człowiek, który go przygarnie. Czekają jakiś czas, śledzą wpisy na portalach. A jak są już pewni, że nowy właściciel przywiązał się do pieska, to się z nim kontaktują i proponują odkupienie.

– Jak to odkupienie? Że niby odkupią swojego własnego psa? – nie rozumiała Alicja. – A może raczej chodzi o nagrodę dla znalazcy?

– Nie, nie. Oni chcą, żeby znalazca zatrzymał pieska za niewielką opłatą. Że niby piesek już się do nowego pana albo pani przywiązał. Ale oni nie mogą oddać go za darmo, bo muszą kupić nowego pieska dla swojego dziecka. Proszę się nie dać na to nabrać. Kupi pani psa, a on i tak ucieknie i do nich wróci. Wytresowana bestia. – Pokiwał z uznaniem głową.

– Kłamią? – zgadywała Alicja. – Nie mają dziecka?
– Ależ mają, mają – roześmiał się lekarz i obejrzał łapy psa. – Dziecko ma na imię Zenuś i ma dwadzieścia jeden lat. Nie pracuje, bo zdaniem mamusi jest na to za wątkły i zbyt wrażliwy.

– Masakra! Ale ja się na pewno nie dam na to nabrać – zapewniła go.

– Mam nadzieję – roześmiał się lekarz. – Chociaż piesek jest słodki.

– No, nie wiem. – Alicja pokręciła z powątpiewaniem głową. – Już dwa razy zjadł mi kanapki.

– Pewnie pasztet. To jego przysmak. Raz trafił do jakiegoś emeryta i ten nauczył go jeść pasztet. Ogólnie jest w bardzo dobrym stanie. Trochę tylko schudł. Musieli go gdzieś zostawić i długo nikt się nim nie interesował.

– A nie można by zadzwonić do nich i powiedzieć, że pies się znalazł? Przecież pewnie ma pan ich adres – zasugerowała Alicja.

– Może pani spróbować, ale albo nie odbiorą, albo powiedzą, że ich nie ma w domu, bo właśnie wyjechali za granicę. A jak pani do nich pojedzie, to nie otworzą. Zawsze może go pani oddać do schroniska, jeśli nie chce go pani zatrzymać – poradził lekarz. – Może jakiś dom tymczasowy zgodzi się go wziąć? Mogę popytać.

– Nie oddam go do żadnego schroniska. – Alicja zamachała rękami. – Zostanie u mnie, dopóki jego właściciele się nie znajdą. To znaczy dopóki się nie ujawnią. Ale nie zamierzam im płacić. Będą mogli spokojnie zabrać sobie pieska. Może mi pan wierzyć. Ani grosza nie dam.

– No, nie wiem – roześmiał się doktor Koszowski. – Byli tu już u mnie tacy, co się zarzekali. To bardzo miły pies. Raz sam o mało za niego nie zapłaciłem. Na szczęście spotkałem się akurat z moim znajomym i on mnie oświecił w sprawie tego psiego biznesu.

– A jak on właściwie ma na imię? – zapytała Alicja.

– Patek – powiedział lekarz.

Zwierzak postawił uszy i zamerdał radośnie ogonem.

– Czyli prawie tak, jak po francusku pasztet? No to już wiem, dlaczego zjadł mi dzisiaj kanapki. Idziemy do domu, Pasztet – zawołała Alicja i otworzyła drzwi.

Pies przemaszerował obok kotów z dumnie podniesioną głową, kompletnie ignorując ich wredne zaczepki. Doszli do recepcji, gdzie Alicja zatrzymała się i podała kartkę, którą dostała od lekarza.

– Dopisać jak zwykle do państwa rachunku? – zapytała recepcjonistka i już zaczęła wklepywać dane w komputer.

Alicja najpierw odruchowo skinęła głową. Przecież tyle razy wcześniej słyszała to samo pytanie, zadane w tym samym miejscu, przez tę samą osobę. Zreflektowała się jednak i już chciała sprostować, ale wtedy jakiś złośliwy chochlik podszeptał jej, żeby jednak zgodziła się na dopisanie wizyty Paszteta do rachunku Pawła. Zajęty poszukiwaniem bokserek w Kubusie Puchatki, pewnie nawet nie zauważył dodatkowej pozycji na rachunku. Ale w końcu stwierdziła, że nie warto.

– Nie – powiedziała. – Zapłacę od razu kartą.

Uregulowała należność za wizytę i wrócili z Pasztetem do domu. Pod windą znowu natknęli się na przystojnego i uśmiechniętego. Tym razem zamiast martensów miał na nogach buty do biegania. Pewnie właśnie wrócił z wieczornej przebieżki. Było to kolejne podobieństwo do jej niewiernego męża. Paweł wielokrotnie namawiał ją, żeby wieczorami biegała razem z nim i psami. Raz nawet dała się do tego pomysłu przekonać. Po przebiegnięciu stu metrów dostała zadyszki, po kolejnych stu dopadła ją kolka, a na koniec skręciła nogę w kostce. Paweł musiał jej – uwieszanej na jego ramieniu – pomóc dojść do domu i nigdy już nie nalegał na wspólny jogging. Hula i Hop chyba też były z tego zadowolone. Z Pawłem dbały o kondycję, a z nią

mogły spokojnie penetrować krzaki i pomagały panu Korolkiewiczowi w szukaniu kur, kiedy te gdzieś się zapodziały.

– Proszę! – przerwał jej rozmyślania przystojny, przytrzymując drzwi windy. – Chyba że dzisiaj też zamierza pani iść po schodach.

Jaki dowcipny, kurza stopa – pomyślała i weszła do środka.

Pasztet jednym susem wskoczył za nią. Winda podskoczyła, zajęczała, zazgrzytała i ruszyła powoli w górę. Sąsiad oparł się o ścianę i z uśmiechem przyglądał się Alicji. Pasztet ułożył się przy jego nogach. Jego tymczasowa właścicielka wpatrywała się w tablicę z numerami pięter. Pierwsze, drugie, trzecie – liczyła w myślach. – Trzecie, trzecie (bo wsiadła jakaś kobieta), czwarte (dlaczego ta kobieta tak mi się dziwnie przygląda, przecież jej nie znam ani ona mnie). Piąte, piąte, piąte (kobieta wysiadła, uff). Szóste, szóste, szóste, szóste, szóste...

– Chyba utknęliśmy – powiedział z uśmiechem wysportowany. – Ta winda bez przerwy się psuje. A, prawda. Pani u nas mieszka dopiero od niedawna, więc nie poznała pani jeszcze mrocznej strony jej duszy.

– I długo tak będzie stała? – zapytała Alicja.

Nie znosiła małych, dusznych pomieszczeń bez okien. Już czuła, jak w gardle rośnie jej wielka gęła, puls przyspiesza, a żołądek się zaciska.

Zaraz skoczy mi ciśnienie i zacznę się dusić – pomyślała i poczuła, jak zaciska jej się gardło.

– Uhuu! – Przystojny pokiwał głową i na chwilę przestał się uśmiechać. – Coś mi się wydaje, że ma pani klaustrofobię. Proszę zamknąć oczy.

– A po co? – Spojrzała na niego podejrzliwie i o dziwo na moment zapomniała o tym, że tkwi zawieszona między piętrami w starym, zardzewiałym pudle, które w każdej chwili może się urwać.

W tej samej chwili winda szarpnęła, jakby wykonywała rozpaczliwy wysiłek wspięcia się na kolejne piętro, a potem zakołysała się, a razem z nią zakołysał się żołądek Alicji, na szczęście o tej porze raczej pustawy.

– Proszę nie dyskutować – powiedział przystojny stanowczym tonem. – Mam ukończony kurs ratownika medycznego i może mi pani zaufać.

Zaufać facetowi? Nigdy w życiu! – pomyślała.

– Powinna pani oddychać do papierowej torby, ale jej nie mam – kontynuował mężczyzna.

Alicja już zamierzała zapytać jadowitym tonem, czy ten kurs na ratownika medycznego, który skończył, nie był przypadkiem internetowy. Ale winda znowu się zakołysała, więc posłusznie zamknęła oczy.

– No właśnie... Papierowej torby nie mamy, ale jakoś sobie poradzimy. Proszę złożyć ręce, przyłożyć do twarzy i tak oddychać – komenderował przystojny. – Musimy dostarczyć do pani organizmu więcej dwutlenku węgla.

Było w jego tonie coś takiego, że automatycznie mu się podporządkowała. Faktycznie, co ze zdumieniem i niechęcią musiała przyznać, gęła w gardle się zmniejszyła, a puls trochę uspokoił.

– Właściwie to chyba trafiła nam się doskonała okazja, żeby wreszcie się poznać. Pozwoli pani, że się przedstawię. Tylko proszę obiecać, że nie będzie się pani śmiała! Tomasz Paluszkiewicz. Idiotycznie, prawda? Zwłaszcza jak się ma prawie dwa metry wzrostu, a wszyscy, słysząc twoje imię i nazwisko, myślą natychmiast: Tomcio Paluch z bajki pana Perraulta. Dlatego wolę używać drugiego imienia. Zacznę więc jeszcze raz. Szymon Paluszkiewicz. Nie, proszę jeszcze nie otwierać oczu. A jak pani na imię?

– Alicja – odpowiedziała, zerkając na niego spod przymrużonych powiek. – Alicja Watrak.

Był naprawdę przystojny.

– Alicja z Krainy Czarów – roześmiał się przystojny Tomasz Szymon.

– Raczej z jedenastego piętra – sprostowała.

– Ciekawe swoją drogą, dlaczego w żadnej bajce nie spotkali się Tomcio Paluch i Alicja z Krainy Czarów? – zastanawiał się Szymon. – A może jednak się spotkali?

– Nie mam pojęcia – odpowiedziała Alicja, wdzięczna, że tym bredzeniem usiłuje odwrócić jej uwagę od faktu, że wiszą między piętrami. – Ale chyba raczej nie mogli się spotkać, bo to bajki różnych autorów.

– Ma pani rację – roześmiał się towarzysz windowej niedoli.

Winda znowu się zakotłosała i ruszyła wreszcie do góry.

– No, dojechaliśmy – powiedział, otworzył szeroko drzwi i przytrzymał je, dopóki Alicja nie wysiadła. – Nie wiem, czy mężczyzna powinien to jako pierwszy proponować, ale może przejdźmy na ty.

W pierwszym odruchu chciała wrzasnąć, że nie, nigdy w życiu, i cisnąć w mężczyznę torebką, ale na szczęście opanowała się.

– W końcu po takich wspólnych przeżyciach i emocjach w jednej windzie... – dodał Szymon.

Pan Karasek, który akurat wyszedł z mieszkania i usłyszał ostatnie zdanie, spojrział na nich z oburzeniem i wszedł do windy.

Nawet nie chcę myśleć, co on sobie wyobraża, że niby robiliśmy w tej windzie – pomyślała i na zasadzie kontrastu z łysym wrednym Karaskiem, natychmiast poczuła sympatię do Szymona.

– No, właściwie po takich przeżyciach to chyba możemy.

Pasztet wyszarpnął smycz z ręki Alicji i jednym susem znalazł się na wycieracze Tomasza Szymona. Spojrział na mężczyznę wyczekująco i pomachał zachęcająco ogonem, jakby chciał powiedzieć: „No to co, wchodzimy?”.

– Chyba twój pies mnie polubił – roześmiał się.

– On właściwie wcale nie jest mój – sprostowała. – Przybłąkał się. Na pewno wkrótce znajdą się jego właściciele. Pan też ma psa? To znaczy, ty też masz psa?

– Nie, dwa koty – odpowiedział. – Koty, które bardzo, ale to bardzo nie lubią psów. Przetrenowałem to, gdy przyjaciółka poprosiła mnie, żebym zajął się jej pudlem, bo musiała wyjechać pilnie na trzy dni i nie zdążyła załatwić mu opieki. Biedny zwierzak przez cały ten czas nie wylazł spod kanapy. Jedzenie musiałem mu tam wsuwać. Nie miał szans wymknąć się nawet po kryjomu, bo te potwory na zmianę pilnowały i jak tylko psina próbowała wyjść, to dostawała pazurami po tej części ciała, którą wystawiła jako pierwszą. Nawet jak wredne kocury zamknąłem w łazience, to biedak na wszelki wypadek nie opuścił kryjówki. Wywabił go stamtąd dopiero głos jego pani. Nie naraziłbym cię na coś takiego, stary. Zresztą te koty też nie są tak naprawdę moje. Robię dla nich za dom tymczasowy, dopóki ktoś ich nie adoptuje. A raczej dopóki one nie adoptują sobie jakiegoś właściciela. To znaczy niewolnika, który będzie je karmił i opróżniał im kuwetę.

Schylił się i poklepał psa po łbie.

– No, wracaj do swojej pani – powiedział.

Pies ze zwieszonym ogonem powłókł się za Alicją. Gdy otworzyła drzwi, wszedł do środka i ulokował się na swoim ulubionym miejscu obok Gipsowego. Położył łeb na łapach i zapatrzył się w okno, za którym harcowały gołębie. Ożywił się, dopiero gdy Alicja włożyła mu

do miski kawałek pasztetu. Zjadł i spojrzał na nią.

„A spotkamy jeszcze kiedyś tego miłego pana?” – zdawał się pytać. – „Będę za nim tęsknić”.

– No cóż, lojalnością to ty nie grzeszysz – powiedziała na głos. – Ale to mnie akurat wcale nie dziwi. Typowy facet. Na swoje usprawiedliwienie masz tylko to, że on chyba jest miły. Nie patrz tak. Nie zamierzam się w nim zakochiwać. Chcesz jeszcze?

Nasypała mu karmy do miski.

– No co? – oburzyła się, bo pies posiłek powąchał, a potem podniósł łeb i spojrzał na nią z niewiarygodnym wręcz zdumieniem. – Nie słyszałeś pana doktora? Nie możesz żywić się samym pasztetem. Musisz też jeść coś innego. No dobra, dobra.

Wzięła miskę, poszła do kuchni i wymieszała suchą karmę z drobno podziabany łyżką pasztetem.

Zwierzak zajął się konsumpcją, a ona postanowiła się wykąpać. W przedpokoju potknęła się o ostatni z niebieskich worków, który jakimś cudem wytoczył się z kąta, w którym go zostawiła, i znalazł się na środku przedpokoju akurat w chwili, gdy ona zmierzała do łazienki. Kopnęła go ze złością, a on w odwecie pękł i zawartość rozsypała się po całym przedpokoju.

– Muszę się zapisać na jakieś warsztaty kontroli emocji – mruknęła pod nosem i zgarnęła ciuchy nogą pod ścianę. – Będę miała wtedy mniej do sprzątnięcia. Pasztet, zostaw!

Ale pies ani myślał zastosować się do polecenia. Alicja musiała mu wyrwać z pyska jakąś czerwono-żółtą szmatę.

– Nie jedz tego, bo ci zaszkodzi. Teraz wszystko szyją z jakichś sztucznych tkanin. Zaraz, zaraz... – Przyjrzała się. – Czy to jest to, o czym myślę? Oczywiście! Zaginione bokserki w Kubusie Puchatki. Wygryzłeś dziurę na tyłku! No, to teraz mogę mu oddać zgubę.

Oczami duszy już widziała Pawła, który tłumaczy się przed Tanią z tego, że ktoś wygryzł mu dziurę na siedzeniu. W psa kochanka raczej nie uwierzy, raczej w jakąś rywalkę o dziwnych upodobaniach seksualnych. Taką fetyszystkę, która lubi niszczyć męską bieliznę. Niezła heca. Przez chwilę w zamyśleniu machała zdewastowanymi gaciami męża, a potem odłożyła je na półkę z butami.

– Nie, nie ruszaj. – Odsunęła psa, który już zamierzał chapsnąć bokserki i rozprawić się z nimi do reszty. – Ja to zrobię. No, nie patrz tak. W końcu to mnie Paweł zdradzał, a nie ciebie.

Przytargała z kuchni kosz na śmieci. Cisnęła do środka to, co w poprzednim wcieleniu było bokserkami Pawła. Pobiegnęła znowu do kuchni i przez chwilę grzebała w kuchennych szafkach.

– Są! – krzyknęła triumfalnie i pokazała Pasztetowi pudełko zapalek.

Zapaliło się błyskawicznie, ale bardzo szybko zgasło, a kosz zaczął strasznie dymić i śmierdzieć.

– Cholera, z czego ten projektant uszył te parszywe gacie? Z plastiku? Au! – Chciała chwycić kosz i poparzyła sobie rękę.

Otworzyła drzwi balkonowe i nogą wypchnęła dziada na balkon. Odetchnęła z ulgą i oparła się o barierkę.

Tutaj niech sobie dymi, ile chce – pomyślała z ulgą.

Nagle otworzyły się drzwi na sąsiednim balkonie obficie udekorowanym skrzynkami z pelargoniami. Na zewnątrz wybiegło jakieś dziecko. Chyba chłopiec, chociaż trudno było to stwierdzić jednoznacznie, bo twarz zakrywały mu długie, rozczochrane włosy. Rozejrzał się wokoło i...

– Dziadku, dziadku! Zobacz! – krzyknął. – Tam się pali!

Na balkon wybiegła dziewczynka, za nią wyjrzał pan Karasek.

– Co ty za bajki opowiadasz? – wymruczał, zrobił krok do przodu i rozejrzał się wokoło. Zauważył dymiący kosz na śmieci na sąsiednim balkonie.

– Co pani robi? – wrzasnął i swoim zwyczajem podskoczył. – Nie wolno rozpalać grilla na balkonie. Jest w tej sprawie specjalna uchwała naszej wspólnoty mieszkaniowej. Niech pani to natychmiast zgasi, bo zadzwonię po policję.

Niewykluczone, że jeszcze godzinę wcześniej ton, jakim mówił do niej sąsiad, i groźby wezwania policji (chyba raczej straży pożarnej?) podniosłyby jej drastycznie ciśnienie, przyspieszyły puls i wygenerowały chęć uduszenia starego zgreba i zakopania go w ogródku. Ale po pierwsze, nie miała ogródka (już nie), a po drugie, widok tłących się gaci z Kubusiem Puchatkiem zrelaksował ją i nastroił przyjaźnie do całego świata. Może to te opary plastiku? Uśmiechnęła się do staruszka i rozłożyła bezradnie ręce.

– Przepraszam bardzo, ale nie mam czym ugasić. Mógłby mi pan pożyczyć trochę wody?
– zapytała. – Oddam panu jutro.

Pan Karasek, który chyba był przygotowany na to, że jego uwaga wywoła małą lub większą międzysąsiedzką i międzybalkonową awanturę, poczerwieniał i zaczął poruszać bezgłośnie ustami. Wyglądał jak ryba wyciągnięta z wody.

– Ja mogę napłuć – zadeklarował ochoczo długowłosy chłopiec i już zamierzał przechylić się przez barierkę, ale Pasztet zaszczekał ostrzegawczo, a siostra chłopca chwyciła go za koszulkę.

– Kacper, ani mi się waź! – Staruszek odzyskał mowę. – Wracajcie natychmiast do domu. Kaśka, zabierz go. A pani niech zaleje to szybko, bo zaraz cały blok pójdzie z dymem.

Schylił się i podał jej zieloną plastikową konewkę. Alicja załapała tłące się gacie niewiernego męża i odwróciła się, żeby oddać pożyczone naczynie. Ale staruszka na balkonie już nie było. Przez chwilę zastanawiała się, co zrobić. Wreszcie postanowiła przerzucić sąsiadowi pożyczony przedmiot na balkon. Niestety zapomniała, że ma lateralizację skrzyżowaną i często zdarza jej się nie trafić w otwarte szeroko drzwi i zderzyć boleśnie z futryną.

Pełna dobrych chęci przechyliła się przez barierkę, wycelowała, wzięła zamach i rzuciła. A potem bezradnie patrzyła, jak zielona konewka przelatuje obok balkonu z pelargoniami i spada z jedenastego piętra.

Jęknęła, gdy o centymetry zaledwie minęła głowę sąsiada, który akurat wychylił się z okna dwa piętra niżej.

– Panie Karasek! – wrzasnął mężczyzna, zadzierając głowę. – Czyś pan ze szczętem zwariował? Chcesz pan kogoś tą swoją konewką zabić? Ja to do administracji zgłoszę!

– A ja zgłoszę, że pana żona, panie Wolak... – rozległo się z głębi sąsiedniego mieszkania.

Alicja nie usłyszała, co takiego ma na sumieniu nieznana jej żona pana Wolaka, bo zamknęła drzwi. Dogasające gacie Pawła zostawiła na balkonie.

Następnego dnia obudziła się dopiero koło dziewiątej.

– Właściwie to nawet nie zasnęłam – mruknęła i opadła na poduszkę. – Żeby zasnąć, to trzeba mieć pracę, obowiązki, rodzinę jakąś może, zaplanowane spotkanie. Kurza stopa! Umówiłam się dzisiaj z adwokatką rozwodową. Muszę być u niej za godzinę!

Zerwała się z łóżka i płacząc się w za długich i opadających spodniach od piżamy, pobiegła do łazienki.

Szybki prysznic, makijaż. Wyprasowane ciuchy na szczęście wisiały od wczoraj na wieszaku. Już miała wyjść, stanęła jeszcze tylko przed lustrem, żeby skontrolować, czy nic jej nie wisi i nie wystaje. Spojrzała i...

– Pasztet! – krzyknęła. – Kompletnie zapomniałam, że ty tu jesteś. Zaraz dam ci coś do

jedzenia. No a potem szybki spacer. Ale bardzo szybki, bo się nie zdążę rozwieść.

A niech to! Kawalek pasztetu z puszki zamiast do psiej miski trafił wprost na jasne spodnie. Oczywiście wszystkie inne były albo brudne, albo nieludzko wręcz wymiętolone po transporcie w workach śmieciowych. Spojrzała na zegarek. Nie miała już absolutnie czasu, żeby włączyć żelazko. Zresztą, gdy się spieszyła, zawsze zapomniała je wyłączyć.

– Jeszcze bym puściła z dymem cały blok. Wczoraj mi się nie udało, to dzisiaj może poszłoby lepiej – mruzczała, wciągając te portki, które uznała za najmniej wygniecione. – Skończyłeś jeść? – zwróciła się do psa. – No to idziemy na spacer.

– Przepraszam – rozległo się nagle zza okna.

No tak! Wiesiek! Kto powiedział, że kobieta porzucona przez męża jest samotna? Odkąd wyprowadziła się od Pawła, ma już psa i przyjaciela, który bez przerwy do niej zagląda. I to dosłownie, bo przez okno.

Jak to ocieplanie się szybko nie skończy, to chyba będę musiała zainwestować w rolety, żeby mieć choć odrobinę prywatności – pomyślała.

– Założyła pani bluzkę na lewą stronę – mężczyzna zwrócił jej życzliwie uwagę.

Już miała odruchowo zdjąć wzmiankowaną część garderoby i przewrócić ją na właściwą stronę, jak robiła to wielokrotnie przy Pawle. Na szczęście tym razem w ostatniej chwili wyhamowała i pobiegła do łazienki.

– Dziękuję bardzo – rzuciła po wyjściu do Wieśka i otworzyła drzwi na klatkę schodową.

– Niech pani zaczeka – zatrzymał ją mężczyzna. – Słyszała pani to? Dlaczego krasnoludek się śmieje, kiedy gra w piłkę na boisku? Bo go trawa łaskocze pod pachami.

– Znam, znam – roześmiała się Alicja. – Ale mnie to opowiadano w wersji mniej cenzuralnej. To znaczy gdzie indziej go ta trawa łaskotała. Do widzenia. Muszę już lecieć. Miłego ocieplania.

Po spacerze odprowadziła psa do mieszkania i mocno już spóźniona popędziła do pani mecenas, która miała ją reprezentować podczas sprawy rozwodowej.

ROZDZIAŁ VI

SIÓDMY MĄŻ SIÓDMEJ ŻONY

Wpadła zdyszana i spocona do sekretariatu kancelarii adwokackiej. Na progu potknęła się o gruby dywan, pokonała na jednej nodze większość pokoju i wreszcie zatrzymała się na biurku, za którym siedziała nienaganna pod każdym względem recepcjonistka. Nienagannie ubrana, nienagannie uczesana, nienagannie umalowana.

Takiej to na pewno kanapka nigdy nie spadła posmarowaną stroną na spodnie – pomyślała.

– Dzień dobry – powiedziała recepcjonistka i uśmiechnęła się, ukazując rząderek nienagannie (a jakże!) równych i białych zębów.

– Chyba się spóźniłam – wysapała. – Przepraszam.

Recepcjonistka spojrzała na zegarek, a potem do kalendarza.

– Pani Watrak? Faktycznie, była pani umówiona pół godziny temu – stwierdziła.

Alicja jęknęła w duchu. No to teraz już się nie wciśnie do adwokackiej. Niepotrzebnie gnała na złamanie karku przez pół miasta i naruszyła chyba połowę kodeksu drogowego. Jak знаła swojego szczęście, to nagrały ją wszystkie fotoradary w Zabrzeźnie i teraz co kilka tygodni będzie dostawać mandaty.

– Ale jeszcze nie wyszła pani Ratajczak, która była umówiona pół godziny przed panią – uspokoiła ją pracownica kancelarii. – Napije się pani czegoś zimnego?

Przez następny kwadrans Alicja siedziała na bardzo wygodnej kanapie, sączyła świeżo wyciśnięty zimny sok pomarańczowy i nie siląc się na dyskrecję, rozglądała się po pokoju. Drogi dywan, meble bardzo dobrze udające antyki i obrazy, które raczej nie były wydrukami z allegro.

Od razu widać, że na rozwodach można nieźle zarobić – pomyślała z zazdrością. – Szkoda, że nie wpadłam na to wcześniej i nie poszłam na prawo. A mamusia mnie namawiała. Dzisiaj nie dość, że miałabym kupić kasy, to jeszcze sama siebie bym rozwiodła i nie musiałabym za to płacić żadnym adwokatom.

Nagle drzwi pokoju, w którym urzędowała adwokatka, otworzyły się i ze środka wyszła,

a raczej wyskoczyła tanecznym krokiem, wysoka brunetka.

– Pani Jolu! – zwróciła się do recepcjonistki. – Rozwodzę się!

– Wiem – odpowiedziała uprzejmie pracownica kancelarii.

– Jak już się rozwiodę, to zapraszam wszystkich na imprezę – zakomunikowała brunetka.

– Tylko nie mam jeszcze pojęcia, komu zlecić organizację.

– Może jakiejś firmie, która przygotowuje śluby? – podpowiedziała pani Jola.

– Niiieeee! – Brunetka machnęła ręką. – Czułabym się, jakbym drugi raz zrobiła największy błąd swojego życia i wyszła za swojego obecnego męża. To nie ma być ślub. Raczej stypa po beznadziejnym małżeństwie.

– To może jakaś firma pogrzebowa? – podpowiedziała Alicja. – Przepraszam, nie chciałam się wtrącać.

Kobieta spojrzała na nią z zainteresowaniem.

– Proszę mówić, jak najbardziej. To świetny pomysł – powiedziała w zamyśleniu, ale po chwili zmieniła zdanie: – Nie, chyba jednak nie. Byłoby zbyt uroczyście i ponuro. A ja chcę się świetnie bawić. Zakład pogrzebowy odpada. Ale na pewno coś wymyślę. A okazja jest nie byle jaka. Jestem trzecią żoną mojego trzeciego męża.

– To tak trochę jak w Biblii – przypomniała sobie Alicja. – Tylko że tam był siódmy syn siódmego syna. Miał chyba moc uzdrawiania czy jakoś tak. Pani też to potrafi?

– Pojęcia nie mam – roześmiała się brunetka.

– No, raz wyleczyła mnie pani z kataru – przypomniała recepcjonistka. – Po pani wyjściu – jak ręką odjął. A kichałam przez dwie godziny i katar lał mi się z nosa strumieniem.

– To chyba raczej była alergia na moje perfumy. Miałam takie, że wszyscy wokół mnie kichali – powiedziała klientka i machnęła lekceważąco ręką. – Ale może faktycznie rozwinę jakieś niezwykle umiejętności, jak już zostanę tą siódmą żoną siódmego męża. W końcu nigdy nie wiadomo, co w człowieku siedzi. No, ale na razie rozwodzę się z trzecim i muszę to jakoś uczcić.

Alicja była bardzo ciekawa, co wymyśli brunetka, ale drzwi otworzyły się i stanęła w nich pani mecenas.

– Dzień dobry, zapraszam do środka – powiedziała i odsunęła się na bok, żeby ją przepuścić, a potem wskazała gościowi fotel przy małym stoliku ze szklanym blatem, przez który Alicja mogła podziwiać swoje wymiętolone portki.

Właścicielka kancelarii również usiadła i przez chwilę przeglądała papiery.

– Podczas poprzedniej wizyty ustaliłyśmy, że chce pani, aby mąż wziął winę na siebie. Pani zrzeknie się praw do domu, jeśli oczywiście dostanie za niego połowę kwoty ustalonej przez rzeczoznawcę. Czy coś się od tamtej pory zmieniło? – zapytała.

– Nie – odpowiedziała Alicja. – Chyba że jest jakiś sposób, żeby skazać go na karę śmierci. Najlepiej po ciężkich torturach.

– Nie orzeka się kary śmierci w tym kraju – odpowiedziała pani mecenas. – Choć akurat niewierni mężowie moim zdaniem jak najbardziej zasługują. I to nie na powieszenie, zastrzyk z trucizną albo krzesło elektryczne. To też oczywiście, ale na początek jakieś bardziej wyrafinowane tortury. Ale proszę nikomu o tym nie mówić.

– Ani słowa – przyrzekła Alicja.

– Dzieci państwo nie mają – powiedziała pani mecenas takim tonem, że Alicja uznała, że już nie musi potwierdzać. – Przepraszam, że zapytam, ale to może okazać się ważne. Byli państwo zgodni w tym, żeby nie starać się o dziecko? Czy może była to decyzja jednej strony, z którą druga niekoniecznie się zgadzała?

– Wprost przeciwnie – odpowiedziała Alicja i nalała sobie wody z karafki, która stała na

stole.

– Jak to wprost przeciwnie? – zdziwiła się adwokatka.

– Obydwoje chcieliśmy mieć dziecko i staraliśmy się o nie od dłuższego czasu – wyjaśniła klientka. – Tylko że nam nie wychodziło. Robiliśmy badania i każde z nas z osobna jest zdrowe. Lekarz doradzał nam, żebyśmy dalej próbowali i...

Tu zawiesiła głos. Pani mecenas spojrzała na nią pytająco.

– I mój mąż spróbował, ale ze swoją koleżanką z pracy – dokończyła Alicja i wypięła solidny łyk wody. – Jak się okazało, że Tania jest w ciąży, to mu powiedziałam, że chcę się rozwieść, i się wyprowadziłam. Banalne, prawda?

– Niestety tak – odpowiedziała adwokatka. – Ale przynajmniej pozwoli nam bez problemu udowodnić, że wina była po jego stronie.

Alicja sądziła, że to będzie już koniec grzebania w intymnej sferze jej nieudanego małżeństwa, ale okazało się, że jednak nie.

– To już mamy ustalone – powiedziała pani mecenas i coś zanotowała. – Przepraszam, ale muszę pytać dalej. Ostatnio prowadziłam podobną sprawę. Adwokat pana męża twierdził, że winna rozwodu jest pani żona, bo zamiast uprawiania spontanicznego seksu zgadzała się na współżycie tylko w określone dni miesiąca, w określonych pozycjach. Chciał nawet dołączyć do akt zaświadczenie, że jego klient wpadł z tego powodu w depresję, miał zerowe libido i problemy z erekcją, dlatego żąda od mojej klientki wysokiego odszkodowania.

– I dostał? – zainteresowała się Alicja.

– Nie, skąd. – Pani mecenas wzruszyła ramionami. – Okazało się, że nie miał żadnych problemów i właśnie został szczęśliwym ojcem dorodnych bliźniaków. Pochwalił się tym na Facebooku. Media społecznościowe są bardzo pomocne w niektórych sprawach.

Mam nadzieję, że Tania urodzi Pawłowi pięcioraczki. I że jak już podrosną, zepsują mu ukochane kino domowe i wytluką co do sztuki jego kolekcję szklanek do piwa, które zwoził z całego świata – pomyślała mściwie Alicja. – I nasikają mu do jego ukochanych martensów. Do każdej pary po kilka razy.

Przypomniała sobie, jak kiedyś podczas odprawy na lotnisku mieli nadbagaż i Paweł wyrzucił do kosza na śmieci jej ukochane pantofle, a zostawił obrzydliwy kufel do piwa. Teraz żałowała, że mu go wtedy nie rozbiła na głowie.

Gdy Alicja wyszła z gabinetu adwokatki, nie zastała już brunetki w sekretariacie. Była ciekawa, czy wpadła na pomysł, gdzie uczcić trzeci rozwód. Recepcjonistkę jakoś głupio było o to indagować.

Usiadła za kierownicą Czarownicy. Już miała ruszyć, gdy przypomniała sobie, że podczas wizyty w kancelarii miała wyciszony telefon. Może ktoś dzwonił? Sięgnęła po torebkę i wydłubała z samego dna komórkę. Nieodmiennie ją to zadziwiało, dlaczego zawsze musi się płatać na spodzie. Paweł tłumaczył jej, że niby telefon jest cięższy, a reszta rzeczy lżejsza, ale kiedyś mu udowodniła, że to bzdura. Byli akurat na budowie. Wzięła cegłę, wrzuciła do torebki, a potem to samo zrobiła z komórką. Cegła była cięższa. Ale dziwnym trafem na spodzie znalazła się komórka. Cegła ją dokumentnie zmiażdżyła, obalając teorię Pawła. A ponieważ wcześniej się założyli o to, kto ma rację, musiał kupić żonie nowy telefon. Ten, który właśnie trzymała w ręce.

– Jakiś nieznany numer... Pewnie bank albo towarzystwo ubezpieczeniowe. Ciekawe, czy można się ubezpieczyć od nieudanego małżeństwa? – mruzczała, przesuwając palcem po ekranie dotykowym. – Paweł. Trzy razy? Zostawił wiadomości. Pewnie chodzi o świętej pamięci gacie z Kubusiem Puchatkiem. Chyba już przestały dymić? Muszę wyczyścić Łucjowy kosz na śmieci. O, właśnie! Łucja dzwoniła i zostawiła wiadomość.

– Odwiedzimy cię dzisiaj – poinformowała ją komórka głosem przyjaciółki. – Ale jeśli

masz zaplanowaną randkę z jakimś przystojniakiem poznanym na siłowni, to się nami nie przejmuj.

– Przystojniak poznany na siłowni – mruknęła z sarkazmem. – Jak raz w życiu byłam na siłowni, to najpierw się spociłam, potem prawie wybiłam sobie zęby na rowerze stacjonarnym, a na koniec niewiele brakowało, a zwymiotowałam na bieżni. Z pewnością byłam obiektem pożądania wszystkich mięśniaków dookoła i tylko mi się zdawało, że patrzą na mnie z obrzydzeniem.

Dojechała do domu, zaparkowała i już miała wysiąść, gdy nagle coś błysnęło, jakby ktoś puszczał zajączki lusterkiem. Pamiętała tę zabawę z dzieciństwa. Rozejrzała się i zobaczyła pana Karaska, w którego łysinie odbijały się promienie słońca, tej wiosny rzadko wygrywające konkurencję z chmurami wiszącymi nad Zabrzeżnem. Rozmawiał z jakąś kobietą. Alicja zsunęła się nisko na fotelu i cierpliwie czekała, aż się nagadają. Miała graniczące z pewnością przeczucie, że mówią o niej. Wzburzony sąsiad zza ściany gestykułował i pokazywał na balkon. Łucji albo swój. Z tej odległości trudno było ocenić. Wreszcie skończyli dyskusję i ruszyli każde do swojej klatki schodowej. Alicja z ulgą wyprostowała się na fotelu i wysiadła z samochodu.

– Dobry wieczór – usłyszała nagle za swoimi plecami.

Przystojny Szymon! On ją chyba śledził. No bo ile razy w tygodniu można wpadać na tego samego faceta? To nie mógł być przypadek! Postanowiła mieć się na baczności. Może i uśpił trochę jej czujność tą akcją w windzie i opowieścią o kotach, ale niech nie myśli, że mu się uda.

A właściwie co miałyby mu się udać? – zapytała samą siebie, wchodząc do mieszkania. – Przecież się w nim nie zakocham. Już nigdy się nie zakocham. Chyba że w nowej torebce albo butach. No właśnie! Kupię sobie buty. Albo torebkę i buty.

ROZDZIAŁ VII

TRZEJ HYDRAULICY I ORGAZM NA PLAŻY

– Fajna ta torebka, a buty jeszcze lepsze – powiedziała Ewa, oglądając na komórce najnowsze zakupy Alicji, które zrobiła w sklepie internetowym.

– No, całkiem całkiem. Ja w tym nie widzę nic dziwnego, ani tym bardziej straszego – stwierdziła Lucja.

– W butach czy torebce? – zdziwiła się Alicja.

– W tym, że natykasz się na przystojnego sąsiada – wyjaśniła. – Przecież on mieszka naprzeciwko ciebie. Będziesz go spotykać tak samo często jak tego łysego Karaska z za ściany.

– To ja już chyba wolę łysego Karaska – stwierdziła stanowczo Alicja. – Znaczący spotykać go wolę na klatce schodowej.

Lucja wytrzeszczyła oczy ze zdumienia.

– Czyś ty sfiksowała? – zapytała, a potem zwróciła się do pozostałych przyjaciółek: – Na pewno sfiksowała. Zgodzicie się ze mną, jak wam kiedyś pokażę tego całego Karaska.

– Nie sfiksowałam, po prostu w Karasku się nie zakocham – wyjaśniła Alicja.

– A w Szymonie się zakochałaś? – zainteresowała się Karolina i jakoś tak zbladła.

– Jeszcze nie i nie zamierzam – oświadczyła. – Ale lepiej dmuchać na zimne. Skąd można wiedzieć, dlaczego, od czego i kiedy się człowiek zakochuje? A potem to już jest pozamiatane. Nie, nie, nie! Żadnych chłopów. Co ty taka błada?

– A nie, nic. Tylko jakoś tu duszno. Okno otworzę – powiedziała Karolina i zerwała się z kanapy.

– Swoją drogą, to musiał się jakoś niedawno wprowadzić – zastanawiała się Lucja. – Jeszcze kilka miesięcy temu w tamtym mieszkaniu urzędowali trzej studenci politechniki. Kiedyś bardzo fachowo rurę mi przepchali.

Ewa zakrztusiła się i opluła drinkiem, który podobno nazywał się „orgazm na plaży”.

– Co? Rurę ci przepchali? Nie żartuj! – wychrypiała.

– No tak, tak. – Lucja pokiwała z politowaniem głową. – Rurę w kuchni, taką pod zlewozmywakiem, wiesz? A ty od razu masz brudne myśli. Dobrze, że ci biedni chłopcy nie

trafili na ciebie, bo byś ich zdeprawowała.

– Nie przesadzaj. – Ewa wzruszyła ramionami, wycierając serwetką bluzkę. – Na pewno by się nie skarżyli. A ten twój to też inżynier?

– Nie mam bladego pojęcia – odpowiedziała Alicja, do której było skierowane pytanie, i wzruszyła ramionami.

– Daj jej spokój – ofuknęła Ewę Łucja. – Pogadajmy lepiej o czymś innym. Jak tam twoja praca? Masz coś?

– Nie – odpowiedziała krótko Alicja i podsunęła Ewie szklankę, żeby ta zrobiła jej następnego drinka.

W końcu nawet rozwiedziona rozwódka zasługuje na jakąś przyjemność. Na przykład na orgazm, na plaży albo gdziekolwiek indziej. Zresztą całkiem smaczny.

– Na pewno coś znajdziesz. Potrzebna ci chwila oddechu, żeby zastanowić się, co chcesz dalej robić i w czym jesteś naprawdę dobra – pocieszyła ją Łucja.

– W rozwodzeniu się – odparowała z przekąsem Alicja. – Szkoda, że takiego zawodu nie ma.

– Jest – stwierdziła Karolina.

– Jak to? – zdziwiła się Ewa.

– Adwokat, sędzia, a jak się mąż z żoną albo żona z kochanką pobiją, to nawet prokurator – stwierdziła Karolina.

– Też wymyśliłaś! – ofuknęła ją Łucja. – Przecież Ala nie pójdzie teraz studiować prawa.

– A może pójdzie? – broniła się Karolina.

Alicja przysłuchiwała się wymianie zdań między przyjaciółkami, sącząc „orgazm na plaży”.

– Nie, nie pójdę. Ale wiecie, dzisiaj spotkałam w kancelarii, która mnie rozwodzi z Pawłem, jedną kobietę – powiedziała.

– Szkoda, że nie wysokiego bruneta – westchnęła Ewa. – Mogłaby...

– Przestań, mitomanko, i daj powiedzieć Ali – przerwała jej Karolina.

– No i ta kobieta rozwodzi się już trzeci raz. Za każdym razem dzięki mojej pani mecenas opuszczała męża wraz z okazałą częścią jego majątku – relacjonowała Alicja.

– Zamierzasz zostać zawodową rozwódką? – zainteresowała się Ewa.

– Niech tę wariatkę ktoś uciszy – zażądała Karolina i rzuciła w przyjaciółkę poduszką.

– No, co mnie bijesz? – Ewa zrobiła rozżaloną minę. – Ja też chcę pomóc.

– Pomożesz, jak nie będziesz tyle gadać. Chcesz kanapkę? – Wepchnęła przyjaciółce do ust kawałek chleba, a gdy ta zaczęła się krztusić, walnęła ją w plecy. – Lepiej?

– Yhy – wykrztusiła Ewa. – To co ta twoja zawodowa rozwódka wymyśliła?

– Nie moja, tylko mojej adwokatki – sprostowała Alicja. – Wymyśliła, że jak tylko dostanie papier z orzeczeniem rozwodu, to chciałyby urządzić jakąś huczną bibkę z tej okazji. I zastanawiała się, kogo do tego zatrudnić.

– Przecież to proste. – Karolina wzruszyła ramionami. – Jest mnóstwo ludzi, którzy organizują śluby. Co to dla nich za problem zorganizować dla odmiany rozwód?

– Ale ona właśnie nie chciała zatrudniać takiej firmy – tłumaczyła Alicja. – Rozumiecie... Nie chciała niczego, co kojarzyłoby jej się ze ślubem.

– No to może zakład pogrzebowy? – Ewa sięgnęła po jeszcze jedną kanapkę, ale na wszelki wypadek usiadła z nią daleko od Łucji.

– Też jej to doradziłam – powiedziała Ala. – Ale chciała, żeby to była wesoła impreza. Takiej to raczej zakład pogrzebowy jej nie robi.

– To zależy – powiedziała Karolina. – Moja ciotka opowiadała, że była kiedyś na bardzo

wesołym pogrzebie. Podobno na żadnym ślubie się tak dobrze nie bawiła, jak wtedy.

– Nieboszczyk był taki wredny, że wszyscy się cieszyli, jak wreszcie odwalił kitę. – Łucja pokiwała ze zrozumieniem głową.

– A nie, wcale nie! Nieboszczyk był uroczym starszym panem, za którym wszyscy przepadali. Okazało się, że mają związane z nim wyłącznie wesołe wspomnienia. Zresztą czytałam o tym, że w takiej Ghanie pogrzeb jest bardzo wesołą uroczystością. Są kolorowe trumny, tańce i śpiewy na ulicach – opowiadała Karolina.

– Przyszło mi do głowy, że ja mogłabym coś takiego zrobić – powiedziała.

– Tańczyć na pogrzebie? Masz chyba na myśli pogrzeb Pawła albo taniej Tani. – Ewa parsknęła śmiechem.

– To tak, na pewno. Mogę nawet nago na rurze. Ale tym razem chodziło mi o założenie firmy, która urządzałaby imprezy rozwodowe – wyjaśniła Alicja. – Co o tym myślicie?

– Myślimy, że to świetny pomysł – orzekła w imieniu całego towarzystwa Karolina. – Wypijemy za to. Może dostaniesz na to jakieś pieniądze z Unii Europejskiej? Oni różne dziwne rzeczy finansują. Jak byłam w Hiszpanii, to tam była ferma motyli za pieniądze Unii.

– Co pani chce założyć? – zapytała ze zdumieniem urzędniczka w urzędzie pracy. – Dom weselny? Ostatnio powstaje tego mnóstwo i nie wiem, czy przyznają pani dotację. Są bardzo ostre kryteria, bo ostatnio obcięli nam fundusze.

– Nie, nie dom weselny – tłumaczyła cierpliwie Alicja. – Chcę założyć firmę, która będzie organizowała imprezy z okazji rozwodów.

– Rozwodów? – upewniła się kobieta i uniosła brwi ze zdumienia. – Nigdy nie słyszałam, żeby ktoś urządzał z tego powodu taką huczną imprezę jak ślub. Ludzie po prostu idą do sądu, dostają wyrok i już. Żyją dalej osobno. Albo razem, bo nie mają się gdzie wyprowadzić.

– Do tej pory nikt tego nie robił, ale na pewno znajdą się chętni. Ostatnio jedna moja znajoma szukała firmy, która urządzałaby taką imprezę – przekonywała ją Alicja.

– No nie wiem, nie wiem. – Urzędniczka kręciła z powątpiewaniem głową. – Co by tu pani doradzić?

– Może jednak jest jakaś szansa? – Uśmiechnęła się przymilnie.

Kobieta najwyraźniej wpadła na jakiś pomysł, bo zerwała się zza biurka.

– Tutaj za ścianą pracuje koleżanka, która właśnie się rozwiodła. Zaraz ją zawołam i niech powie, co o tym myśli.

Wyszła, a po krótkiej chwili wróciła z wysoką kościstą blondynką.

– Niech pani opowie jeszcze raz – poprosiła.

Alicja ponownie zreferowała swój pomysł na agencję rozwodową. Gdy skończyła, obydwie kobiety spojrzały na siebie znacząco.

– A niby skąd ja miałabym wziąć na to pieniądze? – wzruszyła ramionami ta, która pracowała w sąsiednim pokoju. – Po tym palancie została mi tylko kupa długów, które będę chyba do śmierci spłacać. I dla dzieci coś pewnie zostanie po kochającym tatusiu.

– No, ale przecież koleżanki z pracy mogłyby pani zrobić prezent – podpowiedziała Alicja. – Taka zbiórka jak z okazji imienin czy urodzin.

– I to by wystarczyło? – zdziwiła się ta, która jako pierwsza rozmawiała z Alicją.

– Każdą ofertę można dostosować do możliwości finansowych klienta – kusiła.

– A co można robić podczas takiej imprezy? – zainteresowała się ta, która się właśnie rozwiodła.

– Mam tutaj kilka propozycji – powiedziała Alicja. Wyciągnęła z teczek plik kartek i położyła je na biurku.

Kobiety przez dłuższą studiowały zapiski, które robiła do późnej nocy, a właściwie to do wczesnego ranka, gdy dziewczyny już poszły i została sama. To znaczy z Gipsowym i z Pasztetem, który najadł się pasztetu i zasnął w swoim ulubionym miejscu pod oknem. Chyba śniły mu się gołębie, bo co jakiś czas warczał i machał łapami albo ogonem.

– To mi się podoba – stwierdziła w pewnej chwili ta, która się właśnie rozwiodła. – Ten tort.

– Bardzo dobry wybór. Tort w kształcie kochanki. Można by jej obciąć głowę. Albo w kształcie męża, z nożem wbitym w serce.

– Ja bym mu chciała obciąć... – Świeżo upieczona rozwódka zawiesiła głos i spojrzała znacząco na Alicję. – Czy można to dorobić z ciasta?

– Bez żadnego problemu – odpowiedziała Alicja. – W dowolnym rozmiarze.

– No to ja bym sobie zażyczyła jak najmniejszy – powiedziała kobieta i uśmiechnęła się mściwie. – I chętnie wyślę zdjęcia tej jego flamie.

– To uda się jakoś sfinansować ten projekt? – zapytała Alicja i zacisnęła kciuki pod stołem.

– Niech pani zajrzy za tydzień – odpowiedziała urzędniczka, z którą rozmawiała na samym początku. – Zobaczę, co da się zrobić. Mamy jeszcze jakieś fundusze z Unii Europejskiej.

– Myślisz, że to chwyci? – zgłosiła wątpliwości ta z sąsiedniego pokoju.

– Kochana, oni dają kasę na różne dziwne rzeczy. Ostatnio przelewałam pieniądze jakiemuś facetowi, który chciał otworzyć ekologiczną szkołę języków obcych dla papug. Sprawdzaliśmy wszystko, ale nie było żadnych przeciwwskazań. A jakieś pół roku temu sfinansowaliśmy z funduszy unijnych żeńską orkiestrę.

– To akurat chyba nic dziwnego – wtrąciła się nieśmiało Alicja.

– Ale one grały na butelkach i kieliszkach. Nazywały się chyba „Recykling band” czy jakoś tak – wyjaśniła urzędniczka. – Pani projekt nie wygląda na bardziej dziwaczny niż te dwa. Niech pani wypełni papiery i złoży w pokoju numer trzydzieści cztery. To na pierwszym piętrze.

Alicja pożegnała się i wyszła. Za nią wybiegła urzędniczka, która właśnie się rozwiodła.

– Zanim pani złoży ten wniosek, niech pani go przyniesie do mnie. Gdyby coś było nie tak, to pani powiem. Naprawdę podoba mi się ten pomysł – powiedziała.

Alicja już chciała zaproponować urzędniczce jakiś solidny rabat na usługi swojej nowej firmy, ale w ostatniej chwili ugryzła się w język. Jeszcze oburzyłyby się, że petentka usiłuje ją skorumpować.

– Dziękuję bardzo – powiedziała tylko.

– To żaden problem – odpowiedziała kobieta. – Niech pani chwilę poczeka. Dałaby mi pani jakąś zniżkę na taką imprezę? Nie wiem, czy koleżanki zbiorą pieniądze, bo to różnie z tym bywa. A ja bym chętnie dla znajomych zrobiła.

– Oczywiście – odpowiedziała nieco zaskoczona Alicja, bo w życiu jeszcze nikt nie namawiał jej do korupcji. – Może pani liczyć na bardzo preferencyjne ceny. Policzę absolutnie po kosztach.

Bardzo ucieszona urzędniczka popędziła po schodach w górę, a Alicja ruszyła do wyjścia.

Ledwo wsiadła do Czarownicy, rozdzwonił się telefon. Znowu Paweł! Nie miała ochoty rozmawiać z nim o jego zaginionych bokserkach. Odrzuciła połączenie i w doskonałym humorze pojechała do domu. Nakarmiła Paszteta, przebrała się w wygodniejsze ciuchy i oznajmiła psu:

– Idziemy na długi spacer! Należy nam się. Tobie, bo siedziałeś w domu, a mnie, bo... Bo nie siedziałam w domu.

Zjechali windą i ruszyli w kierunku brzozowego lasu na obrzeżu osiedla. Po drodze minęli blok, w którym na parterze mieściły się sklepy i punkty usługowe. Na jednym z nich

wisiała kartka „Do wynajęcia od zaraz”. Z szyldu wynikało, że wcześniej była tu jakaś chińsko-wietnamsko-japońska knajpka.

Okoliczni mieszkańcy chyba nie gustowali w orientacji. A tak swoją drogą, to ja też muszę pomyśleć o wynajmowaniu jakiejś sali, gdyby mi tę dotację jednak przyznali – pomyślała. – Ale to chyba by się nie nadawało. Może w hotelu? Nie, nie dam im zarobić ani grosza po tym, jak mnie potraktowali. Zresztą, pewnie kazaliby personelowi wyrabiać nadgodziny, za które zapłaciliby za trzy lata. Jak coś takiego znaleźć i przy okazji nie wpakować się w jakąś kabałę?

Paweł zawsze mówił, że jest naiwna. Chyba miał rację. Podobno była ostatnią osobą, która dowiedziała się, że ukochany mąż ją zdradza.

– Najwidoczniej niczego mnie to nie nauczyło, bo ostatnio uwierzyłam jakiemuś obcemu facetowi, że to nie on zdefraudował pieniądze kosiarkom do trawy. Nie, chyba dźwigom. A może traktorom? Zresztą, nad czym ja się zastanawiam? Pasztet, gdzie tak pędzisz? No naprawdę, szalony pies! Kogo ty wywąchałeś w tych krzakach? Mam nadzieję, że nie żadnego trupa. – Wzdrygnęła się. – Ja nie mam takiego zacięcia jak Zuzanna, starsza siostra Baśki. Ona bez przerwy pakuje się w jakieś kryminalne historie ze złodziejami albo znikającymi trupami. Ostatnio jak ją widziałam, to coś takiego właśnie opowiadała. No właśnie! Zuza Nowik. Nie, teraz po mężu Roszkowska. Przecież ona jest agentką nieruchomości[2]. Muszę do niej zadzwonić jak tylko wrócimy do domu. Pasztet, wylaż wreszcie z tych krzaków!

Ale pies, zamiast zareagować na jej wezwanie, szarpnął smycz i wciągnął ją w największe chaszczce.

– O Jezu! – krzyknęła na widok leżącego na ziemi mężczyzny, na którego o mało nie nadepnęła.

Trup! W złej chwili przypomniałam sobie o Zuzannie. Baśka zawsze mówiła, że jej siostra jest pechowa.

W tej samej chwili trup przewrócił się na drugi bok i spojrzał na nią z uśmiechem. No kurczę blade! Już nawet w krzaki nie mogła spokojnie wejść, żeby nie czał się przystojny uśmiechnięty, tym razem bez martensów na nogach?

– Przepraszam. Chyba cię przestraszyłem – powiedział, podniósł się i wyciągnął spod krzaka buty. – Chciałem tylko pomedytować. Dobrze się czujesz?

A jednak miałam rację, że z nim jest coś nie tak – pomyślała Alicja i z trudem powstrzymała się, żeby nie wzruszyć lekceważąco ramionami. – Ciekawe, czy jest żonaty. Jeśli tak, to współczuję jego żonie.

– Odpowiedz, bo pomyślę, że skamieniałaś ze strachu. Wiesz, że medycyna zna takie przypadki? To się nazywa stupor. Taki rodzaj chwilowego paraliżu na skutek szoku – powiedział mężczyzna. – Na przykład u kóz. Przerazona koza na widok drapieżnika w pierwszej chwili zrywa się do biegu, ale nagle strach wywołuje paraliż mięśni i albo staje w miejscu, albo upada. Słyszałaś kiedyś o tym? O, przepraszam. W żadnym wypadku nie chciałem cię porównać do kozy. Tak mi przyszło do głowy, bo akurat tym się zajmuję zawodowo.

– Kozami? – Alicja uniosła brwi.

– Również – roześmiał się mężczyzna.

Pasterz kóz – pomyślała Alicja. – Albo co gorsza – rzeźnik! Rzeźnik morderca!

– Jestem weterynarzem – doprecyzował sąsiad, bawiąc się z Pasztetem, który skakał wokół niego jak szalony. – A o stuporze napisałem kiedyś artykuł do miesięcznika branżowego.

Nie, Alicja nigdy o stuporze nie słyszała. Nawet chyba nigdy nie widziała z bliska kozy poza tymi w ogrodzie zoologicznym, w którym ostatnio była z wycieczką szkolną jak miała bodaj z dziesięć lat.

– No dobrze, wracaj do swojej pani – powiedział Szymon. Złapał za koniec smyczy

i podał ją Alicji. – Mówiłaś, że opiekujesz się nim tylko tymczasowo. Czy już znaleźli się właściciele?

– Nie, jeszcze nie – odpowiedziała i w tej samej chwili skojarzyła, że już drugi dzień nie zaglądała na stronę, gdzie zamieściła ogłoszenie. – No to cześć. Musimy już wracać do domu.

Ściągnęła smycz i ruszyła w stronę bloku, nie oglądając się za siebie. Miała mało komfortowe wrażenie, że sąsiad ciągle stoi na ścieżce i przygląda się jej, oczywiście z tym swoim uśmiechem. Za to Pasztet co kilka kroków z żalem oglądał się za siebie i cicho popiskiwał.

– No chodź już! – rzuciła w końcu poirytowana. – Za tyle pasztetu to mógłbyś zdobyć się chociaż na jakieś pozory lojalności.

Gdy przyszli do domu, pies natychmiast pobiegł do Gipsowego, a jego opiekunka usiadła w fotelu i zaczęła szukać w necie informacji o tym całym stuporze.

– Widziałem, że spotkała pani sąsiada. Bardzo miły człowiek – usłyszała nagle od strony okna.

– Nie zauważyłam pana – uśmiechnęła się do Wieśka. – Przepraszam.

– Nie szkodzi. – Mężczyzna machnął ręką. – Mam dla pani nowy kawał o krasnoludkach. Leży facet w łóżku, aż tu nagle ktoś łomocze do drzwi. Facet otwiera – nikogo. Wraca do łóżka. Za chwile znowu łomot. Facet otwiera, rozgląda się na boki. Wreszcie patrzy w dół i widzi krasnoludka. Krasnoludek pyta: „Czy ma pan klej?”. Facet odpowiada: „Nie, nie mam!”. Zatrząskuje drzwi i idzie spać. O piątej nad ranem ktoś znowu łomocze do drzwi. Otwiera... „Dzień dobry, to ja, krasnoludek, proszę, oto klej!” Dobrze?

– Naprawdę dobre! Tego jeszcze nie słyszałam – roześmiała się. – Może napije się pan kawy?

– A dziękuję, mam swoją. – Mężczyzna pokazał termos.

– Nie zapomniał pan. – Alicja pokiwała z uznaniem głową.

– Zapomniałem. – Wiesiek machnął ręką. – Zawsze zapominam. Ale koledzy mi przywieźli. No, biorę się do roboty, bo niedługo po mnie przyjadą. A pani niech zamknie okno, bo się będzie trochę kurzyć.

Zrobiła, jak jej doradził, a potem poszła odwiesić bluzę do szafy w przedpokoju. Oczywiście znowu musiała się przy tym potknąć o wór z rzeczami, które przywiozła z domu Pawła.

– Z twojego domu, idiotko – skarciła samą siebie półgłosem. – To ciągle jest również twój dom. Muszę wreszcie rozpakować do końca te toboły, bo się kiedyś o nie zabiję.

Nie miała pojęcia, co też może być w środku. Zawlekła jeden wór do pokoju, usiadła w fotelu i zajrzała do środka.

– Kurza stopa – mruknęła. – Co to ma być?

Chyba jakaś porwana poszwa. Alicja przyjrzała się uważnie. No tak, знаła tę poszwę na kołdrę w szkocką kratę. Suszyła kiedyś pranie na podwórku, a Paweł wypuścił Hulę i Hopa. Potem większość rzeczy nadawała się już tylko na ścierki albo onuce.

– Zaraz, tu jest coś zawinięte. Jakieś zdjęcia? – zdziwiła się.

Nie, to nie były *jakieś* zdjęcia! To były zdjęcia jej i Pawła. Te, których nie zdążyła wkleić do ostatniego albumu.

– Tania bardzo konsekwentnie wymiata wszelkie ślady po mojej osobie w życiu Papusia – roześmiała się sarkastycznie. – A to co? Jakaś uroczystość rodzinna, bo wszyscy odświętnie ubrani. Imieniny ciotki Zofii? Nie... Ciotka obchodziła je uroczyście w maju, a na tym zdjęciu mamy z Pawłem na sobie ciepłe zimowe swetry. Może rocznica ślubu teściów? Tak, chyba tak.

Poukładała zdjęcia na stoliku i przez chwilę im się przyglądała, przekładała, tasowała. A potem wstała, poszła do kuchni i szperała przez dłuższą chwilę w szufladzie. Wreszcie

wyciągnęła ogromne nożyczki. Ile razy je wcześniej widziała, zastanawiała się, do czego też mogą służyć. Teraz nareszcie znalazła dla nich idealne zastosowanie. Wzięła je do jednej ręki, a pierwsze z brzegu zdjęcie do drugiej.

– Tyle razy widziałam w filmach, jak zdradzona żona tnąc na kawałki fotki wiarołomnego partnera. Zawsze uważałam, że to naciągane. No to teraz sama się przekonam, co w tym jest. O ile w ogóle coś – mruknęła pod nosem.

Podniosła nożyczki i odcięła kawałek zdjęcia.

– Mm... – Pokiwała z zadowoleniem głową i odcięła następny kawałek, a potem jeszcze jeden.

Gdy się ocknęła, przed nią leżał potężny stosik drobno posiekanych fotek. Zajrzała do worka, czy nie zaplątała się jeszcze jakaś fotka. Była jedna. Ze ślubu kuzynki Wioli z Radomia. Podziabiała ją na malutkie kawałeczki. Ciągłe jednak czuła niedosyt. Gdyby tak jeszcze jakieś zdjęcia do pociachania! Nagle przypomniała sobie o albumie, który dała jej pani Korolkiewiczowa.

– Gdzie ja go zostawiłam? – zastanawiała się.

Przeszukała całe mieszkanie, ale nigdzie nie mogła znaleźć albumu.

– A niech to! Przecież go nie zgubiłam. W samochodzie też nie zostawiłam, bo pamiętam, że niosłam go do windy razem z goździkami. No właśnie! Goździki! – Olśniło ją wreszcie.

Odsloniła firankę. Był! Leżał pod doniczką. Przy okazji podlała goździki, które już prawie wyzionęły ducha w wyschniętej ziemi.

Usiadła na kanapie, przerzuciła kilka stron albumu, a potem wyrwała zdjęcia i zabrała się za ciachanie ich na drobne kawałki. Sięgała właśnie po kolejne, gdy nagle ze środka wypadła luźna fotografia. Zawirowała w powietrzu i utknęła pod stolikiem. Zuzanna schyliła się, podniosła ją i dokładnie się przyjrzała. Tak, to wtedy Paweł musiał ją zrobić.

Rano zrobiła pranie, bo zapowiadali, że przez najbliższe kilka dni nie spadnie nawet jedna mała kropelka deszczu. Wiara w prognozy meteorologiczne była zdaniem Pawła kolejnym dowodem na jej krańcową naiwność. Po południu, gdy leżeli na kanapie, każde ze swoim czytelnikiem książek, nagle rozległ się grzmot.

– Burza! – jęknęła. – No nie!

– Ależ tak – wymruczał Paweł i przyciągnął ją do siebie. – Zaraz poczujesz, że trzęsie się ziemia.

– Ale naprawdę burza! – Wysunęła się z jego objęć.

– Naprawdę, naprawdę... – Usiłował zdjąć z niej koszulkę.

W tym momencie gdzieś blisko uderzył piorun i w jednej chwili niebo pociemniało. Alicja zerwała się i pobiegła ratować świeżo wypraną pościel.

Tę samą pościel, która teraz leżała pod jej nogami. A Paweł, zamiast jej pomóc, cykał fotki z balkonu.

– Dlaczego ja już wtedy nie zauważyłam, że to kompletny palant? – mruknęła. – Zaoszczędziłoby mi to jakiś rok życia.

Wzruszyła ramionami i pocięła ostatnie zdjęcie, a potem wszystkie ścinki zawinęła w starą poszwę i upchnęła w koszu na śmieci.

– No to przeszłość mam jakby głowy. Pora na przyszłość! Co to ja miałam zrobić? A! Lokal do wynajęcia na imprezy rozwodowe. Muszę zadzwonić do Zuzy Roszkowskiej. Swoją drogą, ciekawe, co tam u niej? Nie widziałyśmy się chyba ze dwa lata. Ktoś mi mówił, że wyjechała z mężem za granicę. Jak on miał na imię... Marek? Maciek? Nie! Michał! –

przypomniała sobie. – Na pewno Michał.

Wyszukała w telefonie numer siostry Baški Nowik. Zanotowała go, jak szukali działki pod budowę domu. To właśnie Zuza pomogła im namierzyć tę w Malinówce.

– Mam nadzieję, że nie zmieniła numeru – mruknęła Alicja pod nosem. – To ostatnio jakaś plaga. Wszyscy zmieniają, kurza stopa!

Już zaczęła się obawiać, że siostra Baški padła ofiarą tego samego trendu, bo przez dłuższą chwilę nikt nie odbierał. Spróbowała po dwóch godzinach. To samo. Już miała zrezygnować, gdy nagle:

– Stara wariatko! Przecież ci mówiłam, że... – krzyknął ktoś po drugiej stronie.

– Przepraszam, chyba pomyliłam numer – spieszyła się Alicja.

– To nie ty, Baška? – usłyszała zdziwiony głos Zuzanny. – Przepraszam, myślałam, że to moja młodsza siostra. A tak w ogóle, to kto mówi?

– Alicja Watrak – odpowiedziała. – Strasznie dawno się nie widziałyśmy. Nie wiem, czy mnie jeszcze pamiętasz...

– No jasne, że pamiętam. Nie jedz pasztetu! – krzyknęła Zuzanna.

– Dlaczego mam nie jeść pasztetu? – zdziwiła się Alicja. – Ja bardzo lubię pasztet.

– Nie, nie ty. Ty możesz spokojnie jeść. Mówiłam do mojego synka Jasia, który wyjada pasztet z kocięj miski – wyjaśniła Zuzanna.

– Psiej – sprostowała odruchowo Alicja.

– Kocięj – poprawiła ją Zuzanna. – Ja mam kota.

– A ja psa i on bardzo lubi pasztet – roześmiała się Alicja. – Powinniśmy poznać ze sobą nasze zwierzaki.

– Już sobie przypominam! – krzyknęła Zuzanna. – Masz dwa słodkie goldeny i męża Pawła. Przystojnego.

– Męża już nie mam. – Alicja machnęła ręką. – Poszedł sobie i zabrał ze sobą Hulę i Hopa. Ja mam teraz psa, który mi się przybłąkał. Zajmuję się nim, dopóki nie znajdzie się właściciel. Właśnie w tej sprawie do ciebie dzwonię.

– Nie no, ja go raczej nie przygarnę. Mój kot terroryzuje wszystkie psy w okolicy – zachichotała siostra Baški. – To taki kot obronny. Ma na imię Mischu. Właściwie to miał być Mistrz, ale dzieci miały mu wymalować transparent na urodziny. I zamiast „Wszystkiego najlepszego, Mistrzu!” napisały „Szystkiego najlepszego, Mischu”.

– Nie, ja nie szukam domu dla niego. Na pewno na dniach znajdą się jego prawdziwi właściciele. Dałam już ogłoszenia w Internecie. A do ciebie mam zupełnie inną sprawę. Chciałabym wynająć jakiś lokal na biuro. Otwieram własną firmę i szukam jakiegoś lokalu, a ty przecież pracujesz w agencji nieruchomości. Będę organizować imprezy – pochwaliła się.

– Śluby i takie tam? – zgadywała Zuzanna.

– Rozwody i takie tam. To znaczy imprezy z okazji rozwodów – wyjaśniła Alicja. – Nie zamierzasz się przypadkiem rozwieść?

– Na razie nie, ale w razie czego zgłoszę się do ciebie. Pomysł bardzo mi się podoba. Chętnie ci pomogę – zadeklarowała się siostra Baški. – Tylko że ja na razie siedzę z Michałem, dziećmi i kotem w Bangladeszu.

– Gdzie was wywiało! – krzyknęła przerażona Alicja. – Czy tam na pewno jest dobry klimat dla małych dzieci? Malaria tam jest czy coś takiego?

– Klimat doskonały – uspokoiła ją Zuzanna. – Środkowoeuropejski jak się patrzy. Ten Bangladesz to wieś w Polsce. Tylko taką ma głupią nazwę. A malaria jak najbardziej jest. Wacek Malaria ciągle siedzi z piwem pod sklepem. Właścicielka mówi o nim: „Ta zaraza znowu mi naszczała pod schodami”. A wracając do twojej sprawy, to chyba jednak będę mogła ci pomóc.

Dobrze się składa, bo akurat muszę wpaść do Zabrzeżna i uporządkować sprawy z naszym mieszkaniem. Wynajmowaliśmy znajomym na czas remontu ich domu. Remont skończyli, wyprowadzają się i trzeba znaleźć kogoś innego. Będę w przyszłym tygodniu, bo wcześniej muszę zlikwidować wszystkie potencjalne rywalki w Bangladeszu i okolicach. Może wynajmę do tego Wacka Malarię?

– To nic nie da – powiedziała z przekonaniem Alicja. – Jak będzie chciał, to i tak zdradzi. Uwierz mi. Coś o tym wiem.

– Pewnie tak. No to zakuję go w pas cnoty – zdecydowała Zuzanna. – Musi być jakaś wersja dla mężczyzn. Zadzwoń do ciebie, jak tylko dojedziemy do Zabrzeżna. Co prawda moją agencję zamknęli, ale kontakty jakieś mam. Rozumiem, że dwupokojowego mieszkania na siódmym piętrze na chcesz wynająć?

– Nie, raczej nie – roześmiała się Alicja.

– Tak też myślałam – westchnęła Zuzanna. – No to do zobaczyska. Jasiu, odejdz od kociej miski, bo Miszczu się zezłości na ciebie tak jak wczoraj i pogryzie ci kapciuszki.

– To były moje kapciuszki – rozległ się gdzieś w tle głos dziewczynki.

Alicja jeszcze przez chwilę z uśmiechem przysłuchiwała się odgłosom życia rodzinnego u Roszkowskich. Potem rozłączyła się, podeszła do okna, usiadła na podłodze obok Paszteta i Gipsowego. Gdy usłyszała ostrzegawcze warczenie, zdała sobie sprawę, że machinalnie sięga do psiej miski i wyzera chrupki z pasztetem.

– No dobra, dobra... – Cofnęła rękę. – Już się tak nie denerwuj. A tak swoją drogą, to czy ja warczałam, jak mi zwędziłeś kanapki? No właśnie. A w ogóle to smaczne te twoje chrupki. I piszą na opakowaniu, że toto ma strasznie dużo witamin i minerałów. Na sierść dobre. To może i na włosy. Tylko żeby mi nie wyrosły na rękach i nogach.

[2] Zuzanna Roszkowska jest bohaterką książek: *Słomiana wdowa*, *Kobieta do zadań specjalnych* oraz *Dama z kotem*, wydanych przez Wydawnictwo Replika.

ROZDZIAŁ VIII

OBCIĘTA GŁOWA KOCHANKI I NÓŻ W SERCU NIEWIERNEGO MĘŻA

Siedziała w kucki na dywanie (uwielbiała tak pracować) i robiła notatki.

– Ta obcięta głowa kochanki i nóż w sercu niewiernego męża to chyba dobry pomysł, nie? – zwróciła się do Paszteta i Gipsowego. – Wpiszę potrzebne produkty na listę zakupów.

Chciała coś jeszcze powiedzieć, ale przerwał jej dzwonek domofonu.

– Ki czort? – pomyślała, a potem spojrzała na współlokatorów. – Nie wiecie przypadkiem, kto to może być? Zapraszaliście kogoś? Nie? Ja też nie. To nie otwieramy. Zaraz sobie pewnie pójdzie.

Ale ten, kto stał pod drzwiami wejściowymi, był najwidoczniej bardzo zdeterminowany, bo nacisnął guziki domofonu jeszcze dwa razy. Westchnęła i podniosła się z podłogi.

Może dziewczyny? – przyszło jej do głowy. – Pewnie postanowiły zadbać, żeby nie wpadła w depresję, i jakieś dyżury wyznaczyły. Mam nadzieję, że nie przyniosły wina, bo jak tak dalej pójdzie, to wpadnę w nałóg. To by się ułożyło w świetny stereotyp – porzucona dla młodej kochanki stara żona wpada w alkoholizm i powoli się stacza.

Ale to nie była żadna z jej przyjaciółek.

– Cześć, tu Paweł. Mogę wejść na chwilę? – usłyszała w słuchawce domofonu.

– Nie, jestem zajęta – odpowiedziała.

– Nie wygłupiaj się. Ja tylko na moment. Chcę pogadać. Alutek, proszę! – przymilał się.

– A idź ty w jasną cholere! – rzuciła wściekła, że znowu stosuje te swoje stare numery, którymi zawsze usiłował ją rozbroić, i odwiesiła słuchawkę domofonu, a potem na wszelki wypadek jeszcze wyłączyła urządzenie.

– Teraz możesz sobie dzwonić do uśmiechniętej śmierci – pomyślała z satysfakcją.

Wściekła wróciła do pokoju i usiadła obok Paszteta i Gipsowego. Przez chwilę wszyscy troje w milczeniu przyglądali się gołębiom, które wielkim stadem sfrunęły z sąsiedniego balkonu, skąd przegonił je pan Karasek. Alicja na wszelki wypadek cofnęła się w głąb mieszkania. Ciągle miała w pamięci zieloną konewkę, którą niechcący uśmierciła.

Chyba powinnam mu odkupić podobną albo zapłacić – wpadło jej do głowy i odruchowo napisała na kartce z listą zakupów „konewka”.

Sąsiad trzasnął drzwiami balkonowymi, a dwie minuty później rozległ się dzwonek do drzwi mieszkania Łucji. Alicja aż podskoczyła ze strachu. Od razu przyszło jej do głowy, że to na pewno upiorny staruszek. Postanowiła udawać, że jej nie ma w domu.

– Mogłam przecież wyjść – powiedziała do Paszteta i Gipsowego, wzruszając ramionami.
– A może się kąpię? Albo depiluję sobie bikini? Na pewno pan Karasek nie chciałby zobaczyć, jak sobie depiluję bikini.

Dzwonek rozległ się ponownie. Tym razem ktoś wyjątkowo długo przytrzymał palec na włączniku. Podkraśla się do drzwi i spojrzała przez wizjer, wstrzymując oddech.

Cholera jasna! – zakląła w duchu. – Paweł!

Chciała wycofać się do pokoju. Zrobiła krok do tyłu i wpadła na Paszteta, który cichcem przyczołgał się za nią do przedpokoju. Krzyknęła ze strachu i tyle było z całej konspiracji.

– Alutek! – krzyknął Paweł i zabębnił palcami w drzwi. – Otwórz! Wiem, że tam jesteś.

– Idź sobie – krzyknęła. – Wcale mnie nie ma i jestem zajęta. Bardzo zajęta. I nie bębnił w drzwi, bo wiesz, że tego nie znoszę.

– Muszę z tobą porozmawiać. Otwórz – prosił Paweł.

– Mówiłam ci, że jestem zajęta. Zadzwoń jutro wieczorem – warknęła.

– Nie odbierasz moich telefonów – powiedział mąż i znowu zabębnił palcami w drzwi.

No pewnie, pacanie – pomyślała z satysfakcją. – Jutro też nie odbiorę. Nigdy już nie odbiorę od ciebie żadnego telefonu, ty zdrajco!

Już zamierzała odejść od drzwi, gdy nagle usłyszała, że na ich piętrze zatrzymuje się winda. Zerknęła przez wizjer. Wysiadł przystojny uśmiechnięty. Przyjrzał się uważnie Pawłowi i podszedł do swoich drzwi. Wyciągnął klucz z kieszeni, otworzył drzwi, ale z jakiegoś powodu nie wszedł do środka.

– Alutek, otwórz! – Paweł bębnił natrętnie palcami w drzwi.

I pomyśleć, że ten jego zwyczaj bębnienia palcami we wszystko dookoła – w drzwi, deskę rozdzielczą w samochodzie, stół, w oparciu kanapy czy fotela – rozczulał ją. Ale ostatnio przestał. Teraz doprowadzał ją wręcz do szału!

– Przestań bębnić. Kąpię się i nie mogę ci otworzyć – krzyknęła.

– Nie słyszałem wody – stwierdził Paweł.

– Czy jest jakiś problem? – usłyszała głos przystojnego uśmiechniętego. – Może mogę w czymś pomóc?

– Nie – odpowiedział Paweł. – Żona nie może znaleźć klucza, a ja nie mam przy sobie swojego. Ona ciągle gubi klucze.

No, tego już było za dużo. Nie dość, że tu przylaźł, wieszał się na jej dzwonku i upierał, że wejdzie, to jeszcze teraz robi z niej przed obcym facetem jakąś niewiarygodną idiotkę.

– Wcale nie zgubiłam klucza! To twoja kochanka gubi klucze! – krzyknęła przez drzwi. – Idź sobie stąd. A tak w ogóle to nie jesteś moim mężem. Rozwodzimy się!

– Chyba naprawdę powinien pan stąd pójść – powiedział przystojny, a Alicja była pewna, że się przy tym uśmiechał.

– Przepraszam, ale dlaczego pan się wtrąca? – rzucił poirytowanym głosem Paweł.

– To co prawda nie moja sprawa... – próbował dalej przystojny.

– Tak. Ma pan rację – przerwał mu Paweł. – To nie pańska sprawa. Ala, otwórz drzwi, do jasnej cholery. Przestań się wygłupiać.

Ala tkwiła z okiem przyklejonym do wizjera, ale ani myślała wpuszczać do środka męża.

W tej samej chwili otworzyły się drzwi sąsiedniego mieszkania i stanął w nich łysy Karasek z konewką do podlewania kwiatków w ręku. Tym razem czerwoną.

– Co to za hałasy? – zapytał. – Jeśli panowie się nie uspokoją, to zadzwonię po policję. Tu przywoici ludzie mieszkają, a nie jakaś tam patologia, co po nocach hałasuje.

Alicja doskonale wiedziała, kogo sąsiad ma na myśli, mówiąc o patologii. Na dodatek dobrze знаła Pawła i wiedziała, że nie odpuści. Zapowiadała się więc grubsza awantura.

Jeszcze Łucja będzie miała jakieś nieprzyjemności przeze mnie, a raczej przez tego durnia Pawła – pomyślała.

Szarpnęła drzwi. Mężczyźni zamilkli i wlepili w nią oczy.

– Przepraszam – powiedziała i zmusiła się do uśmiechu. – Gdzieś zapodziałam klucze.

Chwyliła Pawła za rękaw i wciągnęła do mieszkania, po czym zatrzasnęła z hukiem drzwi.

Przeszła do pokoju i usiadła w fotelu. Mąż poszedł za nią.

– Masz psa – stwierdził na widok Paszteta.

Spróbował go pogłaskać, ale zwierzak zawarczał ostrzegawczo. Paweł cofnął rękę i usiadł na kanapie.

– Przyszedłem, bo mam do ciebie prośbę – zaczął.

Zupełnie idiotycznie przeleciało jej przez głowę, że teraz poprosi ją o to, żeby wróciła. Co powinna odpowiedzieć? Wybaczyć, że ją zdradzał, oszukiwał, upokorzył? Zgodzić się, żeby zaczęli jeszcze raz, od początku?

– Nie wiem, czy będę potrafiła... – zaczęła niepewnie.

– Na pewno będziesz – zapewnił ją z przekonaniem.

Poczuła się dziwnie. Ostatecznie mogła mu nawet wybaczyć, ale może powinien chociaż trochę się pokajać? A on tak po prostu przyszedł i uznał, że wszystko może być jak dawniej? A co z Tanią i dzieckiem? To był cały Paweł. Oświadczył jej się po dwóch godzinach znajomości, a po miesiącu wzięli ślub. Zdradził też przy pierwszej lepszej okazji. Dla niego wszystko było takie proste. A jak jej Łucja mówiła, że informatycy są w prostej linii potomkami prymitywnych neandertalczyków (miała jednego informatyka w rodzinie), to nie wierzyła!

– Ja potrzebuję trochę czasu – odpowiedziała.

– Naprawdę? – odpowiedział zdziwionym tonem. – A dużo? Bo to dosyć pilna sprawa.

No, to już była lekka przesada. Przecież to nie jakiś cholerny maraton. Nie, na maratonie to szybko nie biegają. Raczej jakiś dziki sprint na 100 metrów. Ona w sprintach nigdy nie była dobra.

– Nie wiem, jak dużo – odpowiedziała poirytowana, że ją popędza. – To nie jest dla mnie takie proste.

– Jeszcze się nie rozpakowałaś? – zdziwił się Paweł i rozejrzał się po pokoju. – O, tu jest!

Podszedł do półki z książkami i triumfalnie podniósł kalendarz Alicji.

Zrobiła wielkie oczy. Co ma do tego jej kalendarz? Może będą wrywać strony z ostatnimi miesiącami? Takie symboliczne zamknięcie złego okresu w ich małżeńskim życiu? Ale akurat Pawła nie posądzałyby o takie pomysły. Nie, to absolutnie nie w jego stylu.

Okazało się, że miała rację. Mąż podszedł do niej i podał jej kalendarz. Odruchowo wzięła go do ręki i trzymała, nie bardzo wiedząc, co ma dalej robić. Spojrzała na niego pytająco.

– No, poszukaj – popędził ją i spojrzał na zegarek.

– Ale czego mam szukać? – zapytała i pełna złych przeczuć odłożyła kalendarz na stół.

Paweł wziął kalendarz ze stołu i znowu podał go żonie.

– Nie powiedziałem? Dziwne. Wydawało mi się, że tak. – Wybuchnął śmiechem, który chyba w jego pojęciu miał być rozbajający, ale Alicję ostro irytował. – Tina chciałaby chodzić

do tego ginekologa, do którego ty chodziłaś. No wiesz, tego polecanego w całym Internecie.

Takiej galopady myśli Alicja już dawno nie przeżyła. Najpierw miała ochotę walnąć go z całej siły kalendarzem. A gruby był i w sztywnej oprawie, więc była szansa, że przynajmniej gada podłego ogłuszy. Potem przyszło jej do głowy, że tak naprawdę to chciałaby go tym kalendarzem zatłuc. A potem zepchnąć ze schodów. Wrzucić do szybu windy. Zrzucić z balkonu, żeby spadał jak zielona konewka pana Karaska. Nie zrobiła jednak żadnej z tych rzeczy. Zamiast tego wertowała kalendarz.

– Masz? – dopytywał się niecierpliwie Paweł, zerkając jej przez ramię. – Wiesz, Tinie bardzo zależy. Podyktujesz? O, tu chyba jest. Klinika!

Dlaczego nie? Mogła mu podyktować ten numer. Przeczytała kilka cyfr zanotowanych w poprzek kartki. Zamknęła kalendarz i spojrzała wyczekująco na Pawła.

– A tymi bokserkami już się nie przejmuj. Kupiłem sobie nowe. Udało mi się znaleźć w sklepie internetowym identyczne jak te, które dostałem od Tiny – powiedział.

Wyobraź sobie, że w ogóle nie zamierzałam się zajmować twoimi parszywymi bokserkami – pomyślała, ale nie odezwała się ani słowem.

– No to ja już pójdę – powiedział Paweł i schował do kieszeni dzinsów kartkę, na której zanotował numer podany przez Alicję.

Wziął z fotela swoją bluzę i wyszedł. Usłyszała stuk zamykanych drzwi do windy i jednostajny szum.

A żeby się tak zacięła między piętami – pomyślała mściwie i zacisnęła kciuki. – A potem spadła.

Niestety, nie było sprawiedliwości na tym świecie. Sądząc z odgłosów, jej wiarołomny mąż bez problemu zjechał na parter i popędził do swojej ciężarnej kochanki z upragnionym numerem telefonu.

Posiedziała jeszcze przez chwilę, a potem wstała i stanowczym krokiem ruszyła do kuchni. Otworzyła lodówkę i wyciągnęła butelkę wina. Już miała sięgnąć po kieliszek, który stał na suszarce, ale machnęła ręką.

– Będę piła z gwinta – postanowiła i z butelką w ręku ruszyła do pokoju. – Nie znoszę zmywania. Na szczęście już nie muszę być perfekcyjną panią domu. Domu i tak nie mam.

Klapanęła na fotel. Po krótkim namyśle przeniosła się jednak na kanapę. Uznała, że tak będzie lepiej. Jak się schła, to nie będzie musiała już nigdzie łązić. Podniosła butelkę do ust i już zamierzała wychylić pierwszy łyk, gdy znowu rozległ się dzwonek do drzwi.

– Jak na dworcu, kurza stopa – warknęła i z butelką w ręku ruszyła do drzwi. – Jeśli to Paweł, powiem mu, żeby...

Ale zamiast Pawła za drzwiami stał przystojny uśmiechnięty z naprzeciwka. Tylko zamiast martensów miał na nogach tenisówki.

– Przepraszam, ale chciałem sprawdzić, czy wszystko w porządku – powiedział.

Już chciała krzyknąć, że nic nie jest w porządku. Mąż ją zdradził i wyrzucił z domu. No dobra, sama się wyprowadziła, ale co to za różnica? Z roboty ją wylali. No dobra, sama się zwolniła, ale co to za różnica? A jak się chciała z rozpaczy zalać w trupa, to jakiś duppek jej przeszkadza. W ostatniej chwili jednak ugryzła się w język. Jeszcze tego by brakowało, żeby się wywnętrzała przed obcym facetem i do tego na klatce schodowej. Pan Karasek pewnie podsłuchiwał pod drzwiami.

– Tak, oczywiście – rzuciła. – Dziękuję za troskę, ale naprawdę nic się nie dzieje.

Właściwie to powinna zamknąć drzwi, ale z jakiegoś zupełnie dla siebie niezrozumiałego powodu nie zrobiła tego, tylko tkwiła tam jak głupia.

– Odradzam – powiedział sąsiad, z uśmiechem wskazując na butelkę, którą Alicja ciągle

trzymała w ręce. – Wiem, co mówię. Też przez to przechodziłem. Miałem potem niewiarygodnego kaca. Jakbyś potrzebowała pogadać, to jestem u siebie.

Zamknęła drzwi i wróciła do pokoju. Już miała napić się wina, ale odstawiła butelkę.

– Zwariowałam chyba. Do wszystkich problemów brakowało mi jeszcze kaca giganta – pomyślała.

Skuliła się na łóżku pod kocem i starała się o niczym nie myśleć. Prawie jej się udało i może osiągnęłaby stan nirwany, czyli, mówiąc po polsku, zaczęłoby jej być wszystko jedno, gdyby w panującą w mieszkaniu ciszę nie wdarł się nagle dzwonek telefonu.

Zwlekła się z jękiem z łóżka, spojrzała na wyświetlacz komórki i jęknęła jeszcze głośniej. Mama! Opcja, żeby nie odbierać, nie wchodziła niestety w grę. Po trzech telefonach zadzwoniłaby na policję, żeby zgłosić zaginięcie córki. I biada policjantowi, który usiłowałby ją spławić! Już mógłby się zęgnąć nawet nie z posadą, ale od razu z życiem.

– Słucham – rzuciła do aparatu.

– No, nareszcie odebrałaś – odezwała się poirytowanym tonem matka. – Dodzwonić się do ciebie nie można.

– Mnie też jest miło cię słyszeć – rzuciła do słuchawki Alicja.

– Co? A tak, tak... – Dałaby sobie rękę obciąć, że w tym miejscu matka swoim zwyczajem zamachała ze zniecierpliwieniem ręką tym gestem, który jej córka tak dobrze знаła od dzieciństwa. – Ja właściwie to mam sprawę do Pawła, ale jakoś nie mogę go złapać. Jego komórkę odebrała jakaś straszna dziewczyna. Zatrudniłaś kogoś do sprzątania? Cały czas, jak ze mną rozmawiała, to coś jadła albo żuła gumę. Okropieństwo. O czym to ja miałam ci powiedzieć? Aha! Już wiem! Paweł opowiadał kiedyś, że ma kolegę, który prowadzi mały pensjonat w Szkocji, „Wichrowe Wzgórza”. Chcielibyśmy się tam wybrać z ojcem latem.

– Z ojcem? – zdziwiła się Alicja. – Przecież on nie lubi wyjeżdżać poza swoją ukochaną działkę i nie chce oglądać niczego poza pomidorami.

– Uznałam, że powinniśmy wreszcie zwiedzić kawałek świata – powiedziała matka.

No tak. Teraz było jasne. Ona postanowiła, więc ojciec nie miał już nic do powiedzenia. Alicję zawsze to denerwowało. Już jako nastolatka przyrzekła sobie, że w życiu nie wyjdzie za mąż za faceta, który ma zadatki na pantoflarza. No i nie wyszła. Wszystko można było powiedzieć o Pawle, ale nie to, że jest pantoflarzem. Łajdakiem, palantem, gnojkiem, zdrajcą? Cztery razy tak. Ale nie pantoflarzem!

– Czy ty mnie słuchasz? – rzuciła zniecierpliwiona matka. – Zapytasz Pawła o ten pensjonat w Szkocji?

Alicja westchnęła głęboko.

– Mamo, ja się z Pawłem właśnie rozwodzę – przypomniała. – Raczej nie będę do niego dzwonić, żeby wypytywać o pensjonat w Szkocji. A dla twojej informacji, jego komórkę odebrała kochanka, która teraz z nim mieszka w naszym domu w Malinówce. Zdradzał mnie z nią przez pół roku, zanim się wydało.

Po drugiej stronie zapanowała pełna dezaprobaty cisza.

No tak, teraz się zacznie – pomyślała.

Położyła się na kanapie i czekała, aż matka zbierze amunicję i zacznie strzelać. Rodzicielka jej nie zawiodła.

– Wiesz, że staram się nigdy nie wtrącać w twoje sprawy osobiste... – zaczęła swoją przemowę.

– To nieprawda – weszła jej w słowo. – Jak miałam dziesięć lat, to nie pozwoliłaś mi się przyjaźnić z Zosią Kowalczyk z sąsiedniej klatki.

– Bo to była mała łobuzica. Od razu widziałam, że nic dobrego z niej nie wyrośnie –

stwierdziła z przekonaniem matka.

– No faktycznie. Jest teraz prokuratorem wojewódzkim – powiedziała ironicznie.

– Z tobą to w ogóle trudno rozmawiać – obruszyła się matka. – Musisz się rozwodzić z Pawłem? Zawsze go lubiłam. Tata też.

– Bzdura, tata od początku twierdził, że to wyjątkowy bałwan. Bałwan z wdziękiem – tak o nim mówił. A jeśli chodzi o ścisłość, to on się chce ze mną rozwieść – przypomniała matce. – Zdradził mnie. Jego kochanka jest w ciąży. Nie pamiętasz?

– Pamiętam. Gdybyście mieli dzieci, to nigdy by do tego nie doszło. Ale teraz wszyscy czekają nie wiadomo ile, bo pieniądze, bo kariera. I takie są potem skutki. – Matka westchnęła melodramatycznie.

– Mamo, przestań już. Przecież wiesz, że chcieliśmy mieć dziecko. Jeśli chcesz w ten sposób ze mną rozmawiać, to lepiej nie dzwoń. Może cię to zdziwi, ale ten cały rozwód to nie jest dla mnie przyjemność – warknęła.

– Przepraszam – powiedziała matka urażonym tonem. – Ale postaraj się też zrozumieć mnie. Za każdym razem, jak tylko przyzwyczaję się do kogoś, kogo mi przedstawiś, to zaraz go zmieniasz.

– Nie wymyślaj. Nie było ich aż tylu. No i nie przesadzaj, że za każdym tak przepadałaś. Piotrek był twoim zdaniem za niski – przypomniała.

– A nie był? – zdziwiła się matka.

– Był, ale mnie to nie przeszkadzało. Uprzedzając twoje pytanie, rozstaliśmy się, bo okazało się, że woli Karolinę. Antek też ci się nie podobał – wyliczała dalej.

– Naprawdę? – zdziwiła się matka.

– Naprawdę naprawdę – przytaknęła Alicja. – Uważałaś, że małżeństwo z nim to byłby mezalians, bo nie miał studiów wyższych. Był po technikum. Dla twojej informacji, skończył studia i ożenił się. Niedawno urodziły im się bliźnięta.

– Jaśka lubiłam – przypomniała sobie matka. – Nie powiesz mi, że kazałam ci z nim zerwać?

– Nie, nie powiem – odpowiedziała Alicja. – To on zerwał ze mną, bo wolał Kubę.

– Coś takiego! Ale Pawła to od początku lubiłam – przypomniała matka. – Pamiętasz? Od razu ci to powiedziałam, jak tylko go nam przedstawiłaś. Miałam nadzieję, że się pobierzecie, bo to był doskonały mężczyzna dla ciebie.

– Chyba jednak nie taki doskonały, bo właśnie się rozstajemy – sprostowała z satysfakcją Alicja. – A kolega ze Szkocji jest mój. Tylko że on nie prowadził pensjonatu, tylko Dom Spokojnej Starości „Wichrowe Wzgórze”. Jesteś zainteresowana? Mogę do niego zadzwonić nawet dzisiaj.

– Żartujesz? To chyba dla ojca, bo dla mnie na pewno nie. Dom spokojnej starości! Też coś! – powiedziała urażona matka. – A tak w ogóle, to mogłabyś trochę częściej dzwonić do rodziców. Pamiętaj, że zawsze możesz pogadać, jak masz kłopoty.

– Tak, na pewno – westchnęła Alicja, gdy matka się rozłączyła. – Chyba po to, żeby wysłuchać kolejnej porcji pouczeń i wypominania, co robię źle i jaka jestem beznadziejna, bo nie słucham jej rad.

Wiedziała, że ona robi to z dość specyficznie pojmowanej troski, ale czasami miała ochotę ją udusić. Przez chwilę rozważała, czy nie spędzić reszty dnia w łóżku, pod kocem i z poduszką na twarzy. Ale ledwo się położyła, telefon znowu zadzwonił. Zaklęła tak głośno, że aż Pasztet postawił uszy i oderwał się na chwilę od obserwowania gołębi na balkonie.

– Jednak mam ci załatwić ten dom starców w Szkocji? – zapytała.

– Ja się do domu starców nie wybieram, droga wnuczko – usłyszała rozbawiony głos

babci Agaty. – Mimo że moja córka, a twoja matka, co jakiś czas usiłuje mnie do tego namówić. Tak między nami mówiąc, to ona już tak stetryczała, że się sama do takiego przybytku nadaje. Ostatnio prawie spazmów dostała, jak jej powiedziałam, że idę na dancing ze znajomym.

– Z tym emerytowanym profesorem astronomii? – uśmiechnęła się Alicja.

– Nie, okazało się, że to straszny nudziarz, chociaż tango akurat tańczył nieźle. Teraz umawiam się z jednym emerytowanym pilotem. Obiecał, że załatwi mi skok ze spadochronem. A potem mam na oku jednego pisarza kryminałów. Ale nie mów tego w żadnym wypadku swojej matce, bo mnie ubezwłasnowolni – powiedziała babcia, udając przerażony ton. – A co tam u ciebie, droga wnuczko?

– Nie powiem mamie ani słowa o pilocie i skoku z samolotu ze spadochronem – obiecała Alicja. – U mnie nic ciekawego. Wiesz przecież... Rozwodzę się.

– No wiem, wiem – westchnęła babcia. – Od początku miałam obawy, czy Paweł to na pewno jest mężczyzna dla ciebie, wnuczko.

– Ale nigdy mi tego nie powiedziałaś – powiedziała z żalem w głosie Alicja.

– Bo ja się z zasady nie wtrącam. Zresztą ty byś i tak nie posłuchała, a twoja matka by mnie zakrzyczała. Ona od początku była nim zachwycona – stwierdziła babcia.

– To akurat prawda. Dalej jest – westchnęła Alicja. – Za każdym razem, jak wychodzi temat rozwodu, to słyszę, że na pewno coś zrobiłam źle.

– Nią się nie przejmuj – poradziła babcia. – A jeśli chodzi o Pawła, to mówić nie mówiłam, ale sernika dla niego nie upiekłam, chociaż mówił, że lubi. Pamiętasz?

No faktycznie. Nawet się wtedy zdziwiła, bo babcia Agata była znana z tego, że uwielbiała kulinarnie dogadzać swoim gościom. A choć ona powiedziała przed ich pierwszą wizytą, że Paweł lubi sernik, i on też kilka razy później o tym wspominał, to babcia konsekwentnie podawała szarlotkę, której nie znosił. Pamiętała doskonale ten dzień, gdy przedstawiła jej swojego późniejszego, niestety, męża.

– Powinienem ją poprosić o twoją rękę? – zażartował Paweł, gdy zaparkowali pod domem babci Alicji. – Rzucić się na kolana i wyrecytować jakąś stosowną formułkę? Podobno starsze panie bardzo lubią takie akcje. Mają potem co opowiadać sąsiadkom. Taka odmiana w nudnym życiu. W końcu ile można odkurzać stare meble i prasować serwetki.

Alicja wzruszyła ramionami i popukała się w czoło.

– Babcia Agata i nudne życie? – Parsknęła śmiechem. – No to się możesz zdziwić, i to nawet bardzo.

Faktycznie, Paweł miał bardzo głupią minę, gdy starsza pani otworzyła im drzwi. Spodziewał się moherowej staruszki, a tymczasem zobaczył szczupłą, zadbaną kobietę w dżinsach.

– Przepraszam, nie zdążyłam się przebrać – powiedziała, wprowadzając ich do pokoju.

Tu Paweł przeżył drugi szok. W mieszkaniu nie było ani jednego starego mebla. Babcia Agata miała zwyczaj powtarzać, że jeden rupieć, czyli ona, zupełnie wystarczy. Wnętrze przypominało ekspozycję nowoczesnych mebli. Sprzętów było mało. Z kuchni dochodziła smakowita woń, którą Alicja zidentyfikowała jako absolutnie niepowtarzalny, sławny w całej rodzinie, powodujący wielokrotny orgazm w trakcie jedzenia sernik babci Agaty. Ale sernika jakoś nie dostali...

ROZDZIAŁ IX

PASZTET, CZYLI MIŁOSNE UNIESIENIA I BOLESNE ROZCZAROWANIA

Za oknem od świtu lało jak z cebra.

– Co za wiosna taka jakaś do kitu w tym roku – jęknęła Alicja, stojąc obok Gipsowego i patrząc za okno. – Przechlapana, słowo daję, całkiem jak moje życie. Pasztet, idziemy na spacer! Deszcz nie deszcz, wysikać się trzeba.

Ubrała się i wyszli. Gdy czekała na windę, otworzyły się drzwi sąsiedniego mieszkania i wyszedł z nich pan Karasek. Na smyczy prowadził spanielkę. Na jej widok Pasztet dostał kompletnego świra. Zaczął się wyrywać, piszczeć i koniecznie chciał się zbliżyć do pięknej spanielki.

– Niech pani trzyma swojego psa – zażądał sąsiad poirytowanym głosem.

– Przecież trzymam – powiedziała i w tym momencie Pasztet tak szarpnął, że o mało nie wywinęła orła i nie spadła ze schodów. – Przepraszam, ale nie wiem, co mu się stało. Może pański pies, to znaczy, chciałam powiedzieć: suczka, ma cieczkę?

Pan Karasek spojrział na nią tak, jakby właśnie zaproponowała mu ostry seks w krzakach za blokiem. Na szczęście w tej samej chwili winda nadjechała.

– Ja pojedę pierwszy, a pani ze swoim psem niech poczeka – powiedział pan Karasek, po czym, nie czekając na jej odpowiedź, wszedł i zamknął za sobą drzwi.

Pasztet spojrział smętnie na spanielkę, która powoli znikwała mu z oczu, a potem przenikliwie zawył.

– Przestań, bo mi się tu zaraz wszyscy sąsiedzi zlecą – jęknęła.

W tej samej chwili gdzieś niżej faktycznie otworzyły się drzwi.

– Co tam się dzieje? – rozległ się krzyk. – Człowiek po nocnej zmianie wyspać się nie może.

Otworzyły się kolejne drzwi.

– Przestań się pan wydzierać, panie Wołak. Dziecko dopiero co spać położyłam, a pan burdy robi na klatce schodowej. Na policję zaraz zadzwonię.

– Ja żadnych burd nie robię, pani Karasińska. To znowu ci z jedenastego piętra.

Nie wiadomo, czy w końcu sąsiedzki aktyw nie pofatygowaliby się osobiście na jedenaste piętro, celem napiętnowania awanturników, ale na szczęście wcześniej z parteru przypełzła z jękiem i zgrzytem winda. Alicja szybko weszła do środka, a za nią wskoczył ochoczo Pasztet. Przez jedenaście pięter zachowywał się jak szalony. Biegał z kąta w kąt, obwąchiwał ściany i popiskiwał. Gdy winda zatrzymała się na parterze, wystrzelił jak rakieta, ciągnąc za sobą Alicję. W wielkim pędzie minęli Szymona, który – sądząc po stroju – wracał właśnie z porannego biegu. Otworzył drzwi od klatki schodowej i w ostatniej chwili zdążył się odsunąć, bo inaczej zostałby staranowany przez Alicję i wiedzionego zewem natury Paszteta.

Niestety, pan Karasek i jego spanielka jakby się zapadli pod ziemię. Biedny, trafiony piorunem sycylijskim Pasztet przez pół godziny biegał i obsikiwał z rozpaczy każdy krzaczek, a potem wrócił do Alicji z podkulonym ogonem. Przez resztę dnia leżał na swoim miejscu pod balkonem z głową ułożoną na łapach.

– Może zjesz trochę pasztetu? – zapytała po kilku godzinach Alicja, zaniepokojona jego stanem. – Kupiłam wczoraj kilka puszek twojego ulubionego. No to jak? Może być saute, bez suchej karmy – kusila.

Zero reakcji.

– Tęsknisz za swoimi właścicielami? Może są jakieś nowe wiadomości? Chcesz, to sprawdzę – zaproponowała.

Ale Pasztetowi było najwidoczniej wszystko jedno. Wyglądał, jakby postanowił umrzeć z miłości do spanielki łysego Karaska. Gdy następnego dnia ten stan nadal się utrzymywał i pies w dalszym ciągu nie chciał nawet spojrzeć na swoje ulubione kanapki z pasztetem, uznała, że sprawa dojrzała do fachowej interwencji. Zadzwoiła do weterynarza i poprosiła o umówienie wizyty dla Paszteta.

– Niestety, ale pan doktor Koszowski ma urlop. Właśnie od dzisiaj. Będzie dopiero za dwa tygodnie. Mogę panią zapisać do doktora Gąsacza – zasugerowała recepcjonistka.

Alicja nie znosiła doktora Gąsacza i nie miała do niego zaufania, odkąd usiłował jej wmówić, że Hula i Hop to nie golden retrievery tylko hovawarty, więc podziękowała i powiedziała, że zadzwoni po powrocie doktora Koszowskiego.

– A to pech – jęknęła, odkładając słuchawkę. – No i co teraz? Chwila! Przecież Szymon mówił, że jest weterynarzem. Pójdziemy do niego wieczorem. A teraz na spacer! Świeże powietrze dobrze ci zrobi. Gdzie jest moja parasolka? A, tutaj! No, rusz się.

Co prawda Pasztet nie wyrażał najmniejszej chęci na przechadzkę, ale jakoś udało jej się wywlec go w domu. W windzie leżał i smętnie skomlał. Gdy wyciągnęła go z bloku, położył się obok kosza na śmieci i wyglądał, jakby zamierzał tam wyzionąć ducha z powodu nieszczęśliwej miłości.

– Nie przesadzaj – ofuknęła go Alicja. – Jak najbardziej popieram stałość w uczuciach i nawet czasami wzruszam się na komediach romantycznych, ale ty ją widziałeś tylko raz! Weź się w garść, chłopie! Zobacz, ile tu wokoło dziewczyn, to znaczy suczek.

Jakby na zamówienie z sąsiedniego bloku wyszła kobieta. Na smyczy prowadziła pudlicę. Pasztet zerwał się na równe nogi i ruszył w dzikim pędzie w ich kierunku.

Na widok pędzącego psa właścicielka pudlicy podskoczyła, jakby ktoś ukłuł ją szpilką w chudy pośladek. Ściągnęła smycz i zasłoniła pupilkę.

– Niech pani natychmiast zabierze tego potwora! – krzyknęła histerycznie. – Lala! Siedz grzecznie. Nie podchodź nawet do tego psa.

Pudlica tymczasem ani myślała stosować się do jej poleceń. Ciągnęła z całej siły smycz.

– Mówiłam, żeby pani zabrała tego potwora – krzyknęła jej właścicielka.

– To nie jest żaden potwór – odpowiedziała z godnością Alicja. – A pani pudlica wcale się go nie boi. Wydaje mi się, że nawet jej się podoba. Proszę się nie bać, przecież jej nie zje.

– To jest złota medalistka – pieniała się dalej właścicielka Lali. – Wielokrotna złota medalistka.

Pasztet tymczasem robił wszystko, żeby skrócić dystans do pięknej pudlicy. Ta z kolei prowokowała go, obracając się, kręcąc wystrzyżonym zadkiem i prezentując swoje wdzięki z różnych stron. Pasztet szarpnął, wyrwał smycz z ręki Alicji i dopadł do Lali. Ta zapiszczała i ukryła się za swoją panią.

– Biedactwo! Ten zły piesek chciał cię skrzywdzić! – powiedziała właścicielka i wzięła ją na rękę. – Taki duży i brzydki.

– Czy pani przypadkiem nie przesadza? – zapytała spokojnie Alicja, choć miała ochotę udusić babę smyczą. – On chciał się tylko przywitać. Jest wykastrowany. Pani pupilce nic nie grozi.

– Może ją pokaleczyć, a mamy jutro bardzo ważną wystawę. Lala jest wielokrotną medalistką, i to międzynarodową. Mówiłam, żeby pani zabrała swojego psa! – krzyknęła histerycznie kobieta.

Alicja wzruszyła ramionami i ściągnęła smycz.

– Chodź, Pasztet. Idziemy do domu. Lala nie chce się z tobą zaprzyjaźnić – powiedziała i pociągnęła psa w stronę klatki schodowej.

Gdy tylko pudlica zobaczyła, że absztyfikant się oddala, wyszła zza pleców swojej pani i znowu zaczęła kusić swoimi wdziękami. Pasztet zawahał się i zrobił ruch, jakby zamierzał wrócić.

– Miej trochę godności – powiedziała do niego Alicja i pociągnęła za smycz. – Wiem, co przeżywasz, ale weź się w garść. Takie jest życie. Najpierw wielkie miłosne uniesienia, a zaraz potem bolesne rozczarowanie.

Pasztet z ociąganiem ruszył za nią do klatki schodowej. Zwiesił głowę i zamiatał ogonem po ziemi.

– Zachowujesz się jak typowy facet, no słowo daję. – Pokręciła z niezadowoleniem głową. – Wczoraj umierałeś z miłości do spanielki łysego Karaska, a dzisiaj jak gdyby nigdy nic umizgujesz się do pierwszej lepszej lali, to znaczy suki, to znaczy suki Lali. No, ale na szczęście żaden weterynarz nie będzie ci potrzebny.

Ledwo weszła do domu, zadzwonił telefon.

– Cześć. No to jestem w naszym starym dobrym Zabrzeżnie – odezwała się Zuzanna Roszkowska. – Wciąż szukasz lokalu na swoje stypy po nieudanych małżeństwach?

– Ładne określenie. Pozwolisz, że użyję go w ulotkach reklamowych? – zapytała ze śmiechem Alicja. – Jasne, że szukam. Masz coś dla mnie?

– No pewnie – odpowiedziała siostra Baški. – Możemy się tam zobaczyć za dwie godziny. Wcześniej nie dam rady, bo sąsiadka wyszła i nie ma mi kto dzieciaków popilnować, a nie będę ich ciągnęła w taki deszcz. Zapisz sobie adres.

Alicja sięgnęła po kalendarz, otworzyła go na chybił trafił i zapisała.

– Dobra, będę na pewno – powiedziała i rozłączyła się.

Podeszła do okna i wyjrzała. Deszcz jakby trochę zelżał.

– Może się przejaśni – usłyszała głos Wieśka.

– Dzień dobry – pozdrowiła go. – Chociaż chyba nie taki dobry, bo od rana leje. W taki deszcz też pana koledzy tu przywożą?

– Ano, co zrobić? – westchnął. – A słyszała pani ten dowcip o krasnoludku? Krasnoludek i niedźwiedź obserwują deszcz meteorytów. Krasnoludek pomyślał życzenie, niedźwiedź nie

zdążył. Dobrze?

– Hm... – mruknęła Alicja. – Niedźwiedź by się z panem raczej nie zgodził. Chyba zaczyna znowu bardziej lać. Koledzy powinni po pana przyjechać. Może dam panu parasol?

– Nie jestem z cukru, nie rozpuszczę się. – Wiesiek machnął ręką.

– No to do widzenia – pożegnała się. – Muszę się zbierać, bo mam spotkanie.

Na miejsce przyjechała jakiś kwadrans przed umówioną godziną. Rozejrzała się. Na prawo od parkingu był lokal gastronomiczny „Zacisze”, na lewo zakład pogrzebowy. Ustawiła się przed wejściem do knajpy i czekała. Nagle drzwi otworzyły się i ze środka wytoczył się podchmielony mężczyzna. Zachwiał się i gdyby Alicja się nie odsunęła, to by ją przewrócił. A tak przewrócił się sam. Pozbierał się po chwili, rozejrzał wokół zamglonym wzrokiem i wycedził w wyraźnym trudem:

– Podobasz mi się, lala. Naprawdę mi się po... – czknął – ...podobasz, lala.

Spojrzała na niego z odrazą.

– Chodź ze mną na jednego do środka – nalegał facet.

Już miała zamachnąć się plecakiem i walnąć go w ten pijany czerep, ale nagle zauważyła Zuzannę Roszkowską, która machała do niej ręką spod drzwi zakładu pogrzebowego.

– Hejka! Fajnie cię widzieć – powiedziała, podbiegając do niej i oglądając się, czy namolny pijak przypadkiem jej nie goni.

Na szczęście stał ciągle przez knajpą i obejmował czule filar.

– Sorry, spóźniłam się, ale musiałam szukać kota – powiedziała Zuzanna. – Wlazł do pudła od wersalki i od rana razem z dzieciakami nie mogliśmy go wytropić. Wchodzimy?

– Wiesz co? – zaczęła niepewnie Alicja. – Oczywiście, ty się na tym znasz lepiej niż ja, ale mnie się ta knajpa jakoś niespecjalnie podoba. Nie obraż się.

Odwróciła się w stronę lokalu gastronomicznego „Zacisze”. Pijany mężczyzna machnął do niej ręką i upadł na kolana.

– Straszna mordownia. – Zuzanna skrzywiła się. – Już dawno powinno się ją zlikwidować, ale właściciele mają podobno jakieś chody w ratuszu i ciągle przedłużają im koncesję na tę spelunę. Lokatorzy okolicznych domów już chyba z milion pism wystosowali w tej sprawie i nic. Wejźmy do środka, bo już na nas czekają.

Po tych słowach odwróciła się i pchnęła drzwi zakładu pogrzebowego.

– No chodź, chodź, bo bracia Kowalowie czekają – popędziła swoją klientkę.

Zaskoczona Alicja weszła za nią do środka. Przywitało ją dwóch mężczyzn, którzy wyglądali jak kopie, z tą jednak różnicą, że trudno byłoby wytypować, który z nich miał być oryginałem, który zaś odbitką. Przedstawili się jako Leszek i Karol Kowalowie.

– Pani Zuzanna mówiła, że szuka pani miejsca na organizację imprez – powiedział pan Leszek. – Chętnie wynajmiemy salę.

Jego brat otworzył drzwi i Alicja zobaczyła trumnę na katafalku. Ktoś w niej leżał! Ręka bezwładnie zwisała z trumny.

Jakiś koszmar – pomyślała i zrobiła krok w stronę drzwi.

W tej samej chwili nieboszczyk usiadł w trumnie i ziewnął. Alicja krzyknęła ze strachu.

Ratunku! – jęknęła w duchu i poczuła, że nie może się ruszyć. – Chyba mam stupor!

Na dodatek nieboszczyk był ludzaco podobny do braci Kowalów. Prawdziwy koszmar!

– Przepraszamy za bałagan – odezwał się Leszek Kowal.

– Józef! Znowu leżałeś w trumnie! – Karol wycelował oskarżycielsko palec w stronę nieboszczyka.

Alicja zamrugała oczami i zaczęła na szybko rozważać możliwość ewakuowania się z tego dziwnego miejsca, gdyby jakimś cudem odzyskała władzę w nogach. Baśka często

mówiła, że jej starsza siostra jest szurnięta, ale ona nie brała tego poważnie. Tymczasem naprawdę coś w tym było! Zrobiła krok w stronę drzwi.

– No co? – odezwał się nieboszczyk. – Jestem już stary i czasami potrzebuję spokoju. Nigdzie mi się tak dobrze nie myśli, jak tu. W domu wasze żony bez przerwy sprzątają i mnie przeganiają z kąta w kąt.

– Jeszcze raz przepraszamy za brata. Pewnie panią solidnie przestraszył – powiedział pan Leszek. – Józef, wyjdź wreszcie z tej trumny i przedstaw się.

Nieboszczyk wygramolił się z dębowego pudła i podszedł do niej. Podała mu rękę.

– Józef Kowal – powiedział. – Przepraszam. Musiałem zasnąć. Nasze trumny są bardzo wygodne. Polecam dębową.

– Alicja Watrak – wykrztusiła.

– Józef, pani nie chce kupić naszej trumny – ofuknął brata Leszek. – Chce wynająć salę. Oczywiście my to wszystko uprzątniemy. Jest też drugie wejście od podwórka. Tam nie ma szyldu zakładu pogrzebowego, gdyby to komuś przeszkadzało. Nigdy nie myśleliśmy, żeby podnajmować, ale pani Zuzanna tak prosiła... Zresztą, przyda się tu trochę życia wpuścić.

Po obejrzeniu sali i omówieniu wszystkich szczegółów, bracia Kowalowie zaprosili ją na herbatę. Poznała żony Leszka i Karola, Alinę i Ninę. Bardzo miłe starsze panie.

– Na pewno by ci się spodobały – opowiadała babci Agacie, do której wpadła, wracając do domu.

– Mówisz Alina Kowal? Zaraz zaraz... – zastanawiała się babcia. – Ja ją chyba znam. Tak, na pewno. Ale z jakiegoś powodu byłam pewna, że wyjechała do Krakowa. Muszę do niej zadzwonić. Masz może numer telefonu?

– Tak – odpowiedziała wnuczka. – Dali mi numery swoich komórek. Tak na wszelki wypadek, gdyby coś się działo podczas moich imprez.

– Jakich imprez, wnuczko? – zdziwiła się babcia.

– To ja nic nie mówiłam? – zdziwiła się z kolei Alicja. – Byłam pewna, że tak.

– Widocznie za rzadko mnie odwiedzasz – powiedziała z lekkim wyrzutem babcia Agata.

– Zapominasz o starej stetryczalej krewnej.

– Nie jesteś ani stara, ani stetryczala – zaprotestowała wnuczka.

– No, nie jestem. Ale odwiedzać byś mnie mogła częściej – upomniała ją babcia. –

A teraz opowiadaj.

– Będę zaglądać – obiecała Alicja. – I już opowiadam.

Babcia Agata wyraziła poparcie dla pomysłu.

– Może nawet rozwiodę się, żebyś mi urządziła taką imprezę – powiedziała.

– Ależ babciu! Ty nie masz się z kim rozwieść – zwróciła jej uwagę Alicja. – Dziadek nie żyje od dziesięciu lat.

– Z nim bym się nigdy nie rozwiodła – powiedziała stanowczo starsza pani. – Ale niewykluczone, że jeszcze kiedyś wyjdę za mąż.

Po powrocie do domu Alicja wyprowadziła Paszteta, nakarmiła go i usiadła na kanapie, żeby obejrzeć jakiś film. Jak na złość nadawali same komedie romantyczne, na które jakoś ostatnimi czasy nie mogła patrzeć.

– A żeby piorun trzasnął taką telewizję! – zakląła Alicja.

W tej samej chwili rozległ się grzmot, ekran telewizora zamrugał i zgasł, a ułamek sekundy później zgasło też światło.

– Nie o to mi chodziło! – krzyknęła Alicja. – Ja się boję ciemności!

Pasztet zaszczekał ze swojego kąta obok gipsowego krasnala, jakby chciał jej dodać otuchy.

– Dzięki – powiedziała. – Pewnie zaraz włączą.

Wpełzła pod koc i czekała. Ale to musiała być jakaś grubsza awaria, bo po piętnastu minutach, gdy wychyliła głowę na zewnątrz, w mieszkaniu ciągle było ciemno. Przypomniała sobie, że na samym początku, gdy tylko wprowadzili się do Malinówki, też była awaria...

Siedziała w kuchni i pilnowała pykającego na kuchence bigosu. Paweł zaszył się w pokoju na górze z komputerem. Właściwie to sama go tam wygoniła. Grał w jakąś gierkę i co jakiś czas z głośników wydobywały się przeraźliwe odgłosy. Przy każdym podskakiwała do góry, tym wyżej, że akurat czytała kryminał i z przystojnym detektywem przemierzała ciemną nocą miasteczko sterroryzowane przez mordercę kobiet. Ile razy komputer Pawła ryknął, tyle razy ona miała wrażenie, że jakiś psychopata rzuca się na nią i zaczyna dusić. Nagle żarówka pod sufitem zamrugala i zgasła. Już miała wrzasnąć ze strachu, gdy światło rozbłysło. Niestety, tylko na chwilę. A potem znowu zgasło, i to na dobre. Alicja zacisnęła powieki, policzyła do dwudziestu. A potem otworzyła oczy i wrzasnęła ile sił w płucach:

– Paweł! Ja się boję! Jest ciemno! Ja się boję!

No i przybiegł natychmiast. Prądu nie było aż do rana, ale im to zupełnie nie przeszkadzało. Niestety, to była ostatnia taka przyjemna awaria w ich małżeństwie.

Tym razem na namiętne uniesienia nie miała co liczyć. Wylazła spod koca i po omacku ruszyła do przedpokoju, objijając się o ściany i meble. Doszła do drzwi wyjściowych, wymacała klamkę i wyjrzała na klatkę schodową.

– Łucja chyba mówiła, że tu są automatyczne korki – przypomniała sobie. – Tylko gdzie?

Od dzieciństwa cierpiała na kurzą ślepotę. To znaczy, że w ciemnościach kompletnie nic nie widziała.

– Wzrok się po jakimś czasie przyzwyczaja i ja na przykład widzę tylko trochę gorzej niż przy świetle – powtarzał Paweł za każdym razem, gdy na coś wpadła.

– Ale mój się nie przyzwyczaja – odpowiadała. – Taka felerna jestem.

– Kocham wszystkie twoje felery – śmiał się mężczyzna jej życia.

– Nawet kurzą ślepotę? – pytała z powątpiewaniem.

– Kurzą ślepotę przede wszystkim – zapewniał ją mąż.

Jednak najwidoczniej aż tak bardzo tej jej kurzej ślepoty nie kochał, skoro zdradził ją z Tanią. I teraz przez niego musiała się błąkać na oślep po blokowym korytarzu. Na dodatek Pasztet też wylazł z mieszkania i plątał jej się pod nogami.

– Wracaj do domu – warknęła, macając równocześnie ścianę.

Nagle zerwał się wiatr, na klatce zrobił się przeciąg i zatrzasnął drzwi mieszkania Łucji.

To nic, otworzę sobie – pomyślała i w tej samej chwili ją olśniło. – O kurza stopa! Nie otworzę, bo tam jest zatraskowy zamek. Łucja mi opowiadała, że parę razy musiała dzwonić od sąsiadów po Grzegorza, żeby przyjechał ze swoimi kluczami i wpuścił ją do mieszkania. Która to godzina? Prawie północ. Nie będę przecież dzwonić o tej porze, żeby któreś z nich jechało do mnie z tymi głupimi kluczami.

Pasztet szczechnął w ciemnościach.

– No tak, masz rację – powiedziała i usiadła pod ścianą. – Przecież nawet gdybym chciała, to nie zadzwonię, bo telefon został w mieszkaniu. Gdyby tu jeszcze nie było tak

ciemno...

Nagle światło na klatce schodowej rozbłysło i równocześnie ruszyła winda z parteru. Po chwili zatrzymała się na jedenastym piętrze. Drzwi się otworzyły i wyszedł z nich Tomasz zwany Szymonem. Spojrzał ze zdziwieniem na Alicję.

– A ty co tu robisz? – zapytał.

– Siedzę – odpowiedziała, a ponieważ zorientowała się, że zabrzmiało to głupio, dodała szybko: – Drzwi mi się zatrzasły, to znaczy zatrzasnęły.

– Mnie się to przydarzyło przynajmniej ze trzy razy odkąd tu mieszkam. – Pokiwał ze zrozumieniem głową.

– I co wtedy robisz? – zainteresowała się.

– Wzywam dozorcę. On jest ślusarzem – odpowiedział Szymon. – Ale teraz raczej nie przyjdzie.

– Dlaczego? – zainteresowała się.

– Bo widziałem, jak szedł do tej knajpy za skwerkiem. Wcześniej niż nad ranem nie wróci. No, chyba że w knajpie wybuchnie pożar – stwierdził Szymon.

– To posiedzę tutaj do rana – westchnęła i postarała się wygodniej ulokować pod ścianą.

Już teraz bolały ją pośladki.

Jak wejście do mieszkania, to je sobie rozmasuję – pomyślała. – No, czemu nie otwierasz tych drzwi? Zaraz zwariuję!

Ale Szymon jakoś nie kwapił się, żeby wejść do swojego mieszkania. Otworzył drzwi, odwrócił się w jej stronę, poklepał Paszteta po głowie i powiedział:

– Nie, to przecież bez sensu. Nie możesz siedzieć na klatce do rana. Chodź do mnie, a rano sprowadzisz dozorcę.

Alicja w pierwszej chwili zamierzała odmówić, ale poczuła, że nie wysiedzi na tej zimnej podłodze ani chwili dłużej. Zresztą Pasztet podjął decyzję za nią. Prześlizgnął się obok Szymona i zniknął w mieszkaniu. Po chwili rozległ się koci wrzask i Pasztet wypadł z powrotem z przerażeniem w ślepiach.

– Sorry, piesku! Zapomniałem o kocurach. Zaraz je zapędzę do drugiego pokoju, dam im coś do jedzenia i będzie spokój – powiedział. – Niech tam siedzą do rana, jak się przy gościach nie potrafią zachować.

Zniknął na chwilę w swoim mieszkaniu. Po chwili pojawił się i zaprosił Alicję do wnętrza.

– No, nie wygłupiaj się i wchodź – powiedział. – Nie możesz siedzieć tu do rana, bo wilka złapiesz na tej zimnej podłodze. Nie wiem, co to ten wilk, ale tak mówiła moja babcia.

– Kiedyś zapytałam męża mojej znajomej, który jest lekarzem, i on mi wyjaśnił, że chodzi o zapalenie pęcherza – odpowiedziała spontanicznie Alicja i ugryzła się w język, ale już było za późno.

Co jej strzeliło do głowy, żeby z praktycznie obcym facetem rozmawiać w środku nocy na klatce schodowej o swoim pęcherzu? Kompletna porażka.

– To teraz już będę wiedział – roześmiał się Szymon. – No, wchodź do środka, bo zaraz obudzi się pan Karasek i będzie nas straszył wezwaniem policji.

Jakby na zawołanie, za ścianą, pod którą siedziała, rozległo się człapanie, pokastywanie i na klatkę wyjrzał niesympatyczny sąsiad.

– Co to za burdy na klatce schodowej w środku nocy? – burknął niezadowolony. – Jak nie będzie cicho, to wezwę policję.

Alicja i Szymon jak na komendę parsknęli śmiechem. Również z tego powodu, że pan Karasek zaprezentował im się w staromodnych kałesonach wiązanych na sznureczki w kostce.

Alicja wiedziała od babci Agaty, że te sznureczki nazywają się troki. Oburzony pan Karasek demonstracyjnie zatrzasnął drzwi, ale byli pewni, że obserwuje ich przez wizjer.

– No to wchodź, bo jak znam tutejsze zwyczaje, zaraz odezwie się Wolak, który mieszka dwa piętra niżej i serdecznie nie znosi Karaska – powiedział szeptem. – Podobno kiedyś posadał swoją żonę o romans z nim.

– Romans z Karaskiem? – zapytała ze zdumieniem Alicja, ścisząc głos, żeby jej nie usłyszał podsłuchujący pod drzwiami sąsiad. – To chyba niemożliwe.

– A jednak – roześmiał się cicho Szymon. – Może nie zawsze był łysy i wredny. No, zapraszam do środka.

Weszła za nim do mieszkania. Była bardzo ciekawa, jak ono wygląda, ale ledwo sąsiad zamknął za sobą drzwi, znowu zgasło światło. Znalazła się w obcym mieszkaniu, z obcym facetem (no, prawie obcym), w środku nocy i po ciemku. Nawet gdyby chciała, to pewnie nie trafiłaby do drzwi.

– Jesteś tu? – usłyszała głos Szymona dochodzący gdzieś z prawej strony.

Chociaż nic nie widziała, odwróciła się w tamtą stronę.

– Jestem – odpowiedziała.

– To podaj mi rękę – zażądał.

Wyciągnęła przed siebie obydwie ręce i dała się poprowadzić. Miała tylko nadzieję, że sąsiad nie okaże się psychopatą i nie będzie żałowała, że skorzystała z jego zaproszenia zamiast siedzieć do rana na klatce schodowej. Nagle potknęła się i poleciała do przodu. Upadła wprost w ramiona Szymona, który zaczął ją namiętnie całować. Początkowo stawiała opór, bardziej z powodu zaskoczenia niż braku chęci. Ale po chwili stwierdziła, że nie ma nic przeciwko temu, żeby kontynuował. On chyba też nie.

Nagle rozbłysło światło. Oszołomiona rozejrzała się wokoło. Była w mieszkaniu Łucji, leżała w ubraniu pod kocem, a Pasztet lizał ją po twarzy.

– Odejdź! – krzyknęła i odsunęła go ręką.

Właściwie to nie mogła się zdecydować, czy to dobrze, że to był tylko sen, czy wprost przeciwnie.

– I dlaczego mnie się śnią takie głupie rzeczy? – skierowała pytanie do gipsowego krasnala.

– Każdemu czasami się śnią – odpowiedział krasnal.

Alicja wzdygnęła się, ale szybko skojarzyła, że głos dochodzi z balkonu. Koledzy zdążyli już przywieźć Wieśka. Która to godzina? O rany! Dziewiąta!

– A zna pani ten dowcip o krasnoludkach? Do psychiatry przychodzi Kowalski i mówi: „Panie doktorze, każdej nocy śni mi się krasnoludek i...”. Na to lekarz: „Dobra, dobra, znam to, niech go pan po prostu gdzieś wyśle”. Następnego dnia drzwi do gabinetu psychiatry otwierają się, wchodzi krasnoludek i mówi: „Ja od Kowalskiego...”. Dobre, co?

– Świetne! – odpowiedziała Alicja. – Pan to chyba bardzo lubi te dowcipy o krasnoludkach?

– A wie pani, że tak. – Mężczyzna kiwnął głową. – Napije się pani kawy? Mam dzisiaj dwa termosy, bo zabrałem przez pomyłkę Krzyśka Guły.

– A co będzie pił Krzysiek? – zapytała z troską, podsuwając swój kubek.

W dawnych czasach, to znaczy jakieś kilka miesięcy temu, zawsze rano Paweł robił kawę. Pili ją na tarasie swojego podmiejskiego domu. Teraz mogła liczyć najwyżej na kawę z termosu, którą dzielił się z nią facet od ocieplania elewacji.

– Jemu kawa szkodzi. – Wiesiek machnął ręką. – Ma za wysokie ciśnienie. Zresztą, jak będzie już koniecznie chciał, to mu chłopaki dadzą. U nas każdy przynosi termos, bo człowiek

strasznie marznie jak ociepla. Chce pani jeszcze?

– Chętnie – odpowiedziała.

A potem piła kawę i myślała o tym, że teraz za każdym razem, jak spotka na schodach albo w windzie sąsiada z naprzewiwka, to będzie jej się przypominał ten głupi sen. Wyszła z Pasztetem na spacer i tuż przy drzwiach natknęła się... Nie, nie na Szymona, tylko na pana Karaska. I mimowolnie parsknęła śmiechem, przypominając sobie kalessony z trokami.

– Przepraszam, ale coś mi się przypomniało – wykrztusiła.

Sąsiad wzruszył ramionami i wsiadł do windy, a ona z Pasztetem weszła za nim.

ROZDZIAŁ X

CO TO ZA DZIEWCZĘ PRZEBRANE CUDNIE SPACERUJE PO GUMNIE?

– No i co dalej z tą moją firmą? – zapytała Alicja.

Z braku innych słuchaczy jej pytanie było skierowane do Paszteta, który swoim zwyczajem leżał pod balkonem, i do Gipsowego. Krasnal nie zareagował, pies w odpowiedzi jedynie pomachał ogonem. Mogło to znaczyć zarówno: „Nie przejmuj się, wszystko się ułoży” jak i: „No niestety, ale to był kiepski pomysł”. Choć z drugiej strony Pasztet równie dobrze mógł uznać, że „Nic mnie to nie obchodzi”. Mógł też, i to było najbardziej prawdopodobne, machać ogonem zupełnie bez powodu albo dlatego, że go ugryzła mucha.

– No dobra. Podsumujmy. Dotację z urzędu dostałam – kontynuowała Alicja. – Zuza Roszkowska znalazła mi bardzo fajny lokal. Co prawda w zakładzie pogrzebowym, ale moim rozwódkom to nie powinno przeszkadzać. Jak myślicie? Rozwódki nie są chyba tak przesądne jak panny młode? Dałam nawet ogłoszenie na kilku portalach internetowych, ale jakoś klientki nie rzuciły się tłumnie, żeby korzystać z moich usług. Tylko ta kobieta z urzędu pracy bez przerwy do mnie wydzwania i przypomina, że obiecałam jej zorganizować gratis imprezę dla koleżanek. Co prawda chyba nie mówiłam, że gratis. Użyłam określenia „po kosztach”, ale ona najwidoczniej przetłumaczyła to sobie po swojemu.

Chciała coś jeszcze powiedzieć, ale w tej samej chwili usłyszała, że w kuchni z sykiem kipi zupa jarzynowa. Pobiegnęła ratować swój posiłek. Wyjątkowo cenny, bo pierwszy, który sobie przygotowała, od kiedy tutaj zamieszkała. Gdy wróciła, na ekranie laptopa migiała ikonka nowego maila.

– Może pierwsze zlecenie za duże pieniądze? Jak myślisz? – zapytała psa. – Albo wreszcie odnaleźli się twoi właściciele. Chciałbyś?

Pasztet w odpowiedzi dwa razy machnął ogonem w prawo i dwa w lewo. Trudno było z tego wywnioskować, jakie ma zdanie. Za to Alicja coraz częściej łapała się na myśli, że wcale by jej nie przeszkadzało, gdyby po Paszteta nikt się nie zgłosił. Może weterynarz się pomylił?

Ale tym razem to nie była ani klientka, ani tajemniczy nieuchwytni właściciele psa. Recepcjonistka z kancelarii adwokackiej przypominała w imieniu swojej szefowej o spotkaniu.

Rozwód zbliżał się milowymi krokami.

– Wyprawię imprezę sama dla siebie i pewnie zamknę interes – rzuciła ironicznie. – Ale jaka to będzie impreza, psie! Zaszalejemy i wykupimy cały pasztet ze spożywczego na rogu.

Zwierzak w odpowiedzi zamachał ogonem i tym razem było to machanie zdecydowanie jednoznaczne. Perspektywa bibki z pasztetem wyraźnie go ucieszyła.

– Nie bocz się, Gipsowy. Ty też jesteś zaproszony. No dobra. To ja teraz wychodzę, a wy pilnujcie domu – przykazała, wzięła torbę i ruszyła do wyjścia.

W przedpokoju przystanęła, jakby coś sobie przypomniwała. Zawróciła, pogłaskała Paszteta i ruszyła do drzwi. Zawróciła, poklepała Gipsowego po plecach i wyszła.

W recepcji kancelarii adwokackiej powitała ją uśmiechnięta jak zawsze recepcjonistka.

– Dzień dobry – powiedziała. – Pani mecenas zaraz panią przyjmie.

Po kilkunastu minutach Alicja wyszła z gabinetu. W ręce trzymała karteczkę z zapisaną godziną rozprawy. Wzięła z wieszaka płaszcz i parasol.

– Jak byłam tu ostatnio, to spotkałam taką kobietę. Brunetka... – zaczęła.

– A! – roześmiała się recepcjonistka. – Wiem, o kogo chodzi! Elżbieta Ratajczak pewnie. Chociaż z tym nazwiskiem to się właśnie rozwodzi.

Alicji przyszło do głowy, że ona też się wkrótce rozwiedzie z nazwiskiem Watrak i wróci do panińskiego Kalicka.

– Pani mecenas prowadziła wszystkie sprawy rozwodowe pani Ratajczak – kontynuowała recepcjonistka. – I pewnie jeszcze kilka poprowadzi. Ups! Niech mnie pani nie wyda przed szefową, że rozmawiam z panią o klientkach.

– Nie, no skądże – zapewniła ją Alicja. – Ale mam małą prośbę. Gdyby pani mogła do niej zadzwonić albo jakoś przy okazji... Wspominała, że chciałaby urządzić przyjęcie rozwodowe. Nie wiem, czy to jeszcze aktualne. Ale gdyby było, to ja chętnie się podejmę... Właśnie założyłam firmę i będę organizowała przyjęcia rozwodowe.

– Ale nowina! – Recepcjonistka klasnęła. – Pewnie, że zadzwonię. Niech pani koniecznie wydrukuje ulotki. Mogłabym je dawać paniom, które tu do nas przychodzą. Oczywiście, o ile pani mecenas się zgodzi – zastrzegła szybko.

– Na co się mam zgodzić albo nie zgodzić, pani Jolu? – zapytała adwokatka, stając w drzwiach swojego gabinetu.

Alicja opowiedziała o założonej właśnie przez siebie firmie, która miałaby organizować przyjęcia dla świeżo rozwiedzionych.

– Doskonały pomysł – stwierdziła prawniczka. – I nawet już mam dla pani pierwszą klientkę.

Recepcjonistka i Alicja spojrzały na siebie ze zdziwieniem.

– To byłoby świetnie! To znaczy, nie chodzi mi, że to świetnie, że ktoś się rozwodzi... – tłumaczyła Alicja.

– Czasami to najlepsze, co się może kobiecie przytrafić. Niestety. – Prawniczka pokiwała głową. – Wiem o tym, bo właśnie sama się rozwodzę. I chętnie zamówię u pani przyjęcie rozwodowe. Takie z najwyższej półki. Koszty nieistotne, najważniejsza jest dobra zabawa. Czekam na jakąś propozycję. I proszę nie zapomnieć o jutrzejszej rozprawie!

No, o tym to raczej trudno byłoby zapomnieć. Człowiek nie rozwodzi się w końcu co kilka tygodni. Podzieliła się tą refleksją z panią mecenas.

– No, niekoniecznie – roześmiała się ta w odpowiedzi. – Miałam kiedyś klientkę, która chyba była uzależniona od rozwodów. Rozwodziłam ją z sześć razy.

– Siedem – sprostowała recepcjonistka.

– Tak, faktycznie – przytaknęła adwokatka. – Ten siódmy raz to był tak szybko, że chyba

musiała tu przybiec wprost z urzędu stanu cywilnego. Raz nawet jakieś zamieszanie było w sądzie, bo sędzia ani rusz nie potrafił zrozumieć, o którego z kolei męża chodzi.

Alicja wróciła do domu. Wyprowadziła i nakarmiła Paszteta, odkurzyła Gipsowego, ułożyła rzeczy w szafie, chociaż tego nie wymagały.

– Kurza stopa! – jęknęła, wreszcie rzucając się na kanapę. – Przecież ja do jutra zwariuję.

Wyrzała przez okno, ale jak na złość akurat tego dnia koledzy nie dowieźli Wieśka na balkon i nie miała z kim pogadać. Rozejrzała się po mieszkaniu w poszukiwaniu czegoś, czym mogłaby się zająć. Telefony odpadały. Dziewczynom nie chciała zawracać głowy, babci martwić, a na zrozumienie ze strony matki raczej nie było co liczyć.

– Może Baśka? – wpadła na pomysł i wystukała numer, ale koleżanka nie odebrała. – Pewnie walczy ze zmywarką albo właśnie zastygła w zachwycie nad nową. Jak się nazywa to porażenie mięśni na skutek szoku? Stupor chyba. Nic, tylko wpadła w ten cały stupor.

Odłożyła telefon i poszła zrobić sobie herbatę.

– Wiadro moczopędnej herbaty – mruknęła. – Najpierw będę bardzo długo piła, a następne godziny spędzę w toalecie, i tak jakoś mi zleci do jutra.

Gdy sięgała po puszkę z herbatą, niewiele brakowało, a zrzuciłaby młynek, który dostała od Jerzego.

– Uff... – Złapała go w ostatniej chwili. – Stój grzecznie. Nie, ja jednak wariuję. Rozmawiam z młynkiem do kawy.

Wyspała herbatę do czajniczka i odstawiła puszkę, przy okazji strącając młynek. Tym razem nie zdążyła go złapać i rąbnął o podłogę. Podniosła go. Na szczęście nie był chyba uszkodzony. Na wszelki wypadek obejrzała go dokładnie ze wszystkich stron. Gdy tak nim wymachiwała, w pewnej chwili wysunęła się szufladka, do której zsypuje się zmielona kawa. Ale zamiast kawy wyspała się z niej... biżuteria. Bardzo piękna i bardzo stara biżuteria.

– Skąd to się tu wzięło? – Alicja zapomniała o herbacie i z młynkiem pod pachą i pozbieraną z podłogi biżuterią w dłoni powędrowała do pokoju.

Usiadła na kanapie i odsunęła Paszteta, który przybiegł, żeby obwąchać precjoza.

– Pewnie to tej strasznej prababki od wazonu – stwierdziła na głos. – Będę to musiała oddać Jerzemu. A może...

Aż podskoczyła, przerażona tym, co przyszło jej do głowy.

– A jeśli on jednak zamordował żonę i zabrał jej biżuterię, żeby wszyscy myśleli, że to był napad rabunkowy? Widziałam chyba taki film albo czytałam o tym w książce – pomyślała. – No i co ja teraz powinnam zrobić?

Obeszła kilkanaście razy mieszkanie dookoła. Wreszcie usiadła, bo zabołały ją nogi, a wpadając na meble, nabiła sobie kilka solidnych siniaków.

– Muszę tam pojechać i ostrzec Korolkiewiczów. Mogłabym co prawda zadzwonić, ale jak zacznę takie rzeczy opowiadać przez telefon, to pomyślą, że się upiłam. Nie, to trzeba osobiście, a potem pójdziemy razem do starej rudery i dokonamy obywatelskiego aresztowania, czy jak to się tam nazywa – postanowiła.

No tak, ale jak mam to zrobić? Przecież przez płot mieszkają Paweł i Tania. Jak mnie zobaczą, to na bank pomyślą, że ich śledzę. Spaliłabym się ze wstydu. Chyba Paweł opowiadał coś takiego. Jednego faceta od nich z firmy śledziła dawna kochanka.

– *Całe nasze biuro ma polewkę – powiedział kiedyś po przyjściu do domu.*

– *Z niego? – zapytał.*

– *Nie, no skąd – roześmiał się. – Oczywiście z niej.*

No tak. Raczej nie miała ochoty, żeby całe biuro jej byłego męża miało z niej polewkę.

– Muszę się tak ubrać, żeby mnie nikt nie poznał – wpadła na pomysł. – Tylko w co? Paweł zna wszystkie moje ciuchy. Po wyprowadzce nie kupiłam sobie nic nowego. Nie, coś sobie jednak kupiłam. Kapcie i biustonosz. Nie, do kitu! Przecież nie będę latać po Malinówce w biustonoszu i kapciach.

Z drugiej strony czytała gdzieś, że podobno faceci nie zapamiętują tego, co noszą ich żony. No tak, ale pakowała ją jego flama i na pewno przyjrzała się dokładnie wszystkiemu, co ładowała do worków.

– No przecież nie pojedę tam owinięta w koc Łucji! – jęknęła. – Zaraz zaraz! Ona chyba zostawiła tutaj jakieś swoje stare ciuchy. Może coś sobie wybiorę?

Po trzech kwadransach intensywnego grzebania w szafach i kilkukrotnej zmianie stylizacji, uznała wreszcie, że jest przebrana wręcz idealnie. Jak patrzyła w lustro, to sama siebie nie mogła poznać. Miała na sobie brązowe spodnie dresowe (chyba Grzegorza, bo sięgały jej prawie pod pachy) i jadownicie żółtą kurtkę żeglarską Łucji. Pamiętała, że przyjaciółka kupiła ją sobie podczas pamiętnych wakacji na Mazurach w sklepiku GS-u. Na głowę założyła słomkowy kapelusz, w którym nigdy przyjaciółki nie widziała, ale musiał do niej należeć, bo jej męża nie posądzała, aby nosił nakrycia głowy ozdobione szerokimi wstążkami i kwiatami. Z butów skorzystać nie mogła, bo przyjaciółka miała bardzo małą stopę, za to w trepach Grześka mogłaby pływać jak w kajaku, tylko wiosel brakowało.

– No dobra, buty zakładam swoje – zdecydowała.

Była duża szansa, że przy reszcie stroju jej stare, jadownicie żółte trampki z fluorescencyjnymi zielonymi sznurowadłami nie rzucają się specjalnie w oczy byłemu mężowi i jego kochance.

– No i co? – Stanęła przez Pasztetem i Gipsowym.

Pies spojrział na nią i przyjaźnie zamachał ogonem.

– Poznałeś mnie? – powiedziała rozczarowana i założyła ciemne okulary. – Ty się nie liczysz. Psy mają wyostrzone zmysły. Gipsowy na pewno mnie nie poznał. Prawda Gipsowy? No właśnie. Jadę! Trzymajcie za mnie kciuki i pilnujcie mieszkania.

Zjechała windą. Zatrzymała się obok śmietnika, żeby sprawdzić, czy przelożyła wszystkie potrzebne dokumenty i kluczyki od Czarownicy do plecaka Grzegorza, pochodzącego chyba jeszcze z czasów, gdy był w harcerstwie. Miała tam też młynek, który dostała od Jerzego. Uznała, że lepiej się go pozbyć. Odda mu przed aresztowaniem, żeby jej nie wsadzili za współudział. A jakby ją chciał zamordować, to mu przyłoży.

– Nie wolno grzebać w śmietnikach – usłyszała nagle za sobą głos pana Karaska.

Odwróciła się zdziwiona. Sąsiad patrzył na nią rozeźlonym wzrokiem.

– Tak, do ciebie mówię – wycelował w nią palec. – Grzebiecie, rozrzucacie śmieci i fruują potem po całym osiedlu. Idź sobie, bo wezwę straż miejską albo policję.

Spojrzała na niego zdumiona i już chciała się oburzyć, gdy nagle skojarzyła, że pan Karasek jej nie poznał! Uśmiechnęła się promiennie do sąsiada, a ten odsunął się od niej z obrzydzeniem i szybko pomaszerował do klatki.

– Pewnie pomyślał, że jestem pijana i zaraz rzucę mu się na szyję – zachichotała pod nosem, a potem bardzo zadowolona z siebie pomaszerowała na parking.

Do Malinówki dojechała wyjątkowo szybko, bo droga była pusta. Zaparkowała pod lasem, spory kawałek od swojego dawnego domu. Czarownicy raczej nie mogła przebrać i Paweł od razu by się domyślił, że oto zjawiała się jego prawie była żona.

Na miejscu okazało się jednak, że cała ta zapobiegliwość i cyrk z przebieraniem się były zupełnie niepotrzebne. Paweł i Tania chyba wyjechali, bo w całym domu były zasunięte rolety.

Nie było też śladu Huli ani Hopa.

– Paweł zabrał psy ze sobą, czyli wyjechał gdzieś na dłużej. Na szczęście o psy troszczył się bardziej niż o mnie i nie zostawiłby ich samych – stwierdziła. – No to teraz chyba zajrzę do sąsiadów. Muszę sprawdzić, czy u nich wszystko w porządku i jakoś ich ostrzec przed Jerzym. Na razie co prawda nie mam pojęcia jak, ale może wyjdzie w praniu.

W tej samej chwili na ganku sąsiedniego domu pojawiła się Korolkiewiczowa. Spojrzała w jej kierunku i pomachała ręką.

No tak, zaraz pewnie mnie posądzi o próbę włamania i postraszy policją – pomyślała Alicja. – Nie, raczej weźmie za bezdomną i nakarmi zupą, a potem da jakieś stare ciuchy i bochenek chleba na drogę.

Już miała się wzruszyć szlachetnością dawnej sąsiadki i jej wrażliwością, gdy nagle...

– Pani Alicjo! – krzyknęła pani Korolkiewiczowa. – Niech pani wstąpi na chwilę do nas.

– Poznała mnie pani? – zdziwiła się, wchodząc na ganek.

– Od razu – zapewniła ją dawna sąsiadka. – Chociaż muszę przyznać, że miałam chwilę zawahania, bo nigdy się pani tak nie ubierała.

– Przebrałam się, bo nie chciałam, żeby mnie Paweł, to znaczy mój były mąż widział – wyjaśniła. – Jeszcze by pomyślał, że go śledzę. A ja przyjechałam do pani.

Pani Helena uśmiechnęła się.

– No, bardzo mi miło. Zaraz powiem Stefanowi, żeby zrobił nam herbatę – powiedziała. – I ciasto dobre akurat dzisiaj upiekł. Dobrze, że pani nie odkładała tej wizyty do jutra, bo nas tu już nie będzie. Wyjeżdżamy na kilka dni.

– A co tak wszyscy z tej Malinówki uciekają? – zdziwiła się Alicja. – Pawła i Tani też nie ma.

Pani Korolkiewiczowa machnęła ze zniecierpliwieniem ręką.

– Jakiś remont wodociągu ma być. Wyłączą nam wodę na tydzień. A jak tu funkcjonować bez wody? – wyjaśniła. – Tylko dlatego Stefek zgodził się na wyjazd. Normalnie to go wołami od domu i ogródka nie można odciągnąć. Stefan!

– To zupełnie jak mojego taty – roześmiała się Alicja i z ulgą zdjęła kapelusz, bo opadał jej na oczy. Łucja co prawda miała mniejsze stopy, za to o wiele większą głowę. – A co z kurami?

– Jak Stefan pójdzie spać, to ugotuję z nich rosół – powiedziała pani Korolkiewiczowa, a widząc przerażoną minę Alicji, natychmiast dodała: – Wywieźliśmy do znajomych kilka kilometrów stąd. U nich wodę wyłączają w przyszłym miesiącu i wtedy my będziemy mieli u siebie ich ozdobne indyki. Tylko Eulalii nie udało nam się znaleźć, ale ona zawsze chodzi własnymi drogami. Mam nadzieję, że nic jej się nie stanie, bo Stefan by tego nie przeżył. Zawsze jak zniknie, to podejrzliwie zagląda mi do garnków, czy jej przypadkiem nie ukatrupiłam. Stefan! Gdzie on się podział? No, nareszcie jesteś. Pani Alicja nas odwiedziła. Zrobisz herbatę?

Pan Korolkiewicz przez chwilę rozglądał się po kuchni, szukając Alicji. Wreszcie poznał ją i lekko się zdziwił.

– Dzień dobry – powiedział. – Nic się pani nie zmieniła.

– A dlaczego miałyby się zmienić? – Jego żona wzruszyła ramionami. – Przecież widzieliśmy ją w zeszłym miesiącu. A do herbatki podaj ciasto.

Alicji tak miło się gawędziło z zacnymi Korolkiewiczami, że kompletnie zapomniała o ostrzeżeniu przez mordercę, który mieszka w pobliżu. Przypomniała sobie o tym już za furtką. Zatrzymała się i spojrzała niepewnie na dom sąsiadów.

Zawrócić? – zastanawiała się. – Oni i tak jutro wyjeżdżają, a zanim wrócą, to może policja już zdąży go aresztować?

Przechodziła właśnie obok zrujnowanej chałupy, gdy uchyliło się okno w kuchni i ktoś ją zawołał. To był Jerzy. Przez chwilę rozważała, czy jednak nie uciec, ale zwyciężyła ciekawość. Zawsze była ciekawska. Od dziecka. Jako dwulatka polizała zamrożoną poręcz, bo musiała sprawdzić, czy mama nie oszukiwała, że jej skóra zlezie. Zlazła, do dziś pamiętała ten ból, ale ciekawska była nadal. No i był jeszcze ten młynek. Ciężki jak piekło i wszyscy szatani. Z trefną biżuterią w środku.

Jak mnie policja złapie z tym kramem, to jeszcze pomyślą, że byłem jego współniczką – pomyślała i weszła przez bramę.

– Chyba ściągnąłem panią myślami – roześmiał się na jej widok Jerzy. – Tak się właśnie dzisiaj zastanawiałem, że dawno się nie widzieliśmy. Niewiele brakowało, a bym panią w tym dziwnym stroju wziął za kogoś obcego. W ostatniej chwili poznałem po trampkach.

No tak! Wiedziałam! – westchnęła w duchu Alicja.

– Patrę sobie przez okno i myślę, co to za przebrane dziwadło... – kontynuował Jerzy, gdy usiedli w kuchni. – To znaczy, chciałem powiedzieć, co to za dziewczę przebrane cudnie spaceruje po gumnie – roześmiał się.

– Dziwadło, dziwadło. Może pan się nie krępować. Nie mam kompleksów – powiedziała i wyciągnęła z plecaka foliową reklamówkę.

– Co tam pani przydzwigała? – zainteresował się gospodarz.

Gdy postawiła na stole młynek, mężczyzna spojrzął na nią ze zdziwieniem.

– Ale dlaczego pani to odniosła? – zapytał.

Alicja bez słowa wysunęła szufladkę i wysypała na stół biżuterię. Mężczyzna ze zdumieniem wziął do ręki łańcuszek, potem pierścioneł, i przyjrzał im się uważnie.

– To chyba po babci – stwierdził.

– Tej od wazonu? – zainteresowała się Alicja.

– Nie, to była prababka. Babcia była uroczą kobietą – powiedział Jerzy. – Nie miałem pojęcia, że to było schowane w młynku. Staruszka panicznie bała się złodziei i znajdowała ciągle coraz wymyślniejsze schowki. Najgorzej, że później sama o nich zapominała. Napije się pani herbaty? Wstawię wodę.

– Dziękuję, już piłam u Korolkiewiczów. A wie pan, że będzie remont wodociągu i wodę wyłączają? – przypomniała sobie. – Pani Korolkiewiczowa mi mówiła. Jak pan tu będzie funkcjonował bez wody?

– Mam studnię – uspokoił ją Jerzy.

Chyba jednak nie zamordował tej żony – pomyślała Alicja, zasypiając późną nocą. – Zresztą Korolkiewiczowie i tak jutro wyjeżdżają, więc chyba nic im nie grozi. A jak zamorduje Tanię i Pawła, to trudno.

ROZDZIAŁ XI

BYŁO I SIĘ SKOŃCZYŁO, CZYLI NORMALNA KOLEJ RZECZY

Przyjechała do sądu o wiele za wcześnie. Na korytarzu było jeszcze pusto i nic dziwnego, bo rozprawy zaczynały się o ósmej, a zegar na korytarzu pokazywał siódmą pięć. Ledwo usiadła na ławce, pojawiła się sprzątaczką i zaczęła energicznie wymachiwać mopem wokół jej nóg.

– Pani mi się tu nie płacze. Pani pójdzie i usiądzie w tej sali. – Wskazała plastikowym kijem wielkie brązowe drzwi. – Tam już posprzątałam. Jak tu skończę, to pani powiem.

Alicja usiadła w kącie sali, na ławce za filarem. Chyba przysnęła albo zamyśliła się, bo nie słyszała, jak sprzątaczką otwiera drzwi.

– Hej! – krzyknęła kobieta. – Nie ma jej. Pewnie se poszła. Zawracanie głowy. Rozchodzą się, schodzą, a człowiek tylko sprzątać po nich musi. Zawsze ci od rozwodów najwięcej błota naniosą.

Mamrocząc pod nosem, zamknęła drzwi i przekręciła klucz. Na ten dźwięk Alicja ocknęła się i wybiegła zza swojego filara. Ale wpadła na ławkę, a gdy się pozbierała i dopadła do drzwi, sprzątaczką już po drugiej stronie nie było. Usłyszała tylko oddalające się skrzypienie wózka z mopem.

– Kurza stopa! – jęknęła, wracając na swoje miejsce za filarem. – Jeszcze mnie oskarżą o włamanie na salę sądową. Tylko tego mi brakowało. Już widzę te tytuły w lokalnej prasie: „Bezrobotna rozwódka napadła na budynek sądu”. Jak znam tych pismaków, to dołożą od siebie, że byłam pod wpływem alkoholu albo narkotyków. A najlepiej jednego i drugiego. Wszyscy nasi znajomi będą gratulowali Pawłowi, że się ze mną rozwiódł. Muszę się stąd jakoś wydostać, zanim ktoś wlezie.

Podeszła do stołu sędziowskiego i wyjrzała przez okno. Nie dość, że koszmarnie wysoko, to jeszcze zakratowane. Boczne drzwi zamknięte. Co miała w tej sytuacji zrobić? Obeszła salę kilka razy dookoła, ale nic nie wymyśliła, więc usiadła w swoim kącie za filarem i czekała. Po pół godzinie drzwi otworzyły się i zaczęli wchodzić jacyś ludzie. Pojawili się też sędzia i protokolant. Alicja chciała wymknąć się niepostrzeżenie, ale pasek od torby zaklinował jej się

przy oparciu ławki. Gdy wreszcie go wyszarpnęła, rozprawa trwała już w najlepsze. Rzecznica dotyczyła alimentów, o które wystąpiła żona. Alimentów od męża. Para była w wieku rodziców Alicji. Zamiast niepostrzeżenie wyjść, ukryta za filarem i niewidoczna dla sędziego i reszty towarzystwa, przysłuchiwała się z zainteresowaniem. Państwo nazywali się Jan i Maria Kowalscy. Najpierw sąd udzielił głosu kobiecie.

– Mój mąż nie daje mi pieniędzy na utrzymanie domu – powiedziała.

– Czy pani ma jakieś własne dochody? Rentę, emeryturę, własne zarobki, dochody z wynajmowanych nieruchomości albo gospodarstwa rolnego? – zapytała sędzia.

– Nie – odpowiedziała Kowalska. – Nigdy nie pracowałam. Po skończeniu studiów wyszłam za mąż i od tamtej pory zajmowałam się domem i dziećmi. Mąż jest emerytowanym żołnierzem. Często przenosiliśmy się z miejsca na miejsce, bo mąż zmieniał jednostki. Zdarzało się też, że wyjeżdżał za granicę na misję. Dobrze zarabiał i chciał, żebym ja zajmowała się domem i dziećmi. Przez kilka lat opiekowałam się też jego chorą na alzheimera matką. To znaczy moją teściową. Mąż nie chciał oddawać jej do specjalistycznego domu opieki. Teraz przeszedł na emeryturę i przestał dawać pieniądze na dom.

Protokolantka pilnie zapisywała każde słowo powódki, a pozwany z niezadowoleniem kręcił głową i aż przytupywał z niecierpliwości, żeby przedstawić swoją wersję wydarzeń. Wreszcie sędzia udzieliła mu głosu.

– Dlaczego nie daje pan pieniędzy żonie? Przecież ma pan wysoką emeryturę – zapytała.

– Bo to są moje pieniądze – oświadczył Kowalski. – Przez całe życie ciężko na nie pracowałem.

– Ale żona też pracowała – przypomniała sędzia.

– Nie, ona siedziała w domu – sprostował emerytowany wojskowy. – Nigdy w niczym mi nie pomogła w mojej pracy. Nie będę się z nią teraz dzielił moimi pieniędzmi.

A co? Karabin miała za tobą nosić, pacanie? – pomyślała Alicja.

– Jest pan zawodowym żołnierzem. Chyba nie oczekiwał pan, że żona będzie za panem nosić karabin? – zapytała sędzia, a Alicja aż podskoczyła ze zdumienia. – Ustalili państwo podział obowiązków w małżeństwie i każdy powinien wywiązać się ze swojej części. Pana żona zajmowała się domem i dziećmi, pan zarabiał na ich utrzymanie.

Kowalski ciągle nie wydawał się przekonany i jakoś nie trafiały do niego argumenty, że powinien dawać żonie pieniądze na utrzymanie.

– Przecież gdyby pan zmarł, to żona jak najbardziej mogłaby pobierać pańską emeryturę – tłumaczyła cierpliwie sędzia.

Ja bym gada w takim razie otruła – doszła do wniosku Alicja.

– A to pewnie chce mnie otruć! – stwierdził Kowalski. – Od jakiegoś czasu ciągle mam niestrawność.

– Bo jadasz jakieś tłuste świństwa w kantynie – weszła mu w słowo Kowalska. – A lekarz mówił, że musisz uważać na wątrobę.

Alicja była coraz bardziej zainteresowana tym, jak potoczy się dalej ta sprawa. Wychyliła się z ławki, żeby lepiej przyjrzeć się Kowalskim, i strąciła torebkę. Sędzia, protokolantka i skłóceni małżonkowie natychmiast odwrócili się w jej stronę.

– Co pani tu robi? – zapytała surowo sędzia. – Czy jest pani związana z którąś ze stron?

Kowalscy zgodnie pokręcili głowami.

– Proszę opuścić salę sądową, bo inaczej ukarzę panią grzywną i wezwę straż – oświadczyła sędzia.

Wyszła szybko. Na korytarzu kłębił się już tłum ludzi. Była jej adwokatka, był też Paweł, a obok niego, jakżeby inaczej, Tania.

A ta po co tu przylazła? – pomyślała z niechęcią. – Boi się Pawła spuścić na chwilę z oka? To akurat by mnie wcale nie zdziwiło. W końcu jak mnie zdradził, to ją też może. Aż dziwne, że go jeszcze na smyczy nie prowadzi.

Smycz okazała się niepotrzebna. Paweł i tak nie miałby szans uciec, bo kochanka deptała mu po piętach.

A zawsze mówiłeś, że pociągają cię kobiety niezależne. Że nie mógłbyś być z taką, która wiłaby się wokół ciebie jak bluszcz – pomyślała z rozgoryczeniem Alicja. – Ty kłamco i hipokryto parszywy!

Drzwi sali otworzyły się i na korytarz wyszli Kowalscy. Z ich min można było bez najmniejszego trudu wywnioskować, jaki był wyrok sądu. Alicja uśmiechnęła się do Kowalskiej, a kobieta uśmiech odwzajemniła.

Tania konsekwentnie podążała za Pawłem jak myśliwy tropem zwierzyny. Gdy wreszcie wezwano ich do sali, usiadła obok niego w ławce dla stron. Sędzia (ta sama, która przed chwilą wyprosiła Alicję) wzięła do ręki akta sprawy. Przez chwilę studiowała je w skupieniu, a potem podniosła głowę i spojrzała na zgromadzone na sali towarzystwo. Przez chwilę zatrzymała wzrok na Alicji, a potem przeniosła go na Tanię.

– Która z pań jest żoną pozwanego? – zapytała.

– Ja! – krzyknęła Tania.

Protokolantka już miała zanotować, gdy nagle...

– Ja – powiedziała Alicja.

Młoda dziewczyna zastygła z palcami nad klawiaturą laptopa.

Sędzia spojrzała na obydwie kobiety, a potem na Pawła, który siedział z dziwną miną i w dziwacznej pozycji, bo Tania wisiała na nim, jakby miała problemy z utrzymaniem równowagi, a potem westchnęła głęboko. Pewnie niejedno już w tej sali widziała i nic nie było w stanie jej zdziwić. Jeszcze raz zerknęła w akta.

Pewnie żeby sprawdzić, czy przypadkiem nie jest to sprawa o bigamię – pomyślała Alicja.

– Która z pań to Alicja Watrak? – zapytała wreszcie.

– Ja. – Alicja uniosła się lekko na ławce.

– W takim razie kim pani jest dla pozwanego? – zapytała sędzia i ciężkim wzrokiem spojrzała na Tanię.

– Jestem narzeczoną pana Watraka – odpowiedziała z godnością Tania, błyskawicznie prostując się i uwalniając ramię Pawła, przez co stracił równowagę i o mało nie spadł z ławki.

– W takim razie, jako że nie jest pani stroną, może pani zostać pod warunkiem, że obydwoje państwo Watrakowie wyrażą na to zgodę.

– Ja... – zaczął Paweł i przełknął ślinę. – Ja się zgadzam.

Sędzia spojrzała wyczekująco na Alicję.

– Ja się nie zgadzam – odpowiedziała.

Adwokatka, która siedziała obok niej, z zadowoleniem pokiwała głową. Najwidoczniej było to jej zdaniem dobre posunięcie. Paweł spojrzał na żonę. Pewnie tylko jej się zdawało, ale miała wrażenie, że w jego oczach dostrzegła wdzięczność.

– Ale ja chcę zostać – upierała się Tania.

– Proszę, aby opuściła pani salę albo będę zmuszona ukarać panią grzywną i wezwać straż – powiedziała urzędowym tonem sędzia.

– Jestem w ciąży – broniła się Tania.

– Tym bardziej nie powinna pani siedzieć w dusznej sali – stwierdziła sędzia i zawiesiła znacząco głos. – Jeszcze raz proszę, żeby pani wyszła i poczekała na zewnątrz.

Paweł ukrył twarz w dłoniach. Kochanka spojrzała na niego, jakby oczekiwała, że ją poprze i zażąda, żeby została na sali. Widząc, że nic z tego, wyszła wyraźnie obrażona.

Dobrze, że drzwiami nie trzasnęła. A swoją drogą, to Papuś będzie miał przechlapane, jak wróćą do domu – pomyślała Alicja i zachichotała w duchu z satysfakcją.

Gdy drzwi zamknęły się za Tanią, jej już prawie były mąż wyprostował się w ławce i chyba nawet lekko odetchnął z ulgą

– No to teraz nareszcie możemy przejść do rzeczy – powiedziała z uśmiechem sędzia, a potem odchrząknęła i dokończyła już bardziej oficjalnym tonem: – Fakt rozkładu pożycia chyba został już udowodniony.

Spojrzała znacząco na drzwi, pod którymi pewnie podsłuchiwała Tania, a potem przeniosła wzrok na osoby na sali.

– Czy może chce pan coś dodać? – zwróciła się do Pawła. – Sprostować? Tylko niech pan nie mówi, że żona powinna panu czyścić łufę.

Paweł osupiał. Alicja dostała czkawki, którą dyskretnie, ale z mizernym skutkiem usiłowała powstrzymać. Protokolantka po raz kolejny zastygła.

– Przepraszam, pomyliłam sprawę. Proszę to usunąć z protokołu – sędzia zwróciła się do protokolantki. – To chce pan coś dodać czy nie?

– Nie – westchnął Paweł. – Nie chcę.

Dalej poszło już bardzo prosto. Postanowienie o orzeczeniu rozwodu. Podział domu. A właściwie nie tyle domu, co pieniędzy za niego. Paweł zobowiązał się zapłacić Alicji połowę kwoty, na jaką zostanie wyceniony. Jeszcze pytanie, czy chce dalej nosić nazwisko byłego męża. Nie, w żadnym wypadku. Niech je sobie weźmie i idzie z nim do diabła. I już. I koniec. I proszę wstać, bo sąd wychodzi.

To wszystko? – pomyślała Alicja.

Zamiast ulgi, której się spodziewała, czuła ogromny żal. Kilka lat życia i po niespełna godzinnej rozprawie ktoś jednym podpisem to wszystko unieważnił.

– Gratuluję, pani Alicjo. – Adwokatka podeszła do niej. – Wszystko poszło po naszej myśli. Chyba jest pani zadowolona?

– Tak, oczywiście – odpowiedziała trochę niepewnie Alicja i odchrząknęła.

Pani mecenas poklepała ją po plecach.

– Niech mi pani uwierzy, że wiem, co pani teraz czuje – powiedziała. – Rozwodziłam się już. Proszę do mnie zajrzeć jutro albo pojutrze. Tylko niech pani zadzwoni i umówi się. Porozmawiamy sobie na spokojnie. I proszę nie zapominać o moim przyjęciu rozwodowym. No to do widzenia. – Spojrzała na zegarek. – O rety, za pół godziny mam następną rozprawę. Rozwodzę jedną panią ze Stowarzyszeniem Kibiców Klubu Sportowego „Wicher Zabrzeżno”.

– Z całym stowarzyszeniem? – Alicja zamrugwała ze zdumienia. – To ilu ich jest?

– Będzie ze sto pięćdziesiąt chłopów. – Adwokatka pokiwała głową.

– No, ale ona się rozwodzi tylko z jednym. Chyba... – zdziwiła się świeżo rozwiedziona pani Watrakowa.

– Nie, no oczywiście, że z jednym – roześmiała się pani mecenas. – Ale oni do sądu przychodzą zawsze razem. I jeszcze sztandar stowarzyszenia przynoszą. Na początku próbowali jeszcze śpiewać hymn stowarzyszenia. Jak to leciało? Chyba: „Naprzód, naprzód, Wicher Zabrzeżno!”. Ale przestali, bo ich sędzia wyrzucił i jeszcze karę dostali za zakłócanie porządku.

– Matko jedyna. Paweł też się chciał do nich zapisać – przypomniała sobie Alicja. – Już nie pamiętam, dlaczego się rozmyślił. Ale całe szczęście, bo teraz musiałabym się z nimi wszystkimi rozwodzić.

– Prawdopodobnie – roześmiała się adwokatka. – No to do widzenia. Mam nadzieję, że

pójdzie mi równie dobrze, jak tutaj.

Pani mecenas zbiegła po schodach, stukając obcasami. Jej śladem ruszył Paweł z naburmuszoną Tanią uwieszoną na jego ramieniu. Gdy przechodzili obok Alicji, Paweł zrobił gest, jakby chciał się zatrzymać i coś powiedzieć, ale Tania pociągnęła go za rękaw. Alicja westchnęła i powoli poszła do wyjścia. Nie miała tu już czego szukać.

Nagle z ławki pod ścianą zerwała się jakaś kobieta.

– Proszę poczekać! – krzyknęła. – Proszę pani!

Alicja zatrzymała się. To była żona tego wojskowego, co mu czołgu nie czyściła. Nie, nie czołgu. Karabinu.

– Przepraszam, że panią zatrzymuję – powiedziała kobieta. – Może pani się gdzieś spieszy?

– Nie, skąd. Akurat mam czas – uspokoiła ją Alicja. – Czy mogę w czymś pomóc?

– Właściwie to nie. Ale tam na sali od razu miałam wrażenie, że jest pani po mojej stronie i trzyma za mnie kciuki – powiedziała. – Ale może ja się narzucam? Proszę od razu powiedzieć.

– Absolutnie nie. Naprawdę pani kibicowałam i mam nadzieję, że dostała pani alimenty – powiedziała Alicja. – Może gdzie usiądziemy? Tu na parterze jest sympatyczna cukierenka. Mają dobre ptysie.

– Pytała pani o alimenty. Tak, dostałam. Teraz Janek będzie przez tydzień na mnie obrażony – powiedziała kobieta, gdy doniosły do stolika kawę i ciastka i usiadły w prawie pustej cukierni. – Ale później mu przejdzie. Nieraz już tak było. To nie jest zły człowiek, tylko charakter ma ciężki.

– A dlaczego pani się z nim nie rozwiedzie? Przepraszam, nie powinnam zadawać takich pytań. – Alicja szybko się wycofała.

– Myśli pani, że powinnam? – zastanowiła się pani Kowalska. – No nie wiem. To chyba jednak zbyt duża zmiana w życiu. Chociaż muszę przyznać, że najlepsze czasy dla naszego małżeństwa to były te, kiedy Rysiek właściwie nie mieszkał z nami, tylko latał na okrągło po tych swoich ukochanych poligonach. Dzieci też chyba wołały, jak go nie było. Oczywiście cieszyły się za każdym razem, jak wrócił. Tylko że po tygodniu zaczynał cały dom i nas w nim ustawiać po swojemu. I nie można mu było wytłumaczyć, że mamy inne zasady i nie będziemy na przykład wstawać w sobotę o szóstej rano, a kąpać wolimy się w ciepłej wodzie. Po kilku tygodniach on wracał do swojej jednostki, a my oddychaliśmy z ulgą i znowu żyliśmy po swojemu. I tak do następnego razu. Zrobię mu jego ulubione kotlety mielone. To nie jest zły człowiek, tylko taki... jakby sztywny. Jak sobie coś ubzdura, to nikt go nie przekona. Chyba że rozkaz dowódcy albo... wyrok sądu. No, ale on przyzwyczajony do wykonywania poleceń, więc wiem przynajmniej, że te alimenty będzie płacił.

– Może teraz powinna pani spróbować żyć po swojemu? – podpowiedziała Alicja.

– Pani to łatwo mówić – westchnęła kobieta. – Jest pani młoda, wykształcona, ma pani dobrą pracę...

– Akurat pracę straciłam – powiedziała Alicja. – Teraz zakładam firmę. Będę organizowała przyjęcia.

– Ślubne? – zainteresowała się pani Kowalska.

– Nie. – Pokręciła głową niegdysiejsza pani Watrak, obecnie znowu Kalicka. – Rozwodowe. Gdyby pani postanowiła jednak się rozwieść, to chętnie urządzę dla pani takie przyjęcie. Po preferencyjnych cenach, bo dopiero rozkręcam działalność. Proszę, to moja wizytówka.

– Obawiam się, że nawet po preferencyjnych cenach nie będzie mnie stać na coś takiego – westchnęła kobieta. – I pomyśleć, że skończyłam studia. Ale zaraz potem wyszłam za męża,

urodziłam dziecko, potem kolejne, i nigdy nie pracowałam. Jedyne, co potrafię, to piec ciasta. Te ptysie są smaczne, ale nie umywają się do moich. Musiałaby pani spróbować mojego tortu czekoladowego.

– Chętnie bym spróbowała – westchnęła z żalem Alicja. – Uwielbiam tort czekoladowy. Może umieszczę pani wypieki w swojej ofercie? Piekłaby pani dla mnie ciasta?

– Oczywiście! – Pani Kowalska wyraźnie się ożywiła. – Zapiszę pani mój numer telefonu. Zaraz, na czym by tu... O! Może na serwetce. Nie pogniewa się pani? Nie mam wizytówek.

– Ależ skąd! – Alicja zamachała rękami.

Złożyła starannie serwetkę z numerem telefonu pani Kowalskiej i schowała ją do torebki.

– Gdyby ktoś z moich znajomych chciał zamówić tort, też mogę dać pani numer telefonu? – zapytała Alicja.

– Oczywiście – ucieszyła się pani Kowalska. – Mogłabym sobie dorobić.

Pożegnały się i każda ruszyła w swoją stronę. Alicja po rozmowie z tą kobietą poczuła się dużo lepiej. Tak. Była młoda, zdrowa, wykształcona i nie zmarnowała kilkudziesięciu lat z jakimś dupkiem.

– Będzie dobrze! Musi być dobrze! – krzyknęła.

Jakaś brunetka na wysokich szpilkach odskoczyła w bok i o mało się nie przewróciła. Odwróciła się i obrzuciła ją wściekłym wzrokiem.

– Bardzo panią przepraszam – powiedziała Alicja i uśmiechnęła się do niej, ale brunetka nie odwzajemniła uśmiechu. Może jeszcze nie zdążyła się rozwieść? Rozwód ogromnie poprawia samopoczucie!

ROZDZIAŁ XII

PAMIĘTAJ – NIGDY NIE ZACHOWUJ SIĘ JAK KOBIETA Z KLASĄ!

Alicja zakłęła, zakręciła kran nad wanną i podreptała do pokoju. Spojrzała na wyświetlacz komórki. Dzwonił Paweł.

– A ten czego chce? – mruknęła. – Znowu zginęły mu jakieś gacie, a ja muszę wyskakiwać z wanny, żeby pomóc mu je znaleźć? No, od dzisiaj już nie muszę. Nic nie muszę. Jesteśmy po rozwodzie. Od... – spojrzała na zegarek – dziesięciu godzin – stwierdziła z satysfakcją. – Niech spada, idę się wykąpać!

Odrzuciła połączenie, odłożyła telefon i rozwiązując pasek szlafroka, poczłapała do łazienki. Przez całą drogę do domu cieszyła się na myśl o długiej, relaksującej kąpieli, a ledwo wlała do wody, Paweł ją z niej wyciągnął. Zamierzała kontynuować relaks, ale cały nastrój gdzieś się ulotnił, woda zaczęła stygnąć, a maseczka na twarzy szczypać. Wzięła szybko prysznic, przebrała się i wściekła zatrzęsła drzwi łazienki.

Telefon znowu zadzwonił.

– Nie sądziłem, że jesteś taka – powiedział Paweł tonem pełnym pretensji.

– Jaka? – zapytała i zaraz wściekła się na samą siebie, że właśnie dała się wciągnąć w jakąś głupią rozmowę, zamiast spuścić eksmęża na drzewo.

– Małostkowa i cyniczna – odpowiedział.

– Że co? – zdziwiła się, sądząc, że chodzi mu o to, że nie zgodziła się na pozostanie kochanki na sali sądowej. – Chyba trochę przesadzasz.

– Nie przesadzam – przerwał jej były mąż. – Tina od kilku godzin nie może dojść do siebie po tym, co zrobiłaś.

– Nie sądziłam, że jest aż taka wrażliwa. – Alicja wzruszyła ramionami. – Jakoś nie żarły jej wyrzuty sumienia, jak się z tobą gziła na kserokopiarce.

– To nie była kserokopiarka. A w ogóle to ona jest w ciąży. Nie pamiętasz? – rzucił tonem pretensji Paweł.

– No to może nie kserokopiarka, tylko magazynek na papier toaletowy. Zresztą nieważne

gdzie. Ważne, że z cudzym mężem – powiedziała ironicznie.

– Byłm mężem – sprostował z godnością Paweł.

– Od kilku godzin. Dobrze, że mi przypomniałeś. A Tania jest, o ile mnie pamięć nie myli, w szóstym miesiącu. Czyli gdy robiłeś jej dziecko, nadal byłeś moim mężem – przypomniała mu z satysfakcją.

– Trywializujesz i wulgaryzujesz – odpowiedział urażony. – Nie poznaję cię. Jak mogłaś ją tak potraktować?

– To nie ja, sędzia kazała jej wyjść – przypomniała mu.

– Ale ja nie o tym mówię. O tym telefonie do polecanego ginekologa, który mi dałaś – rzucił urażonym tonem były mąż.

– Sam sobie go wzięłaś. – Alicja wzruszyła ramionami. – Nie pamiętasz? Znalazłeś w moim kalendarzu i przepisałeś. Nie dodzwoniła się? Jaka szkoda! Pewnie coś pokręciłeś, jak przepisywałeś. Jak zwykle zresztą.

– Dodzwoniła się i umówiła. Pojechaliśmy tam zaraz z sądu i na miejscu się okazało, że to Klinika Ginekologiczna Dużych Zwierząt! – krzyknął oburzony Paweł.

Alicja wybuchnęła śmiechem i śmiała się tak, jak nie zdarzyło jej się od bardzo, bardzo dawna. Faktycznie, szukała kiedyś tego numeru telefonu. Szef jej kazał, bo jego klacz miała się źrebić i chciał znaleźć dla niej jak najlepszą klinikę.

– Podobno to najlepsza tego typu placówka w całej Polsce – wykrztusiła wreszcie i znowu parsknęła śmiechem. – Polecana w Internecie. Przecież o taką ci chodziło. Jak klacze mogą tam rodzić, to dlaczego Tania nie? Nie pamiętasz już, jak kiedyś nie mogłeś pozbyć się wyjątkowo upierdliwej wysypki i dopiero weterynarz Huli i Hopa dał ci maść, po której wszystko zniknęło już na drugi dzień?

– Z tobą to się nawet nie da normalnie porozmawiać – burknął Paweł. – A myślałem, że rozstaniemy się w cywilizowany sposób.

– A idź do diabła! – krzyknęła i rozłączyła się.

Nagle zaczęła żałować, że w całej tej historii starała się zachowywać z klasą, tak jak doradzają w pismach dla kobiet. Nie awanturowała się, nie rzucała mięsem, nie wytargała za kudły lafiryndy, która sypiała z jej mężem, a temuż mężowi nie rozbiła na głowie kilku talerzy i nie dobiła niewiernego gada wałkiem do ciasta albo tłuczkiem do kotletów.

– Co to w ogóle za kretyński pomysł, żeby zachowywać się z klasą? – zwróciła się głośno do Paszteta i Gipsowego. – Pamiętajcie, nigdy nie zachowujcie się z klasą, bo inni uważają, że powinniście. A tak swoją drogą... Pasztet, dlaczego napaskudziłeś karmą w całym pokoju? Nie patrz tak na mnie. To, co powiedziałam przed chwilą, nie ma nic wspólnego z tym, że twoje żarcie jest w prawie całym pokoju. Jesz zupełnie jak Paweł. Zanosił miskę z chipsami do salonu, a potem okruchy kłuły mnie w zadek w sypialni. Wszyscy faceci są tacy sami. No dobra, dobra. Wiem, marudzę jak stara baba po rozwodzie.

Następnego dnia rano zadzwoniła do kancelarii adwokackiej i umówiła się ze swoją adwokatką, a potem wyprowadziła Paszteta. Żadna z wybranek jego serca nie spacerowała akurat w tym samym czasie, więc była szansa, że obejdzie się bez ekscesów. A jednak! Nagle z klatki wybiegł... W pierwszej chwili Alicja miała wrażenie, że to szczur, i aż pisnęła z obrzydzenia. Za szczurem pędził jakiś młody mężczyzna. Pomyślała, że może obrzydliwy gryzoń grasował w piwnicy tego faceta i ten rozeźlony goni nieproszonego gościa, który zjadł mu kartofle.

Eeee – zreflektowała się. – Kto teraz trzyma kartofle w piwnicy? Można je kupić w każdym sklepie, nawet nocnym. Ostatnio widziałam nawet na stacji benzynowej, obrane i w pudełeczku.

Już miała stracić zainteresowaniem facetem goniącym szczura, gdy nagle mężczyzna

zaczął krzyknąć:

– Montek, Montek! Do nogi!

Pewnie boi się, żeby mu ten szczur psa nie pogryzł – pomyślała.

Rozejrzała się dookoła, próbując zidentyfikować tego Montka. Była ciekawa, jakiej jest rasy albo bezrasy, jak doktor Koszowski nazywał kundelki. Tymczasem facet dopadł do szcúra i sapiąc z wysiłku, zapiął mu smycz na szyi.

No tak, świrów nie brakuje – doszła do wniosku. – Mogą być tacy, co chodzą po ulicy ze świnią (widziała raz w telewizji), mogą być i tacy ze szczurami.

Ale gdy szczur zaczął szczekać, szczęka opadła jej z wrażenia. To był pies! Przypomniała sobie, że żona szefa rozesłała kiedyś zdjęcia swojego pieska i część ludzi w firmie też była przekonana, że to szczur. Jak się ta rasa nazywała? Nie pamiętała.

Na wszelki wypadek ściągnęła smycz Pasztera. Nie wiedziała, czy bardziej w obawie, że połknie szcziropsa, czy może że szcziropies go pogryzie. A ząbki miał ostre jak szpilki. Szef kiedyś przez dwa tygodnie chodził z zabandażowaną ręką.

– Montek bardzo lubi duże psy – powiedział właściciel łysolka. – Świetnie się z nimi bawi.

No faktycznie! Ze zdumieniem obserwowała, jak psina urządza sobie slalom między nogami Pasztera, a ten gapi się na niego z wyraźnym zainteresowaniem.

– Przepraszam, że się tak przyglądam, ale nigdy wcześniej nie widziałam na żywo takiego psa – powiedziała Alicja. – Tylko na zdjęciach.

– To bardzo rzadka rasa w Polsce. Nagi pies meksykański miniaturowy – powiedział z zadowoleniem mężczyzna. – Dostałem go w prezencie od partnera. Montek! Baw się ładnie z pieskiem. On tak naprawdę ma na imię Kibol. Tak wymyślił mój partner. Że niby łysy jak kibol. Ale ja wolę mówić na niego Montek. To od Montezumy. Wie pani, tego słynnego władcy Azteków. Moim zdaniem bardziej do niego pasuje. A jak pani myśli?

– Nie no, zdecydowanie, Montezuma w każdym calu. – Alicja pokiwała głową, bardzo starając się przy tym zachować powagę. – Ten dystyngowany krok, arystokratyczny kształt głowy... Jaki Kibol? Żaden Kibol!

Mężczyzna spojrzał na nią podejrzliwie.

– Naprawdę pani tak myśli? – zapytał.

– Oczywiście – zapewniła go, tłumiąc śmiech.

– Powiem o tym Tomkowi – ucieszył się mężczyzna. – Powiem, że... Zaraz, jak pani ma na imię?

– Alicja – przedstawiła się.

– A ja jestem Karol. Powiem Tomkowi, że podoba się pani imię Montezuma. Montek! Wracamy do domu, bo jeszcze chwila i spóźnię się do pracy.

Łysy pies ze swoim właścicielem podreptali do klatki schodowej. Alicja przez chwilę patrzyła za nimi.

A więc ten cały Tomasz Szymon jest gejem – pomyślała. – Ja to mam szczęście. Jak już mi się śniło, że się całowałam z facetem, to on okazuje się gejem.

– No dobra – powiedziała do Pasztera. – My też wracamy do domu. Muszę teraz pojechać do adwokacki. No, nie patrz tak na mnie. Po południu pójdziemy na długi spacer. Obiecuję!

Droga do kancelarii adwokackiej była prosta i pokonywała się ją dosyć szybko. Zazwyczaj, bo tego dnia zdarzył się jakiś karambol, wpadło na siebie kilka aut i musiała pojechać objazdem. A jedyny objazd prowadził przez... Malinówkę. Chcąc nie chcąc, przejechała obok domu, który miał być jej domem.

– Właściwie ciągle jest, bo Paweł jeszcze mi nie zapłacił – pomyślała. – Może powinnam

wysłać Tani rachunek za używanie domu i męża? No, Pawła to akurat mogę jej oddać za darmo.

Okna były pozamykane, a na podjeździe nie było samochodu.

– Chyba gdzieś wybyli. – Odetchnęła z ulgą.

Nie chciałyby się natknąć na byłego męża i jego kochankę. Zaraz wszyscy znajomi wiedzieliby, że jeździ pod ich dom i podgląda. Na samą myśl o tym miała ochotę nacisnąć na gaz i zwać stąd jak najszybciej. Ale właśnie na wąską drogę wylazła jedna z ozdobnych kur hodowanych przez pana Korolkiewicza.

– Pewnie ta, której nie udało im się złapać – pomyślała.

Zatrzymała się na środku i dziobała w najlepsze, więc Alicja delikatnie pogoniła ją klaksonem. Po dłuższej chwili kura Korolkiewiczów wreszcie zdecydowała się opuścić drogę. Alicja ruszyła i w tym samym momencie rozległ się huk.

– No świetnie! – powiedziała i wyskoczyła z Czarownicy. – Tego tylko brakowało.

Złapała gumę i musiała zmienić koło! Ostatni raz robiła to na kursie prawa jazdy. Później jakoś nie miała okazji utrwalić swoich umiejętności. Zajrzała do bagażnika. Koło zapasowe było, jakieś klucze, lewarek. Usmarowała ręce po łokcie, ale śruby w kole ani drgnęły.

Wyprostowała się i rozejrzała bezradnie wokoło. Kura Korolkiewiczów uciekła, bijąc skrzydłami, jakby obawiała się, że zostanie poproszona o pomoc. Pomoc drogowa długo nie odbierała, a jak już ktoś łaskawie podniósł słuchawkę, to okazało się, że wszystkie wozy są zajęte przy karambolu i musi poczekać najmarniej dwie godziny.

– Niech pani sama zmieni to koło – poradzono jej. – To przecież nic trudnego.

Przez grzeczność nie powiedziała, co myśli o takiej propozycji.

– Kurza stopa! Chyba będę musiała pójść dalej na piechotę. Diabli nadali ten remont wodociągu. Pan Stefan na pewno by mi pomógł – westchnęła. – Zaraz! Przecież jest Jerzy! Co prawda ukrywa się, ale teraz nic mu nie grozi, bo sąsiadów nie ma. Może spokojnie wyjść i zmienić mi to parszywe koło.

Pchnęła skrzypiącą furtkę i ruszyła przez podwórko. Zapukała do drzwi, ale nikt nie otworzył.

Zrobiła kilka kroków i spróbowała zajrzeć do środka. Nikogo. Zastukała w szybę. Nic.

– Proszę otworzyć! Mam problem z samochodem. Potrzebuję pomocy! – krzyknęła.

Jeśli naprawdę był w środku, to przyczał się i ani myślał otworzyć jej drzwi. Wściekła obeszła dom dookoła i weszła przez otwarte drzwi z tyłu. W dwóch niewielkich pokojach nikogo nie znalazła. Drzwi do kuchni były uchylone. Pchnęła je i...

– Dzień dobry – powiedziała do Jerzego, który siedział przy stole. – Pukałam, ale nikt nie otwierał.

– Przepraszam, że się nie odzywałem, ale myślałem, że to ta stara wścibska baba z sąsiedniego domu – powiedział.

– Złapałam gumę i nie mogę odkręcić koła. Pomógłby mi pan? – zapytała. – Bardzo się spieszę. Właściwie to już się spóźniłam. Nikt pana nie zobaczy, bo wszyscy wyjechali przez ten remont wodociągu.

– Oczywiście! – Jerzy podniósł się i wyszedł z domu, a Alicja wybiegła za nim.

Zmiana koła potrwała kilka minut.

– Piękny samochód – powiedział mężczyzna. – Też miałem taki, ale żona kazała mi sprzedać i kupić coś bardziej nowoczesnego. Nie lubię nowoczesnych aut. Nie mają duszy.

– No, ale przynajmniej się nie psują. Bardzo dziękuję – powiedziała Alicja. – Muszę już pędzić.

Położyła ręce na kłamce i w tej samej chwili rozległ się sygnał SMS-a. Wyciągnęła telefon z kieszeni. To była wiadomość z kancelarii adwokackiej. Pani mecenas utknęła w korku

i jej recepcjonistka przeproszała, że musi odwołać spotkanie.

– Jakaś zła wiadomość? – zapytał mężczyzna.

– Nie muszę się już spieszyć na spotkanie – odpowiedziała Alicja.

– No widzi pani. Moja żona też bez przerwy się spieszyła. Zawsze się o to kłóciliśmy. No, ale teraz nareszcie mam to z głowy – powiedział i uśmiechnął się z zadowoleniem.

Alicji dreszcz przebiegł po plecach.

– Nie żyje? – zapytała drżącym głosem.

Chyba jednak nie najlepszym pomysłem było prośenie o pomoc przy zmianie koła kogoś, kto ukrywał się przed policją. Może jej obawy sprzed kilku dni nie były tak zupełnie bezpodstawne? Może wcale nie zdefraudował tych pieniędzy, tylko zamordował żonę, dlatego go ścigają? Zakopał biedaczkę w ogródku, a teraz Alicja do niej dołączy? I spocznie (o ironio!) w pobliżu swojego wymarzonego domu, żeby przez najbliższe kilkadziesiąt lat patrzeć na rozkwitające szczęście rodzinne Pawła i Tani. To byłoby nawet gorsze niż śmierć z rąk psychopaty.

– Nie, skąd ten pomysł? – Jerzy machnął ręką. – Żyje i ma się dobrze. Rozwiedliśmy się jakiś czas temu. Zostawiłem jej mieszkanie, a sam przeprowadziłem się tutaj. Ten stary dom należy do rodziny mojego kuzyna i pozwolił mi tu mieszkać, zanim nie znajdę czegoś lepszego. Wyprowadzę się pewnie przed zimą, bo tu nie ma ogrzewania. A panią to widywałem w tym dużym domu z balkonem.

– Tak, mieszkałam tam... kiedyś – powiedziała niechętnie. – Dawno temu, to znaczy... wyprowadziłam się w zeszłym miesiącu.

Mężczyzna pokiwał głową ze zrozumieniem.

– A wie pani, że raz pomyślałem, że ta druga, co się topless opalała na tarasie, to pani? Ale teraz widzę, że się pomyliłem – powiedział i na chwilę zawiesił wzrok na biuście Alicji.

To prawda, miała dwa razy większe piersi niż Tania, ale w przeciwieństwie do kochanki Pawła nie lubiła, kiedy ludzie się na nie gapili. Zasunęła zamek kurtki. Dobrze przynajmniej, że ta jego żona żyje. Tak w każdym razie mówił.

– Niech pani jeszcze kiedyś do mnie zajrzy – powiedział mężczyzna, gdy wsiadała do samochodu. – Bardzo miło się rozmawiało. Następnym razem ugotuję rosół. Kręci się tu jakaś wyjątkowo wścibska kura. Jeśli jeszcze raz wskoczy na stół na werandzie i będzie mnie podglądać, to ukręcę jej łeb.

– Niech pan tego nie robi – poprosiła Alicja. – To Eulalia, ukochana kura pana Korolkiewicza. Tego, który mieszka za płotem.

– Tego, co ma wścibską żonę? – Jerzy pokiwał głową ze zrozumieniem. – Wścibska żona, wścibska kura... Ma chłop przechlapane.

– Niech pan nie wygaduje bzdur o pani Korolkiewiczowej – fuknęła Alicja. – To bardzo miła kobieta. Do widzenia.

Korek z powodu karambolu już się rozładował i nawet pomoc drogowa do niej zadzwoniła, że teraz nareszcie mogą przyjechać i wymienić jej koło.

– Rychło w czas – mruknęła.

Po powrocie do domu przebrała się i wyprowadziła Paszteta. To stanowczo nie był jej dzień, bo w parku natknęła się na Szymona. Na smyczy prowadził... Kibola. A więc nie myliła się, że to on był tym partnerem gejem. Ciągle tylko nie mogła się zdecydować, czy powinna się z tego cieszyć, czy wprost przeciwnie. Jako gej sąsiad przestał być dla niej zagrożeniem. Raczej się nie zakocha. Nie potraktuje jej jako łatwej zdobyczy, jaką zawsze jest dla facetów kobieta zdradzona, porzucona, upokorzona (tak przynajmniej mówił Paweł). A jednak jakaś część niej odczuwała żal, nie wiadomo dlaczego i za czym. Postanowiła ją olać i uśmiechnęła się do

przystojnego wysportowanego, a on uśmiech odwzajemnił. Kibol i Pasztet radośnie się obwąchiwali i obszczekiwali.

– Poznaliśmy Kibola, to znaczy Montezumę dzisiaj rano – powiedziała. – Mówił pan, że ma pan koty, ale nie wspominał pan o psie.

– To pies mojego przyjaciela. Przyjaciel musiał dłużej zostać w pracy i poprosił mnie, żebym go wyprowadził – wyjaśnił Szymon.

Czyli nie mieszkają razem. Ale właściwie, co mnie to obchodzi? – pomyślała Alicja i pociągnęła Paszteta do klatki schodowej.

Dała psu karmę z pasztetem, sama zrobiła sobie kanapki i jadła je, siedząc przed laptopem. To była ta dobra strona bycia rozwódką.

Wesołą rozwódką – uściśliła.

Paweł zawsze marudził, gdy siadała z talerzem i kubkiem przez laptopem.

– Bo zaraz nakruszysz, zalejesz i trzeba będzie oddawać sprzęt do czyszczenia – słyszała za każdym razem.

– A wiecie, co jest najśmieszniejsze? – zwróciła się do Paszteta i Gipsowego. – Że to jego laptop co kilka tygodni łądował w serwisie, a nie mój. Bez przerwy ściągał sobie jakieś wirusy. Miały idiotyczne nazwy – jeden „chips and cheese”, a drugi chyba „double cappuccino”. Głupie, nie?

Przejrzała informacje o zagubionych i znalezionych psach. Jakiś internauta twierdził, że taki pies jest w schronisku w Zabrzeżnie, a inny pisał, że widział go w pobliżu Malinówki dzisiaj o szesnastej.

– Dlaczego ludzie nie czytają dokładnie ogłoszeń? – zapytała, wzruszyła ramionami i spojrzała na zegarek. – I jak to o szesnastej? To która teraz jest godzina?

Zerknęła na zegar na monitorze komputera.

– O matko! – jęknęła. – Spóźnię się i Łucja mnie zabije.

Miała godzinę, żeby przygotować się na przyjęcie u przyjaciółki.

– A właściwie, co to za okazja? – zatrzymała się w pędzie do szafy i usiłowała sobie przypomnieć, na jakąż to okoliczność Łucja tym razem ją zaprosiła.

Poznały się w szkole średniej. Przyjaciółka od pierwszej klasy rzuciła się w wir organizacji. Organizowała wszystko, co było do zorganizowania. Od składek na prezenty urodzinowe, po wyjazdy integracyjne i petycje w sprawie nauczyciela, który uważał, że kobietom nie jest potrzebne średnie wykształcenie i robił wszystko, żeby zrezygnowały ze szkoły przed maturą. Potrafiła też wciągnąć większość ludzi w organizację Dnia Czystych Schodów czy Dnia Ziemiaka. To dziwne, ale jakoś udawało jej się przekonać do swoich pomysłów nawet największych odludków i sceptyków.

– To co ona w końcu organizuje dzisiaj? – zastanawiała się Alicja. – Może powinnam się jakoś specjalnie ubrać?

Po Łucji można się było spodziewać najbardziej odjechanych conceptów. Może tym razem wszyscy mają być przebrani za warzywa albo wymagane są żółte piżamy? Zajrzała na fejsa na profil przyjaciółki, ale nie znalazła tam żadnej informacji. Do Łucji nie było po co dzwonić. Godzinę czy dwie przed imprezą zazwyczaj relaksowała się w wannie i nie odebrała telefonu, nawet gdyby w mieszkaniu wybuchł pożar.

– No dobra! – westchnęła Alicja. – W takim razie niech będzie wariant bezpieczny.

Wyciągnęła z szafy spodnie i koszulową bluzkę.

– Mogłaś założyć spódnice. – Łucja spojrzała na nią krytycznie po otwarciu drzwi.

– Cześć, kochana! A co? – roześmiała się Alicja. – Obchodzimy dzisiaj Dzień Spódnicy?

– Dzień Spódnicy jest trzydziestego października – przypomniała jej przyjaciółka.
– No to niby dlaczego miałabym być dzisiaj w kiece? – zdziwiła się. – Przecież wiesz, że nie znoszę spódnic i sukienek.

– Ale dzisiaj powinnaś wyglądać kobieco – upierała się Łucja. – Kobieco i powabnie. No wiesz, żeby zrobić odpowiednie wrażenie.

Do Alicji nagle dotarło, z jakiej to okazji została tu zaproszona. Cofnęła się w stronę drzwi wyjściowych.

– Nie, dziękuję – powiedziała. – Naprawdę, ja nie chcę teraz. Nie mogę. Trzeba było tak od razu, to bym ci powiedziała, że mowy nie ma.

– Oj, nie wygłupiaj się. – Łucja stanęła między drzwiami a Alicją i popchnęła przyjaciółkę w głąb domu.

Nie chciała się awanturować, więc posłusznie dała się zawlec do pokoju. W fotelu siedział mąż Alicji, Grzegorz, a na sofie naprzeciwko niego jakiś facet, którego Alicja nigdy wcześniej nie widziała. Wysoki brodaty brunet w okularach. Nawet przystojny.

– Pozwólcie, że przedstawię – powiedziała Łucja. – To moja przyjaciółka Alicja, a to nasz znajomy Jacek. Jacek jest dentystą.

– A! To ty jesteś tą wesołą rozwódką! – wykrzyknął mężczyzna i wybuchnął głośnym śmiechem.

Alicja uniosła brwi ze zdumienia, a Łucja i Grzegorz wymienili mocno zaskoczone spojrzenia. A to był dopiero początek. Przez następne dwie godziny Jacek sypał dowcipami, z których ten: rozmawia dwóch botaników – „Wiesz, co to jest rozwódka? Jest to roślina z rodziny pnączy, która czepia się wszystkiego i robi gigantyczne spustoszenie w kieszeni” – był w najlepszym guście.

Po kilkudziesięciu takich żarcikach i dwóch godzinach dentysta wstał i zaczął się żegnać.

– No, świetnie się z wami gawędziło – powiedział. – Ale muszę już lecieć. Umówiłem się z jedną rozwódką. Mam jej dopasować nową sztuczną szczękę. Pewnie starą złamała, jak chciała zagryźć byłego męża. Ha, ha, ha!

Grzegorz odprowadził go do wyjścia, a Alicja i Łucja zostały same.

– Przepraszam cię – powiedziała półgłosem przyjaciółka. – Nie wiem, co w niego dzisiaj wstąpiło. To najbardziej subtelny i wrażliwy facet, jakiego kiedykolwiek znałam.

– Taaaak – uśmiechnęła się sarkastycznie Alicja. – Szczególnie subtelnie opowiada dowcipy o rozwódkach. Najlepszy był ten o sztucznej szczęce.

Łucja zachichotała, ale szybko się zreflektowała.

– Sorry. Nie gniewaj się na mnie – powiedziała i znowu zachichotała.

– Nie, skąd. – Alicja machnęła ręką. – Tylko mam do ciebie wielką prośbę...

Zawiesiła głos i pochyliła się w stronę przyjaciółki, patrząc jej prosto w oczy.

– Nie szukaj dla mnie żadnego faceta, prooooooszę – jęknęła rozdzierająco.

– Tak, oczywiście – odpowiedziała szybko Łucja.

Wrócił Grzegorz i usiadł w fotelu naprzeciwko żony.

– Mówiłem ci, że to głupi pomysł. Ale ty się uparłaś, żeby się bawić w swatkę – powiedział do żony. – No to masz za swoje. Nie gniewaj się na nią, Ala. Moja żona ma manię uszczęśliwiania wszystkich dookoła.

– Nie ma sprawy. Ale ostrzegam, że następnym razem oboje was zagryzę sztuczną szczęką rozwódki z dowcipu waszego przyjaciela.

– Łucję zagryż. Ja z tym nie miałem nic wspólnego – zastrzegł Grzegorz i złapał poduszkę, którą rzuciła w niego żona.

– To się nazywa lojalny mąż. Nie wychodź za mąż przypadkiem, Ala. A następnego razu

nie będzie – obiecała Łucja. – Zrobię kawę.

– Nie, ja już muszę lecieć – wymówiła się Alicja. – Mam jeszcze kupę roboty w domu. A za mąż już nigdy nie wyjdę. Tego akurat jestem pewna. Przypadkiem wyszłam za Pawła, i to był fatalny przypadek.

Przeszła kawałek od domu przyjaciółki do osiedlowego parkingu.

– No kurza stopa! – jęknęła, widząc, że jakiś pacan zastawił jej wyjazd.

Rozejrzała się i zobaczyła na końcu parkingu jakiegoś faceta, który gadał przez telefon.

Może to on mnie uziemił albo przynajmniej wie, czyj samochód blokuje Ścierkę – pomyślała.

Odczekała, aż schowa komórkę do kieszeni i podeszła.

– Przepraszam pana... – zaczęła i nie skończyła, bo mężczyzna odwrócił się i zobaczyła dentystę, z którym kwadrans wcześniej swatała ją Łucja.

Miała ochotę uciec czym prędzej, ale na piechotę miała daleko do domu, no i nie mogła przecież zostawić samochodu. Miała zupełnie irracjonalną nadzieję, że facet po ciemku i w płaszczu jej nie pozna albo będzie przynajmniej udawał, że nie poznaje.

– Przepraszam, ale ktoś zastawił mój samochód. – Pokazała na Czarownicę. – Tym białym peugeotem. Nie wie pan może, czyje to auto?

– Moje. Już odjeżdżam – odpowiedział mężczyzna i przyjrzał jej się uważnie. – My się chyba przed chwilą spotkaliśmy?

– Tak, u moich przyjaciół – potwierdziła, idąc za nim do samochodu.

Mężczyzna spojrział na nią tak, że poczuła się dziwnie.

Jak nic zaraz zaserwuje mi następny kawał o rozwódkach – pomyślała. – Ale wtedy go chyba zamorduję!

Jednak, ku jej zaskoczeniu, dentysta powiedział:

– Chyba powinienem się wytłumaczyć. Wygłupiłem się z tymi dowcipami, ale odkąd pół roku temu rozstałem się z moją wieloletnią partnerką, wszyscy znajomi uparli się, żeby mnie swatać. A ja nie mam na razie ochoty z nikim się wiązać. Pomyślałem, że jak zrobię z siebie idiotę, to zniechęcę tę drugą osobę. Chyba się udało...

– Zrobić z siebie idiotę? – zapytała życzliwie Alicja. – Koncertowo. Ale mnie akurat nie musiałeś zniechęcać. Co prawda jestem rozwódką, ale nie mam ochoty na nikim się wieszać.

– I nie gniewasz się? – upewniał się.

– Nie, skąd – zapewniła go i uśmiechnęła się na wspomnienie kawałów o rozwódkach. – Może ukradnę ci patent i zastosuję go, gdy następnym razem jacyś znajomi będą mnie próbowali w ten sposób uszczęśliwiać. Mogę?

– No pewnie – roześmiał się dentysta. – Do widzenia.

Przez chwilę patrzyła, jak odjeżdża w kierunku rynku, a potem wsiadła do Czarownicy. Wróciła do domu, wykąpała się i zajęła poprawkami do oferty, którą przygotowywała dla pani mecenas. Postanowiła dodać do niego kawały o rozwódkach, które dzisiaj usłyszała od dentysty Jacka.

– Jak to było? – usiłowała sobie przypomnieć. – A! Już wiem. Rozmawiają dwie rozwódki. „Z kim teraz sypiasz?” „Z pilotem”. „Samolotu?” „Nie, od telewizora”. Albo: adwokat pyta swojego klienta: „Dlaczego chce się pan rozwieść?” „Bo moja żona cały czas szwenda się po knajpach”. „Czy to znaczy, że pije? To dobry powód do rozwodu”. „Nie, ona łązi tam za mną!” I na koniec coś z cyklu „między nami mężczyznami”: „Wiesz, rozwodzę się”. „Dlaczego? Co się stało?” „No cóż, odkąd się pobraliśmy, żona próbowała mnie zmienić. Oduczyła mnie picia, palenia, powrotów w środku nocy”. „I co, jesteś teraz zgorzkniały, bo tak bardzo cię zmieniła?” „Nie jestem zgorzkniały. Teraz jestem tak dobry, że ona na mnie nie zasługuje”.

ROZDZIAŁ XIII

TO TY JESTEŚ TĄ LAFIRYNDĄ, KTÓRA UWIODŁA MOJEGO STASIUTKA!

– Podoba mi się – orzekła pani mecenas, gdy spotkały się następnego dnia i Alicja dała jej do przeczytania swoje propozycje na wieczór rozwodowy. – A nie zaplanowała pani jakiegoś męskiego striptizera?

– Mogę kogoś znaleźć – zadeklarowała Alicja.

– Sama nie wiem, czy to dobry pomysł – zastanawiała się adwokatka. – Może zapytajmy Jolę, moją recepcjonistkę. Ona często bywa na babskich imprezach.

Podeszła do drzwi i otworzyła je.

– Pani Jolu, proszę do mnie na chwilę – poprosiła.

– Już już, pani mecenas. – Kobieta odstawiła cukiernicę i weszła do gabinetu.

– Niech pani zobaczy. – Adwokatka podała jej ofertę, którą przygotowała Alicja.

Recepcjonistka przeczytała uważnie, a potem odłożyła kartki na biurko.

– I co pani o tym myśli? – zapytała jej szefowa.

– Bardzo dobre, ale coś bym dodała – stwierdziła młoda kobieta.

– Pewnie występ striptizera? – zapytała Alicja i sięgnęła po długopis, żeby dopisać kolejny punkt, i już zastanawiała się, skąd ona weźmie faceta, który rozbiera się za pieniądze? Gdzie się takich szuka?

Wyobraźnia uparcie podsuwała obraz dentysty Jacka zrzucającego ciuchy. Na szczęście, zanim zdjął spodnie, recepcjonistka pokręciła przecząco głową.

– Nie, oni są przeważnie okropni. Ostatnio jeden taki na wieczorze panieńskim u mojej kuzynki rozebrał się w trzy minuty, ubrał z powrotem w dwie, a potem usiadł za stołem i zabrał się za jedzenie i picie. I siedział tak przez dwie godziny. A znowu u mojej przyjaciółki ze studiów okazało się, że agencja przysłała kobietę zamiast faceta. Wyszło na jaw dopiero, jak się rozebrała. Podobno zamówienia w agencji pomylili. Na szczęście okazało się, że to bardzo sympatyczna dziewczyna.

– Czyli striptizera skreślamy, pani Alicjo – zdecydowała pani mecenas.

– Jeśli to ma być przyjęcie rozwodowe, to zamiast tego proponuję strzelanie do celu –

powiedziała recepcjonistka.

Alicja spojrzała na nią ze zdziwieniem. Wielokrotnie słyszała, jak jej koleżanki opowiadały o jakimś laserowym paintballu, za którym szalały ich dzieci. Ale żeby wysyłać tam rozwódki? Wyrzuciła na głos swoje wątpliwości.

– Ale ja wcale nie miałam na myśli paintballu – wyjaśniła sekretarka. – Chodziło mi o strzelanie na takiej prawdziwej strzelnicy.

– Do jakiego celu? – chciała wiedzieć pani mecenas.

– A to różnie. Może być zdjęcie byłego męża albo jego kochanki. Albo obojga. Tak na szybko przychodzi mi do głowy. Nie wiem, czy dobrze kombinuję. Ale oglądam seriale i tam kobiety często po rozstaniu drą na drobne kawałki zdjęcia byłego. To dlaczego nie miałyby sobie postrzelać? Ale naprawdę nie wiem, czy to dobry pomysł.

– Doskonały. Ma pani u mnie wielką zniżkę – krzyknęła entuzjastycznie Alicja i natychmiast się zreflektowała. – Przepraszam, ale proszę nie myśleć, że życzę pani rozwodu.

– Jak na razie to nawet ślubu nie wzięłam. I raczej nie wezmę, bo za dużo się na rozwody w tej kancelarii napatrzyłam. Codziennie rozmawiam w sekretariacie przynajmniej z kilkoma rozwódkami. Jeśli pani pozwoli, a szefowa nie będzie miała nic przeciwko temu, to mogę kilku z nich wspomnieć o pani biurze – powiedziała i spojrzała na panią mecenas.

– Oczywiście, oczywiście – zgodziła się szefowa. – Tylko może nie jakoś natrętnie. W końcu jesteśmy poważną, renomowaną kancelarią adwokacką. Jeśli zrobi się u nas zbyt rozrywkowo, to zaczniemy tracić klientów. Zdąży pani przygotować tę imprezę na... – Sięgnęła po kalendarz leżący na biurku i przerzuciła kilka kartek. – No, na przykład za trzy tygodnie – powiedziała i spojrzała pytająco na Alicję. – Wieczorem prześlę pani krótką listę osób, które chciałabym zaprosić.

Ta przełknęła ślinę i powiedziała:

– Naturalnie. Zaraz biorę się do pracy.

Po powrocie do domu usiadła do komputera i zaczęła robić plan. Przez pierwszą godzinę była pełna entuzjazmu. Po kolejnej gdzieś z tyłu głowy zaczęło jej kielkować przecucie, że może jej zabraknąć czasu. Po dwóch godzinach była już święcie przekonana, że nie zdąży. A na dodatek, gdy była już na skraju załamania nerwowego, przyszedł mail od pani mecenas. Krótka lista jej gości zawierała bagatelą trzydzieści nazwisk.

– Chyba powinnam się cieszyć – powiedziała sarkastycznie do Paszteta i Gipsowego. – To by dopiero było, gdyby przysłała listę, którą sama uważałaby za długą. Tak ze dwieście nazwisk co najmniej. Chociaż i tak wszystko jedno, trzydzieści czy dwieście, bo to będzie wielka kłapa. Po co ja się za to w ogóle wzięłam?

Zamierzała się załamać i swoim zwyczajem wpełznąć pod koc i nakryć głowę poduszką, ale przeszkodził jej dzwonek do drzwi. Westchnęła z irytacją i podniosła się z krzesła. Idąc do drzwi, zastanawiała się, kogo absolutnie nie miałyby ochoty zobaczyć po ich drugiej stronie. Oczywiście na pierwszym miejscu był jej były mąż. Na drugim upiorny staruszek zza ściany. Na trzecim... Nie była pewna, ale z całą pewnością nie znajdowała się na nim staruszka w zielonym swetrze i pomarańczowych kapciach.

– Tak? – zapytała zaskoczona Alicja. – Czy mogę pani w czymś pomóc?

Staruszka po raz kolejny nacisnęła dzwonek.

– Przepraszam, czy coś się stało? – ryknęła Alicja.

Staruszka oderwała rękę od dzwonka i spojrzała na nią z ogromnym zdumieniem.

– Czy pani jest głucha? – zapytała.

– Ja? – zdziwiła się mało inteligentnie.

– No przecież nie ja – oburzyła się staruszka. – Przyszłam do pani, bo...

W tym miejscu przerwała i zmarszczyła czoło, jakby usiłowała sobie coś przypomnieć. Wreszcie odetchnęła z ulgą, a Alicja wraz z nią.

– Już wiem! Czy pani nie widziała mojego męża? – zapytała nieznajoma. – Wyszedł dzisiaj rano i jeszcze nie wrócił. Martwię się o niego.

– Niestety, ale nic nie wiem o pani mężu. – Alicja rozłożyła bezradnie ręce. – Dopiero się tutaj wprowadziłam. Bardzo mi przykro.

I w tym momencie w tę łagodną i zagubioną staruszkę jakby piorun strzelił. Wyprostowała się, spojrzała na młodą sąsiadkę z góry i ryknęła tak głośno, że Alicja aż się cofnęła, przerażona, że z tak kruchej i zaszuszonej osoby może się wydobywać tak potężny głos.

– To ty! – darła się staruszka i wygrażała jej pięścią. – To ty jesteś tą lafiryndą, która uwiodła mojego Stasiutka. Oddaj mi męża, bo ci kłaki powyrywam, zdziro!

– Ja nie znam żadnego Stasiutka – broniła się Alicja.

Właściwie to powinna zakończyć tę całą sytuację, zatraskując drzwi, ale jakoś było jej głupio zrobić coś takiego staruszce w wieku babci Agaty, nawet wulgarnej i agresywnej.

– Wiedziałam, jak mi Karaskowa powiedziała, że jakaś rozwódka się do nas sprowadziła – piekliła się dalej nieznajoma kobieta. – Wiedziałam! Najpierw przychodziła, żeby Stasiutek żarówkę jej wymienił. Potem żeby wersalkę skręcił. Że niby biedna taka, samotna... A potem wyszło szydło z worka. Karaskowa mi powiedziała, że jak poszłam na nocną zmianę do piekarni, to zaraz się zjawiłaś, lafiryndo. Podслуchała, jak go prosisz, żeby niby ci rurę od odkurzacza skleił, bo pękła. Rurę od odkurzacza! Wesół wdówka!

– Rozwódka – poprawiła odruchowo Alicja.

Staruszka krzyczała tak głośno, że nie miała wątpliwości, że cały blok już nasłuchuje pod drzwiami i na klatce schodowej. Słyszała stukot drzwi i jakieś głosy na niższych piętrach. Jeszcze tylko tego brakowało, żeby ktoś wezwał policję. Nagle drzwi naprzeciwko otworzyły się i wyszedł Szymon.

– Pani Alicjo! – powiedział z wyrzutem. – Dlaczego pani robi awantury naszej nowej sąsiadce?

– Ale ja nie robię żadnych awantur – zaprotestowała Alicja. – To ta pani przyszła i...

– No właśnie mówię do pani Mrozińskiej – wyjaśnił mężczyzna. – Pani Alicja Mrozińska mieszka w naszym bloku na piątym piętrze. Już dzwoniłem do jej córki. Zaraz tu przyjdzie.

W tej samej chwili na piętrze zatrzymała się winda i wysiadła z niej jakaś kobieta.

– Mamo, co ty tutaj robisz? – zapytała, podchodząc do staruszki. – Czego chcesz od tej pani?

Staruszka odwróciła się.

– Michalina? Skąd ty tutaj? – zdziwiła się.

– Szymon po mnie zadzwonił – powiedziała nieznajoma.

– Ale po co? – zdziwiła się staruszka. – Przecież ja się bardzo dobrze czuję. Tylko Stasiutek...

– Mamo, tata nie żyje od piętnastu lat – powiedziała łagodnie córka. – Nie pamiętasz?

– Ale Karaskowa mówiła... – upierała się matka.

– Pani Karaskowa też nie żyje – tłumaczyła córka.

– Masz rację. Teraz już pamiętam. – Matka kiwnęła głową. – Ja bardzo przepraszam. To ostatnie zdanie było skierowane do Alicji.

– Nic się nie stało – odpowiedziała.

Kobieta wzięła matkę pod rękę i wprowadziła do windy.

– Mam nadzieję, że za bardzo cię nie przestraszyła? – zapytał Szymon, gdy winda ruszyła w dół z piskiem i zgrzytem. – Michalina opowiadała mi tę historię ze swoim ojcem. Tam, gdzie

ty teraz, mieszkała pani Tobiasz. Pan Mroziński nawet wprowadził się do niej, ale jego żona zjawiała się dwa dni później i zabrała go z powrotem do domu. Nawet obyło się bez wielkiej awantury. Pan Stasiutek nigdy się nie awantuował.

– Pan Stasiutek nigdy się nie awantuował. Słyszeliście? – powiedziała Alicja do Paszeta i Gipsowego i usiadła do komputera. – Po prostu płynnie przechodził z rąk do rąk. Całkiem jak Paweł. Kurczaki! Czy ja nigdy nie przestanę myśleć o tym pacanie? Muszę podjąć mocne postanowienie, że od teraz wyrzucam go ze swojej pamięci. Chociaż z tymi postanowieniami to różnie bywa. Swoją drogą, ciekawe co by było, gdybym wtedy zachowała się jak ta staruszka? To znaczy zamiast sama się wyprowadzać, wyrzuciłabym z domu Tanię i trzymała pod kluczem Stasiutka? To znaczy Pawła. Tylko czy ja tak naprawdę bym tego chciała? Nie, chyba jednak nie.

ROZDZIAŁ XIV

ZŁODZIEJKA PSÓW I KOTÓW

Włączyła komputer, żeby sprawdzić, czy może w końcu odezwali się właściciele Paszteta. Rzuciła okiem i już miała zamknąć stronę, gdy nagle...

– Jest! Nareszcie raczyli się ujawnić! – krzyknęła tak, że wystraszyła gołębie na balkonie.
– Cieszysz się, Pasztet?

Pies, który po jej okrzyku zerwał się na równe nogi, tylko potrząsnął wielkim kudłatym łbem i z powrotem ułożył się obok Gipsowego. Obaj patrzyli, jak gołębie z powrotem lądują na balkonie.

– No to chyba im odpiszę, co? – zapytała Alicja, ale nie doczekała się żadnej odpowiedzi ze strony współlokatorów. – Tak. Napiszę do nich i umówię się. Na pewno się za tobą stęsknili. Ale gdyby było tak, jak mówił weterynarz, to nie zobaczą ode mnie ani złotówki. Mowy nie ma! Nie, żeby cię nie lubiła, ale trzeba mieć zasady. Nie będę popierać oszustów.

Poszła do kuchni, zrobiła sobie herbatę i znowu usiadła do komputera.

– Jakby to napisać? Może tak: „Pies, który przyplątał się...”. Nie, to nie brzmi fajnie. No to może: „Cieszę się, że mogłam zaopiekować się państwa pieskiem”. Dobra, im prościej, tym lepiej: „Państwa pies jest u mnie. Kiedy mogę go przywieźć? Alicja Watrak”. Nie, źle. Alicja Kalicka. Koniec, kropka, do widzenia! Pasztet! Idziemy na spacer!

Pies zerwał się i popędził do przedpokoju. Przez głowę Alicji przeleciała myśl, że będzie jej brakować tych wspólnych codziennych przechadzek, przebieżek, galopad (zależnie od humoru Paszteta). Już miała mu założyć smycz, gdy nagle pies zawrócił do pokoju. Podbiegł do gipsowego i szczeknął kilka razy.

– No dobra, idziemy! – powiedziała stanowczym tonem. – Nie żegnajcie się. Jeszcze tu wrócimy po spacerze. Nie wiadomo, kiedy ci twoi właściciele się odezwą. Może dopiero za parę dni?

Wyszli przed blok i ruszyli swoją stałą trasą do brzozowego zagajnika. Pasztet jak zaprogramowany obwąchiwał, obsikiwał i znowu obwąchiwał. Minęli pana z rudym jamnikiem.

Pasztet jamnika bardzo lubił, więc Alicja musiała się zatrzymać, żeby mogli wymienić psie uprzejmości typu obwąchiwanie sobie zadów. Ona w tym czasie uśmiechała się urzędowo do właściciela jamnika, nobliwego starszego pana w jesionce, która pamiętała lepsze czasy (a może była tak stara, że pamiętała gorsze czasy?).

– Bardzo zadbany ten pani piesek – pochwalił staruszek. – Widać, że pani się o niego troszczy. Ma szczęście. Moi znajomi prowadzą schronisko i napatrzyłem się na niejedną psią bidę. Długo go pani ma?

– Kilka tygodni – odpowiedziała zgodnie z prawdą Alicja.

– Widać, że bardzo do pani przywiązany. – Staruszek pokiwał głową.

Psy zakończyły właśnie swój codzienny rytuał i Alicja mogła ruszyć dalej. Przy czarnym foksterierze musiała mocniej ściągnąć smycz, bo wybitnie działał Pasztetowi na nerwy i wołała, żeby nie wchodził z nim w bliższy kontakt. Jeszcze kilka obsikanych koszy na śmieci i obwąchanych kamieni i już mogli wracać do domu. W drzwiach klatki schodowej zderzyli się z Szymonem. Pasztet jak zwykle oszalał na jego widok. Piszczął i podskakiwał z radości. Alicja złapała się na myśli, że też ma ochotę podskoczyć i zapiszczeć z radości, ale na szczęście w ostatniej chwili się opanowała.

– Byliście na spacerze? – zapytał sąsiad. – Szkoda, że nie wiedziałem. Może też bym się z wami wybrał? Jak będziecie jutro szli, to zapukajcie do mnie koniecznie. Moje kocury jakoś nie są zbyt chętne do spacerów. Na sam widok szelek, które im kupiłem, zwiewają na szafę.

– A Montezuma? – zapytała.

– Wrócił już do domu – odpowiedział Szymon. – No to co? Widzimy się jutro na spacerze?

Alicja spojrzała na niego. W sumie to co jej przeszkadzało? Facet miał partnera, więc się nie zainteresuje. Ona też nie zamierza się w nim zakochiwać. Idealny układ. W serialach to teraz modne, że kobiety mają przyjaciół, którzy są gejami. Taki zawsze wysłucha zwierzeń, nie wypaple, czasami coś mądrze doradzi.

– Chętnie, ale jutro to już raczej nie pójdę z nim na spacer – powiedziała, wsiadając do windy. – Znaleźli się jego właściciele i chyba jeszcze dzisiaj odwiozę go do domu.

Szymon spojrzał na nią, potem na Paszteta, uśmiechnął się i powiedział:

– Ale gdybyście mimo wszystko jutro szli, to może się spotkamy – powiedział.

Dalsze kilka pięter upłynęło im na wymienianiu uwag na tematy ogólne. Pożegnali się po wyjściu z windy i każde z nich zniknęło w swoim mieszkaniu.

Alicja zdjęła buty, dopiła zimną herbatę i odpaliła komputer. Nie wiedziała, czy się z tego do końca cieszy, ale dostała wiadomość od właścicieli Paszteta.

– No to czekają na nas za... Zaraz, która to jest? – Spojrzała na zegarek. – Za cztery godziny.

Zabrała się za wycenę kolejnego przyjęcia rozwodowego. Po trzech godzinach skończyła i spojrzała na zegarek.

– No, w sam raz, bo zaraz musimy jechać. Pasztet! – zawołała.

Odwróciła się, ale psa nie było na zwykłym miejscu obok gipsowego. Zajrzała do kuchni. Też ani śladu. Łazienka pusta, przedpokój też. Zresztą akurat w przedpokoju nie bardzo było się gdzie ukryć.

– Chyba że wlaźł do szafy – pomyślała i szarpnęła drzwi.

Ze środka wypadły walizki. Jedna walnęła ją w duży palec od nogi.

– Kurza stopa! Pasztet, nie wyglupiaj się! – krzyknęła. – Wylaż natychmiast. Dostaniesz kanapkę.

Głucha cisza i nadal ani śladu psa. Spojrzała na krasnała.

– Gipsowy! Gdzie jest Pasztet? Mów zaraz – zażądała. – No, bądź człowiekiem, to znaczy krasnalem, i powiedz, bo się spóźnię.

Ale krasnal nie wykazał najmniejszej woli współpracy.

Zrezygnowana Alicja usiadła na łóżku. Nagle poczuła, jak coś omiata jej nogi.

– Aha! Tu jesteś! – krzyknęła, schyliła się i podniosła narzutę. – Jak mogłam zapomnieć, że to twoja ulubiona kryjówka? Przecież tu się schowałeś pierwszego dnia, po tym, jak nasikałeś sąsiadowi pod drzwiami. No dobra, zwijamy się. Czekają na ciebie w domu. No, bądź prawdziwym mężczyzną. To znaczy prawdziwym psem. Idziemy!

Pasztet wylazł spod łóżka, potrząsnął z rezygnacją wielką kudłatą głową, a potem spojrzął z wyrzutem na Alicję.

– Nie przesadzaj. Przecież tam będziesz miał więcej miejsca do biegania. No i to są twoi państwo. Na pewno za tobą tęsknią – powiedziała i poczochnęła go za uszami.

Tego ostatniego to akurat nie była pewna, ale po co miała dołować Paszteta? Co prawda nie szukali go zbyt intensywnie, ale to był ich pies i musiała go odwieźć. Gdyby zginęła Hula albo gdzieś przepadł Hop, to też chciałyby, żeby wrócili do domu. Tylko że ona by ich szukała.

Odwróciła wzrok od psa i spojrzała na krasnala. Dlaczego miała idiotyczne wrażenie, że ten patrzy na nią z wyrzutem? Sapiąc z wysiłku, odwróciła Gipsowego do ściany i odetchnęła z ulgą. Podeszła do szafy, żeby wyciągnąć buty. Sięgnęła do drzwi. Nie, coś jednak było z nią nie tak. Bo czy normalny człowiek choć raz w życiu miał wrażenie, że szafa (!) patrzy na niego potępiająco? Na wszelki wypadek nie zaglądała do łazienki. Co by było, gdyby jeszcze sedes Łucji miał do niej pretensje, że jedzie zwrócić psa jego prawowitym właścicielom?

Ledwo zdążyła na umówioną godzinę, bo przez dobry kwadrans błądziła po identycznych uliczkach i przyglądała się identycznym tabliczkom z numerami na identycznych domach.

– Jesteśmy w końcu! – odetchnęła z ulgą, gdy wreszcie dotarła pod właściwy adres.

Gospodarze chyba byli w domu, bo drzwi do garażu były otwarte, a na podjeździe stała kosiarka do trawy.

– Pasztet! Jesteśmy na miejscu! Wyskakuj! – powiedziała i otworzyła drzwi Ścierki.

Po tym, jak prawie siłą musiała go wepchnąć na tylne siedzenie, była pewna, że teraz trzeba go będzie pod przymusem wyciągać z samochodu. Ale on, o dziwo, wysiadł bez ociągania i z godnością wszedł przez bramę. Obsikał kosiarkę do trawy, a potem zaczął gonić rudego kocura, który zeskoczył z drzewa tuż przed jego nosem. Ku swojemu wielkiemu zdumieniu, Alicja poczuła ukłucie w sercu.

– Sama nie wiesz, czego chcesz, kobieto – mruknęła pod nosem. – To przecież dobrze, że się cieszy z powrotu do domu.

Na schody wyszła kobieta w dzinsach i trampkach.

– Pani Kalicka? – zapytała.

Już chciała sprostować, ale w ostatniej chwili przypomniała sobie, że z panią Watrak wzięła definitywny rozwód.

– Tak, przywiozłam państwa psa.

– Bardzo mi miło. Maria Goryczko. Otworzę pani bramę. Proszę wjechać na posesję, bo sąsiedzi się zawsze awanturują, jak któryś z naszych gości zastawia przejazd choćby na kilka minut – powiedziała właścicielka Paszteta i cofnęła się do wnętrza domu.

Po chwili brama odjechała na bok i Alicja mogła zaparkować Ścierkę obok kosiarki. Wysiadła, nie przejmując się zamykaniem drzwi samochodu. Brama jak za dotknięciem magicznego przycisku odjechała w drugą stronę.

Kobieta wyjrzała ponownie.

– Proszę, proszę do środka – krzyknęła i wykonała gest, który miał chyba w jej pojęciu

oznaczać zaproszenie do wnętrza domu, a w rzeczywistości sprawiał wrażenie, jakby właścicielka omiatała się z pajęczyn.

– Ja właściwie tylko odprowadziłam psa – wymawiała się Alicja. – Nie chciałabym państwu przeszkadzać...

– Ale proszę koniecznie do środka. Zaparzyłam właśnie kawę – upierała się pani domu.

Alicja westchnęła w duchu. I tak nie miała wyjścia, bo brama została zamknięta i otworzyć ją mogła tylko właścicielka. Postanowiła, że wypije błyskawicznie tę kawę i zmywa się.

Weszła do środka i podążyła za panią domu do salonu. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że już tu kiedyś była. Te meble, ten dywan... Dopiero po dłuższej chwili skojarzyła, że to wszystko oglądała w dziesiątkach katalogów wnętrzarskich, gdy urządzali dom w Malinówce.

Ile ja tej makulatury przewaliłam! – pomyślała, siadając na kanapie, której zakup całkiem poważnie rozważała. – I po co? Po to, żeby teraz mieszkała tam Tania. Ta kanapa strasznie niewygodna. Dobrze, że jej nie kupiliśmy. Z drugiej strony trochę szkoda, bo teraz sprężyny uwierałyby w zadek kochankę mojego byłego męża.

Pani Goryczko zniknęła w kuchni, a po chwili wyłoniła się stamtąd z tacą z filiżankami i dzbankiem.

– Bardzo dziękuję za odprowadzenie Patka – powiedziała i usiadła w fotelu naprzeciwko Alicji. – Tak długo go szukaliśmy. Myśleliśmy, że stało mu się coś złego. Tyłu złych ludzi wokoło.

Fotel był z wyglądu bliskim krewnym kanapy, chyba równie niewygodnym, bo pani domu co jakiś czas zmieniała pozycję, jakby ją coś uwierało.

– Cieszę się, że mogłam pomóc – powiedziała głośno Alicja, a w myślach dopowiedziała sobie: – Raczej za bardzo za nim nie tęskniliście.

Wstała z niewygodnej kanapy.

– No to ja już pojadę. Do widzenia – powiedziała.

Kobieta natychmiast zerwała się z fotela.

– Ale proszę jeszcze zostać! – krzyknęła.

Alicja zaczynała czuć się dziwnie. Czego ona od niej chce? Dreszcz przebiegł jej po plecach. Przypomniała sobie czytana ostatnio książkę, w której jakiś psychopata zamieszczał ogłoszenia na portalu zakupowym. Z osobami zainteresowanymi jakimś towarem umawiał się w swoim domu, a potem tych, których udało mu się w ten sposób zwabić, zamykał w piwnicy i torturował. Wyrzała przez okno. Mur wokół domu i brama tak wysoka, że z całą pewnością nie przeskoczy. Zresztą nie zostawi tu przecież Czarownicy. Lubiła to stare pudło. Rozejrzała się po pokoju w poszukiwaniu czegoś, czym mogłaby ogłuszyć kobietę.

Telewizora raczej nie podniosę, kinkietu ze ściany nie wyrwę, może lampa? Nie, za ciężka. O! Ta figurka byłaby dobra – pomyślała i zrobiła krok w kierunku siedzącego na komodzie Buddy.

Nagle rozległy się kroki na schodach i do salonu wszedł mężczyzna mniej więcej w tym samym wieku co gospodyni, więc najprawdopodobniej jej mąż.

– Pani była tak miła, że zaopiekowała się naszym Patkiem – poinformowała go kobieta. – A teraz go odwiozła.

– Bardzo mi miło – powiedział mężczyzna. – Widziałem przez okno. Patek bardzo panią polubił.

Alicja spojrzała na niego ze zdziwieniem. Po czym on to wywnioskował? Po tym, jak pies wyskoczył z samochodu jak z procy i obsikał kosiarkę? Czy może po tym, jak gonił rudego kocura?

– Na pewno pani też się do niego przywiązała – kontynuował pan Goryczko.

Alicji zapaliła się czerwona lampka w głowie. Jak to mówił doktor Koszowski? Podrzucają gdzieś psa, odzywają się po kilku tygodniach, gdy znalazca przywiąże się do zwierzaka, i proponują odstąpienie go za symboliczne pięćset złotych. O nie! Ona się na to nie da nabrać.

– Lubię psy. Do niedawna opiekowałam się dwoma golden retrieverami – powiedziała. – Bardzo się cieszę, że Pasztet, to znaczy Patek, trafił do domu. No to ja się już pożegnam.

Mężczyzna i kobieta wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

– Bo wie pani, gdyby pani bardzo zależało, to moglibyśmy zgodzić się na odstąpienie pieska – powiedziała kobieta.

– Za symboliczną opłatą pięćset złotych? – zapytała Alicja.

– A skąd pani wie? – zapytał z głupią miną pan Goryczko i zaskoczony spojrzał na żonę.

– Mówiłaś już coś pani?

Pani Goryczko pokręciła w milczeniu głową.

– Tak jakoś przyszło mi do głowy – odpowiedziała Alicja. – Nie, nie mogłabym państwa pozbawić przyjaciela. Zresztą, mieszkam w kawalerce, a tutaj Patek ma dom z ogrodem. Idealne miejsce dla psa. No, to ja się już pożegnam.

Wyszła przed dom, gospodarze podążyli za nią.

– Patek! Patek – krzyknęła kobieta, a widząc zdziwione spojrzenie gościa, powiedziała: – Na pewno chciałyby się pani z nim pożegnać.

Prawdę mówiąc, Alicja wcale nie miała na to ochoty. W tym momencie przyszło jej właśnie do głowy, że mogłaby właściwie zapłacić to pięćset złotych i zabrać go z powrotem do Łucjowej kawalerki na jedenastym piętrze. Gipsowy i Szymon by się bardzo ucieszyli.

Jak on się tutaj zjawi, to jestem ugotowana – stwierdziła.

Ale mimo że właściciele przez prawie kwadrans biegali wokół domu, nawołując i pohukując, pies się nie pojawił.

– Przepraszam, ale ja naprawdę muszę już jechać. Mam spotkanie – powiedziała wreszcie Alicja, przerywając to dziwne przedstawienie. – Proszę pożegnać ode mnie Paszteta, to znaczy Patka.

Gospodarze z wyraźną niechęcią otworzyli bramę i pozwolili jej wyjechać. Gdy znalazła się poza osiedlem jednorodzinnych domków, odetchnęła z ulgą.

– Wariaci – mruknęła pod nosem. – Dobrze, że w końcu mnie wypuścili. Mam nadzieję, że oni jednak dobrze traktują tego biednego Paszteta. Pewnie tak, bo w końcu na nim zarabiają. Ciekawe, czy rudego kocura też tak podrzucają.

Na takich rozmyślaniach zesza jej podróż do domu. Już miała wejść do klatki schodowej, ale przypomniała sobie o torbie z zakupami, które zrobiła po drodze i jak zwykle rzuciła na tylne siedzenie. Otworzyła drzwi, sięgnęła po zakupy i w tym samym momencie spod siedzenia wyskoczyło coś czarnego i kudłatego i polizało ją po twarzy.

– Pasztet? Co ty tutaj robisz? Jak wlałeś do samochodu? – pytała oszołomiona. – No tak, zostawiłam otwarte okno.

Jeszcze nie zdążyła ochłonąć, gdy z samochodu wylazł... rudy kocur. Ten sam, którego gonił Pasztet. Wyglądali na bardzo zaprzyjaźnionych.

– Niezłe kino – jęknęła. – Jeszcze tylko brakuje, żeby zaraz wyskoczył mi z samochodu pan Goryczko. Nie ma sprawy, przecież wszyscy świetnie się pomieścimy w kawalerce Łucji. Trzeba tylko będzie ustalić jakiś grafik korzystania z łazienki.

Na szczęście w samochodzie nie było już innych pasażerów na gapę. Alicja jednak na wszelki wypadek sprawdziła dokładnie pod siedzeniami i w bagażniku. Zamknęła Czarownicę

i spojrzała na zegarek.

– Kurza stopa. Późno się zrobiło i dzisiaj już nie zdążę was odwiedzić do domu. Chodźmy na górę – powiedziała i otworzyła drzwi do klatki.

W domu Pasztet natychmiast podbiegł do Gipsowego i obszczał starego przyjaciela. Kot dystyngowanym krokiem podążył za nim i przeciągłym „Mrauuu!” przedstawił się krasnalowi. A potem zwierzaki ułożyły się obok gipsowego.

– I co ja mam teraz z wami zrobić? – zapytała głośno, patrząc na nich. – Wyszło chyba na to, że was ukradłam tym całym Goryczkom. Jeszcze tego mi brakowało. Złodziejka psów i kotów! No dobra. Teraz chodźmy spać. Jutro pomyślę, co z tym fantem zrobić. A raczej z dwoma fantami.

Spojrzała na Paszteta. Nie wyglądał, jakby bardzo się przejął swoją sytuacją. Chyba dobrze wiedział, jaką decyzję podejmie jego tymczasowa opiekunka. I miał rację. Po krótkiej chwili Alicja oznajmiła:

– Na razie zostajesz u mnie. I twój rudy kolega też. Żadnych ogłoszeń dawać nie będę. Wrócimy do sprawy, jak właściciele sami zaczną was szukać.

Spojrzała na zegarek.

– Matko jedyna! Przecież ja się spóźnię do roboty! – krzyknęła.

Zacząła biegać jak szalona po całym mieszkaniu. Najpierw popędziła do łazienki, żeby wziąć szybką kąpiel. Gdy już miała się rozebrać, przypomniała sobie, że ręcznik suszy się na suszarce w pokoju. Z tym ręcznikiem nie wiadomo po co popędziła do kuchni i zostawiła go na krześle. Wróciła, zabrała szlafrok, ale zostawiła pończochy. Po piętnastu minutach była już prawie gotowa. Tylko założyć pantofle...

– Zaraz, gdzie są moje pantofle? – Rozejrzała się po pokoju. – Same gdzieś poszły czy co?

– Czego pani tak szuka? – rozległ się nagle za oknem głos Wieśka.

– Dzień dobry! – przywitała się. – Co pan dzisiaj tak późno?

– Musieliśmy coś poprawić w innym budynku – odpowiedział mężczyzna. – Koledzy ciągle tam robią, tylko mnie tu podrzucili. Czego pani tak szuka?

– Czerwonych pantofli – odpowiedziała zrozpaczonym głosem i znowu spojrzała na zegarek.

Czas galopował w szalonym tempie i coraz bardziej realny stawał się scenariusz, że goście jej pierwszego rozwodowego przyjęcia nie doczekają się organizatorki. Będzie koncertowa kłapa.

– A nie stoją przypadkiem tam, obok krasnala? – Wiesiek machnął ręką.

Faktycznie! A dałaby sobie głowę uciąć, że jeszcze przed chwilą na kolanach przeszukała całą podłogę.

Czyżby zemsta Gipsowego za próbę oddania Paszteta? – pomyślała. – Dobrze przynajmniej, że nie nasikał mi do pantofli.

Na wszelki wypadek, zanim założyła buty, dokładnie je obejrzała, a potem odwróciła krasnala z powrotem twarzą w stronę pokoju. Uznała, że lepiej, jak go nie będzie drażnić.

– Dziękuję bardzo! – krzyknęła do Wieśka. – Nie wie pan przypadkiem, dlaczego krasnoludki sikają do butów?

– Bo do kieszeni nie sięgają – odpowiedział mężczyzna. – Miłego wieczoru życzę!

ROZDZIAŁ XV

ALIMENCIKI, WDZIĘKI KOCHANKI I MEKSYKAŃSKIE CUDZOŁOŹNICE

Na szczęście tym razem Czarownica nie miała żadnych fanaberii i na czas dotarły na miejsce. Alicja zaparkowała pod lokalem gastronomicznym „Zacisze”, bo nigdzie indziej nie było już miejsc. Goście pani adwokat zajęli cały parking pod zakładem pogrzebowym. Zamknęła samochód i popędziła do królestwa braci Kowalów, w którym miało odbyć się jej debiutanckie przyjęcie rozwodowe.

– Już myślałam, że nie zdążysz! – krzyknęła na jej widok Baśka.

– Ja też – wysapała Alicja. – Gipsowy z zemsty schował mi pantofle.

Koleżanka podała jej półmisek z przekąską, którą nazwała „paluszki rozwódki” (roladki z bakłażana faszerowane szynką parmeńską i suszonymi pomidorami) i spojrzała na nią ze zdziwieniem.

– Masz nowego faceta? Ale Gipsowy to chyba nie jest imię tylko ksywka? – zapytała. – A może nazwisko? Znam jednego Gipsowego. Wieśka Gipsowego, organistę we wsi, w której mieszka moja babcia. Ma chyba z dziewięćdziesiąt lat i jest głuchy jak pień. Może dlatego nie przeszkadza mu, jak potwornie fałszuje w niedziele na sumie. Mówię ci, muchy padają martwe w locie. Nie, on się chyba nazywał Krzysiek Gipsówka. Ale ten twój facet chyba nie jest głuchy?

– Nie wiem, czy jest głuchy, ale na szczęście nie gra i nie śpiewa – roześmiała się Alicja i postawiła talerz z „paluszkami rozwódki” na stole. – Gipsowy jest krasnałem. Gipsowy bo z gipsu. Łucja go tam przytargała.

– A nie mogła postawić go w ogródku? – zdziwiła się Baśka, zrobiła krok do tyłu i przyjrzała się tartaletkom z łososiem, które zostały po burzliwej naradzie ochrzczone „sercami niewiernych mężów”, a potem pokiwała z aprobatą głową. – Ludzie to mają dziwne pomysły. Jeden znajomy mojej siostry kupił sobie kozę. A że mieszkał w bloku, trzymał ją na balkonie. Zżarła pranie sąsiadce, która miała balkon tuż obok, zeskoczyła i uciekła.

– Ale że niby jak zeskoczyła? – Nie zrozumiała Alicja. – Nie połamała sobie nóg?

– Nie, to był niski parter – uspokoila ją Baśka. – Ubij śmietanę do „wdzięków kochanki”.

– Do czego?

– No przecież do tych boskich ptysiów, które upiekła pani Kowalska – wyjaśniła koleżanka. – Kobieta ma złote ręce do wypieków. Skąd ty ją wzięłaś?

– Z sądu – odpowiedziała Alicja.

– Otruła kogoś? – Baśka spojrzała podejrzliwie na ptysie i na wszelki wypadek powąchała je.

– Nie, skąd. – Alicja wzruszyła ramionami. – Przyszła po alimenty.

– Aha. No to dlaczego Łucja trzyma Gipsowego w mieszkaniu na jedenastym piętrze? – chciała wiedzieć Baśka.

– Bo jak stał w ogródku, to jakieś oszołomy bez przerwy wywoziły go do lasu – wyjaśniła Alicja i pociągnęła nosem.

– No to faktycznie – zgodziła się z nią Baśka. – Słuchaj, po co ty mi na listę zakupów wpisałaś konewkę?

– Ja ci wpisałam? – zdziwiła się właścicielka firmy.

– No, sama zobacz. – Baśka podała jej kartkę, a potem wyciągnęła spod stołu plastikową zieloną konewkę.

– Pismo moje, ale o co mi chodziło? – Wzruszyła ramionami. – Pojęcia nie mam. Słuchaj, czy coś się tu nie przypała?

– W mordę jeża! – krzyknęła Baśka, zaglądając do piekarnika. – „Alimenciki” się fajczą. Miałam je tylko podgrzać. To też od Kowalskiej.

– Może by to zalać wodą z tej konewki, jak już jest? – zaproponowała.

– Ani mi się waź! – Baśka własną pierśią osłoniła „alimenciki”, jak zostały nazwane na okoliczność przyjęcia rozwodowego paszteciki z grzybami. – No, na szczęście wcale się nie przypaliły. Może jeden. Chcesz?

– Pewnie! Pyszne. To mamy już wszystko – stwierdziła z satysfakcją Alicja i przełknęła ostatni kęs pasztecika. – No, prawie wszystko. Mam nadzieję, że kwartet jazzowy się nie spóźni, bo inaczej będę musiała grać na grzebieniu.

– Faceci? – zdziwiła się Baśka. – Przecież miało nie być żadnych facetów.

– No i nie będzie. To jest żeński kwartet jazzowy. Twoja siostra dała mi namiar – uspokoiła ją Alicja. – Podobno jakieś jej koleżanki z liceum.

Baśka pokręciła głową z powątpiewaniem.

– No nie wiem. Jak ten namiar dała ci Zuzka, to możesz się spodziewać, że zamiast kwartetu jazzowego przyjdzie pięciu emerytów grających na piłach. Raz dała mi namiar na manikiurzystkę, a trafiłam do jakiejś jaskini hazardu. Cała moja starsza siostrzyczka!

– Co się czepiasz? – rozległo się nagle od drzwi i do środka weszła starsza siostra Baśki, Zuzanna. – Ja ci dałam dobry adres. Manikiurzystka tam jak najbardziej podnajmowała pokój. Do niej trzeba było dzwonić dwa razy, a do hazardzistów trzy. Musiałaś zrobić na odwrót, jak zwykle. A potem wszystko na mnie.

– Nie zrobiłam na odwrót, tylko ty mi ogóle o tych dzwonek nie powiedziałaś – przypomniała siostrze Baśka. – Nie wyżeraj mi farszu do „bosonogich contess”, bo mi później suche placki do tortilli zostaną.

– To ja mogę zjeść też placek – zaferowała się Zuzanna. – Au! Czemu mnie bijesz? Przecież sama mówiłaś, że wtedy wygrałaś dwa tysiące. I to dolarów!

– To fakt. I nie dwa, tylko cztery – przyznała Baśka i łaskawie pacnęła trochę farszu na talerzyk, a po namyśle dołożyła do tego tortillę i podała siostrze.

Żeński kwartet jazzowy na szczęście naprawdę był żeński i naprawdę grał jazz, dobry jazz. Goście dopisali, impreza trwała w najlepsze, wszyscy zachwalali menu, adwokatka

wyglądała na bardzo zadowoloną. Alicja uznała, że może odetchnąć na chwilę i przysiąc gdzieś w kąci.

– Towarzystwo jest już tak rozbawione, że nie potrzebuje animatora – rozgrzeszyła się i ruszyła do kuchni.

Nagle usłyszała jakieś podniesione głosy, a potem ktoś załomotał do drzwi. Orkiestra przestała grać, goście ucichli i kilka osób zjawilo się w korytarzu.

– Czyżby jacyś spóźnieni rozwodowi imprezowicze? – zdziwiła się Alicja i spojrzała wyczekująco na panią mecenas, która stała za jej plecami.

– Niech pani otworzy – powiedziała adwokatka. – Może to któraś z moich znajomych? Tyle osób przyszło, że już przestałam ogarniać, kto jest, a kogo nie ma.

Alicja uchyliła drzwi. Do środka wparowało czterech facetów z... trumną. Wnieśli ją do środka i z hukiem postawili na podłodze.

– My z reklamacją – powiedział jeden z nich, wysoki barczysty blondyn, i wyciągnął z kieszeni jakąś kartkę. – Trumna miała mieć podwójne dno. Tak dokładnie napisaliśmy w zamówieniu.

– Nieboszczyk wypadł? – zapytała Alicja i dopiero po skonsternowanych spojrzeniach gości pani adwokat zorientowała się, że palnęła głupotę. Może ten nieboszczyk to był jakiś bliski krewny tych, co przynieśli trumnę...

– Nie, skąd. – Niski brunet zamachał rękami. – Złamał nogę i nie może występować!

– Nieboszczyk występował? – zapytała z niedowierzaniem. – To jest legalne?

Ups! Kolejna gafa. Czy ona nigdy nie nauczy się gryźć w język, zanim powie coś głupiego? Zupełnie jak wtedy, gdy sprzedawali samochód Pawła.

Młody człowiek, zainteresowany zakupem, powiedział w rozmowie telefonicznej, że przyjdzie z narzeczoną i mamusią, która jest główną sponsorką transakcji. Powiedział też, że narzeczona marzy o takim właśnie samochodzie, dokładnie w tym kolorze. W umówiony dzień Alicja otworzyła furtkę chłopakowi lat mniej więcej dwadzieścia i kobiecie w wieku pięćdziesiąt plus.

– Dzień dobry – powiedziała z uśmiechem. – To pan tylko z mamą? A narzeczona nie mogła przyjść?

Po minie pani już wiedziała, że pokazywanie samochodu nie ma sensu, ponieważ to mamusia nie mogła przyjść, a narzeczona jak najbardziej przyszła.

Ale to było nic w porównaniu z tym, co teraz wypaliła. Spojrzała z niepokojem na pogrążonych w smutku krewnych, którzy przynieśli trumnę. Zrobiło jej się głupio, że w takiej chwili mężczyźni muszą wysłuchiwać jej impertynencji. Zszargała pamięć jakiegoś szacownego nieboszczyka.

– Ale jaki nieboszczyk? – zdziwił się trzeci z mężczyzn, na oko brat bruneta. – To nasz brat złamał nogę, jak wypadł z trumny. Jesteśmy grupą rekonstrukcyjną.

– A co panowie rekonstruowali? – zainteresowała się Baśka, która wyjrzała z kuchni.

– Pogrzeb Bolesława Paliczki rekonstruowaliśmy, proszę pani – odpowiedział z godnością blondyn.

– A kim był ten Przemysław Paliczka? – zainteresowała się jakaś znajoma pani mecenas.

– Paliczko, Bolesław Paliczko – wyjaśnił mężczyzna. – To był nadworny astrolog króla Zygmunta Augusta. I nasz przodek.

– A myślałam, że to Twardowski był tym astrologiem – powiedziała ze zdziwieniem Alicja. – W filmie tak mówili.

– O! Ja też oglądałam ten film – przypomniała sobie recepcjonistka adwokacki.
Blondyn nabrał powietrza w płuca.

– Najnowsze badania historyczne, przeprowadzone przez członków naszej grupy rekonstrukcyjnej, bez żadnych wątpliwości udowadniają, że Twardowski by uzurpatorem i oszustem, który okradał Bolesława Paliczkę, czyli naszego przodka, i podawał jego przepowiednie za swoje – powiedział z poważną miną. – W przyszłym tygodniu nakładem rodzinnego wydawnictwa Paliczków ukaże się broszura na ten temat. Autorem jest nasz brat, ten, który złamał nogę. A wszystko przez trumnę. Dlatego przyszliśmy z reklamacją.

– Ale dlaczego tutaj? – Nie rozumiała Alicja. – Co my mamy z tym wspólnego?

– No jak to? – oburzył się blondyn. – Przecież ten akwizytor, który sprzedał nam trumnę do rekonstrukcji, dał nam wizytówkę i na niej był właśnie ten adres.

– A ma pan przypadkiem wizytówkę tego zakładu? – zapytała Baśka.

– Oczywiście, że mam – odpowiedział mężczyzna i sięgnął do kieszeni. – Proszę bardzo. A teraz bez przerwy nas zbywają albo nie odbierają telefonów.

Alicja spojrzała Baśce przez ramię.

– Ale to nie tutaj. To znaczy tutaj, ale my nie mamy z tym nic wspólnego. Tylko podnajmujemy od nich salę na wieczór. Proszę przyjść rano – stwierdziła i odetchnęła z ulgą, że teraz dziwaczna grupa rekonstrukcyjna pójdzie sobie precz ze swoją trumną.

– Zaraz, zaraz... Zakład pogrzebowy braci Kowalów? – mruknęła z niedowierzaniem Baśka. – Ja ich znam. Ty zresztą Zuza, też.

– No pewnie. Ja nie wierzę, żeby Kowalowie mogli komukolwiek sprzedać trefną trumnę – stwierdziła stanowczo jej siostra. – Z którym z nich panowie rozmawiali?

Blondyn przez chwilę sprawdzał w telefonie. Wszyscy w pełnym napięcia milczeniu śledzili ruchy jego palców.

– O, mam! – krzyknął wreszcie. – Pan Wiktor Krętak.

– Coś mi się wydaje, że ten pan Krętak zrobił jakiś przekręt. – Baśka pokiwała głową. – Cała sprawa na pewno się wyjaśni i okaże się, że firma braci Kowalów nie ma z tym trumiennym wkrętem, to znaczy szachrajstwem, nic wspólnego. Zadzwoń pan do nich jutro i porozmawia na spokojnie. Nie warto teraz staruszków w środku nocy budzić. Ty, Zuza, masz jakieś kontakty na policji, to możesz pomóc panom, no nie?

– Już nie mam. – Zuzanna się skrzywiła. – Paweł Gaweł wyjechał na staż w Scotland Yardzie, a jego koledzy nie bardzo mnie lubią, odkąd zgłosiłam, że przed naszym blokiem leży nieboszczyk.

– A nie leżał? – zainteresowała się recepcjonistka prawniczki.

– Nieboszczyk nie, ale pijany komendant posterunku w Zabrzeźnie. – Zuzanna westchnęła. – Jakoś nie był wcale wdzięczny swoim podwładnym, że go zawieźli do izby wytrzeźwień. Teraz już pewnie żadnego zgłoszenia ode mnie nie przyjmą. Ale jak trzeba będzie, to zadzwonię do Londynu i każę Pawłowi Gawłowi wracać.

– Na pewno to zrobi – zapewniła wszystkich zebranych Baśka.

– Nie stójmy tak w przejściu – wtrąciła się pani mecenas. – Zapraszam wszystkich do środka. Na pewno panowie coś chętnie zjedzą. Można zgłodnieć, jak się tak człowiek z trumną przeleci po mieści.

– No, ale co z tym? – zapytał krępy rudzielec i wskazał znacząco na dębowe pudło.

– A niech pan postawi gdzieś pod ścianą – odpowiedziała Alicja. – Tam w kącie będzie jej dobrze. I proszę dalej. Kawa, herbata? Są też pyszne przekąski.

ROZDZIAŁ XVI

BOSONOGA CONTESSA

Z wieczoru rozwodowego adwokacki zrobiła się noc. Alicja wróciła do domu nad ranem. W samochodzie zdjęła pantofle, a gdy dojechała pod blok, jakoś zapomniała je założyć. O tym, że idzie boso, zorientowała się, dopiero gdy była w połowie drogi z parkingu do klatki schodowej.

– Nie, nie wracam – postanowiła. – Mowy nie ma. Umarłabym po drodze, a przynajmniej zasnęła na stojąco.

Podreptała dalej, posykując i podskakując, gdy trafiła stopą na kamyk. Gdy wychodziła z windy, natknęła się na sąsiada. Oburzone spojrzenie, jakim omiótł jej nogi, wprawiło ją w bardzo dobry humor.

– Jak nic wziął mnie za bosonogą contessę z tego starego filmu z Bogartem, co go puszczała w telewizji w zeszłym tygodniu – zachichotała, gdy zniknął za drzwiami.

Nie miała najmniejszych wątpliwości, że przez staruszkę zza ściany została ostatecznie i nieodwracalnie uznana za kobietę upadłą, ale jakoś zupełnie jej to nie przeszkadzało. Weszła do mieszkania, rzuciła torebkę w kąt i powędrowała do wanny. Gdy zanurzyła się w ciepłej wodzie z pianą i zamknęła oczy, westchnęła z ulgą.

Jak przyjemnie. Zaraz zasnę – pomyślała.

To ją natychmiast otrzeźwiło. Mogła sobie bez trudu wyobrazić, jak by to wyglądało.

Łazienka była pełna ludzi. Nad nią pochylali się jacyś mężczyźni. Jeden chyba lekarz, bo w białym fartuchu. A drugi pewnie policjant, bo w mundurze. Chciała krzyknąć, żeby wyszli, bo jest przecież całkiem goła, ale nie mogła wykrztusić słowa.

– Kiedy nastąpił zgon? – zapytał mundurowy.

– Jakies dwie godziny temu – odpowiedział znudzonym tonem lekarz. – Przypadkowe utonięcie albo samobójstwo. Ja jednak obstawiam samobójstwo.

– Kto popełnił samobójstwo? – chciała krzyknąć, ale znowu głos uwięził jej w gardle.

Miała wrażenie, że porusza ustami jak karp.

– Trzeba będzie zrobić sekcję – stwierdził lekarz. – A kto to w ogóle jest? Wiadomo cokolwiek?

– Sądzi mówią, że wprowadziła się niedawno – odpowiedział policjant. – Niewiele na razie o niej wiemy. Pan pozwoli tutaj! Czy poznaje pan denatkę?

Do łazienki wszedł Szymon i spojrzał na nią bez specjalnego zainteresowania. Odruchowo sięgnęła po ręcznik leżący na brzegu wanny, ale ręce odmówiły jej posłuszeństwa.

– Tak, ale właściwie jej nie znałem – powiedział.

– Ale za to my już wiemy więcej – krzyknął jakiś młody w mundurze i zajrzał do łazienki.

– Co to ma być, kurza stopa? Dworzec PKS-u w Zabrzeźnie w godzinach szczytu? – spróbowała krzyknąć i znowu tylko bezgłośnie poruszyła ustami.

– Małgosia pogrzebała w bazach danych – raportował młody. – Alicja Watrak. Rozwódka. Bezrobotna, kilka tygodni temu zarejestrowała się w urzędzie pracy. Dostała jakąś dotację i otworzyła prywatną firmę. Organizowała przyjęcia. Tu napisali, że rozwiodła, ale to chyba pomyłka. Pewnie chodzi o ślubne. Nic dziwnego, że się rozpiła. W kuchni znalazłem butelki po alkoholu. Pewnie depresja i alkoholizm.

– Sam jesteś depresja i alkoholizm! – Spojrzała na niego oburzona. – A tak w ogóle, to co z ochroną danych wrażliwych? Tak każdy może sobie przeczytać, że się rozwiodłam? I w ogóle żadna Watrak, tylko Kalicka. Jak już sprawdzacie, to przynajmniej dokładnie!

– Zabierajcie ją – zarządził facet w białym kitlu. – Mam jeszcze oprócz niej dwóch topielców do zrobienia dzisiaj w nocy.

Natychmiast zjawili się dwóch potężnie zbudowanych drabów. Wyciągnęli ją z wanny i zapakowali do foliowego worka.

– Nie! Ja żyję! – krzyknęła, ale oczywiście nikt jej nie usłyszał.

– Ja się kiedyś naprawdę przypadkiem utopię – stwierdziła, gramoląc się szybko z wanny. – I oczywiście wszyscy doszliby do wniosku, że ja w tej wannie popełniłam samobójstwo z powodu Pawła. O nie! Takiej satysfakcji mu nie dam. Jemu i tej całej Tinie.

Jak dotarła do łóżka, tego już nie pamiętała. Obudziło ją słońce, które świeciło prosto w okno. To znaczyło, że musi być już po dziewiątej. Podniosła głowę i rozejrzała się. Pasztet i rudy kocur leżeli obok Gipsowego.

– No, czas na spacer. Pasztet ze mną, reszta pilnuje domu – zarządziła i głośno ziewnęła. – A ciebie, rudzielcu, jeszcze dzisiaj zabiorę do weterynarza. No, nie pokazuj pazurków. Pasztet ci później opowie, jaki to miły lekarz ten doktor Koszowski. Zakochasz się w nim, mówię ci!

Chłodne powietrze na zewnątrz otrzeźwiło Alicję. Ruszyli w stronę brzozonego zagajnika. Byli w połowie drogi, gdy kobieta usłyszała, że ktoś ją woła. Odwróciła się. W jej stronę szedł jak zwykle uśmiechnięty Szymon.

– Miło was widzieć – powiedział. – A nie mówiłem, że się dzisiaj spotkamy?

– Tylko skąd wiedziałeś? – zapytała Alicja i okryła się szczelniej kurtką na wspomnienie swojego idiotycznego snu.

– Nie zapominaj, że jestem weterynarzem – roześmiał się. – Od razu potrafię rozpoznać właściciela przywiązanego do psa i na odwrót. Jesteście z Pasztetem dla siebie stworzeni. Ale powiedz mi... Nie znalazłaś w końcu jego właścicieli?

– Znalazłam, znalazłam – westchnęła Alicja. – Ale nie wiem, czy powinnam ci mówić, jak to było. Wiesz, jeszcze uznają, że jesteś współwinny, i też cię wsadzą.

– Jeśli razem z tobą do jednej celi, to chyba zaryzykuję – roześmiał się mężczyzna.

Pasztet pociągnął za smycz i to tak niefortunnie, że wylądowała wprost w ramionach

sąsiada. Ładnie pachniał. Dużo ładniej niż Paweł, który zawsze upierał się, żeby używać wody po goleniu, której zapachu ona nie znosiła. Może Tanią ją lubiła?

– Przepraszam – powiedziała i odsunęła się. – Ja bym się na twoim miejscu tak nie spieszyła z decyzją. Mam okropny charakter.

– Na pewno nie okropniejszy od mojego – zapewnił ją Szymon. – Mam duszę nałogowego hazardzisty, więc zaryzykuję. Mów, co narozrabiałaś. Zamordowałaś właścicieli Paszteta, żeby nie musieć go oddawać? Nic nie mówili rano w wiadomościach. Może jeszcze nie odkryli trupów albo zakopałaś ich tak głęboko, że nikt ich nie znajdzie. Ja cię w każdym razie nie wydam.

– Ani jedno, ani drugie – odpowiedziała. – No dobra. Opowiem ci. Ukradłam go.

– Ukradłaś Paszteta? – Spojrzał na nią z niedowierzaniem.

– To nie wszystko – powiedziała ponuro. – Ukradłam tym ludziom jeszcze kota. Takiego rudego.

– Zdziwiasz mnie, Alicjo. – Uniósł brwi. – Opowiedz wszystko od początku.

– No to cała sprawa się wyjaśniła – roześmiał się, gdy Alicja skończyła swoją opowieść.

– Jak to się wyjaśniła? – Nie zrozumiała. – Teraz to ona się dopiero zagmatwała moim zdaniem.

– Przecież Pasztet wybrał ciebie – powiedział Szymon i pokazał na psa, który biegał wokół Alicji. – Kocur też. Pies i kot mają moim zdaniem takie samo prawo wyboru jak człowiek. Na przykład jak mężczyzna.

W tym miejscu spojrział na nią w taki sposób, że jeszcze szczelniej owinęła się swetrem. Gdyby mogła, to naciągnęłaby go sobie od czubka głowy aż po pięty.

– To ja już pójdę – mruknęła. – Hejka!

Zostawiła Paszteta w domu i pojechała do Baški do hotelu, żeby omówić szczegóły następnej imprezy rozwodowej, a stamtąd na spotkanie z panią Kowalską, żeby przekazać jej zamówienia i zostawić pieniądze na potrzebne składniki. Tak jej zeszło do popołudnia. W drodze do domu wstąpiła jeszcze do sklepu z akcesoriami dla zwierzaków, żeby kupić transporterek dla rudego kocura.

– Może od razu imię namaluję tu z boku? – zaproponował sprzedawca. – Mam szablony.

– Ale ja nie wiem, jak on ma na imię. – Alicja wzruszyła ramionami. – Mam go dopiero od wczoraj.

– To jak kotek ma na imię? – zapytała recepcjonistka w klinice weterynaryjnej. – Muszę mu założyć kartotekę.

– Nie mam pojęcia – odpowiedziała po raz kolejny tego dnia Alicja.

– No to na razie w rubryce „imię” zostawię wolne miejsce, dalej wpiszę umaszczenie: rudy, numer kartoteki: sto dwa. Proszę zapamiętać, to będzie łatwiej zamawiać wizytę – poprosiła recepcjonistka.

– Rudy sto dwa – powtórzyła Alicja. – To doskonale imię! Pamiętaj, że od tej pory nazywasz się Rudy Sto Dwa.

Kot przeciągnął się powoli, jakby zastanawiał się, czy nowe imię mu się podoba, i wreszcie mruknął z aprobatą.

– Piękny kocur! – zachwyciły się przyjaciółki, gdy odwiedziły ją wieczorem.

– Koty przyciągają miłość – stwierdziła Karolina. – Masz już kogoś?

– Nie, no skąd. Przecież nie mogę zakochać się w facecie, który nie lubi kobiet, no nie? –

Alicja wzruszyła ramionami.

– Jak to nie lubi kobiet? – zapytała z powątpiewaniem Karolina. – Wszystkich kobiet nie lubi czy tylko o jakieś konkretne chodzi?

– Wszystkich. Woli facetów – doprecyzowała.

– Chodzi ci o geja? – domyśliła się Łucja.

– No właśnie. – Alicja kiwnęła głową.

– Geje bardzo lubią kobiety – stwierdziła z przekonaniem Ewa. – Każda bohaterka serialu albo książki ma przyjaciela geja.

– To to ja akurat wiem, bo oglądałam te same seriale. Ale ja nie mówię o przyjaźni, tylko o... – powiedziała Alicja.

– A! Jak o tym, to zmienia postać rzeczy. – Łucja się roześmiała. – Zakochałaś się w geju?

– Chyba tak – westchnęła Alicja.

– A skąd ty go wzięłaś? – zdziwiła się Karolina.

– Mieszka tu naprzeciwno – wyznała.

– To ten inżynier? – zainteresowała się Ewa.

– Jaki inżynier? – zdziwiła się Alicja. – Żaden inżynier. On jest weterynarzem.

– Ale przecież sama mówiłaś kiedyś, że to inżynier i że przepchał ci rurę – upierała się

Ewa.

– Ja niczego takiego nie mówiłam. Szymon jest weterynarzem i żadnej rury mi nie przepchał. No, co się wariatki śmiejecie? – rzuciła do Karoliny i Łucji, które piałły z radości.

– No, że on ci tej rury nie przepchał – wyrzęziła wreszcie po chwili Łucja. – A tak w ogóle, to o inżynierach i rurze mówiłam ja. Przed tym twoim Szymonem tamto mieszkanie wynajmowali jacyś studenci ostatniego roku politechniki i faktycznie przepchali mi rurę pod zlewozmywakiem.

Alicja wzruszyła ramionami.

– To nie jest żaden mój Szymon – powiedziała i westchnęła z żalem.

– Ale chciałabyś? – zapytała Karolina i nagle ku zaskoczeniu wszystkich ryknęła płaczem. – To wszystko moja wina.

Przyjaciółki spojrzały na nią tak, jakby oznajmiła im, że jest kosmitką z planety Alfa i właśnie wczoraj przyleciała na Ziemię.

– Jak to twoja wina? Zwariowałaś czy się upiłaś? Pewnie jej zaszkoziły te wszystkie wynalazki, które robisz. – Łucja spojrzała oskarżycielsko na Ewę.

– Czego się mnie czepiasz? Dzisiaj niczego nie mieszałam. Normalne wino piła – burknęła Ewa. – Od wina jeszcze nikt nie zwariował.

– Bądźcie cicho. – Alicja machnęła ręką. – Trzeba uciszyć tę histeryczkę. Może wtedy nam powie, o co jej chodzi. Przestań smarkać i gadaj!

– Może by jej przylać albo oblać ją wodą? – zaproponowała Ewa. – Podobno na histeryczki to działa. Ja mogę na ochotnika!

– No, no. Trzymaj łapy przy sobie – powiedziała zupełnie spokojnym tonem Karolina. – Albo ja ci przyleję.

– No, mówiłam przecież, że umiem sobie radzić z histeryczkami – roześmiała się Ewa.

– Sama jesteś histeryczka – fuknęła Karolina.

– Jak się uspokoiłaś, to gadaj, o co chodzi z tym gejem z naprzeciwnka? – zażądała Ewa.

– Według mnie to on nie jest wcale gejem. – Łucja wzruszyła ramionami.

– Nie przerywaj. – Alicja zamachała rękami. – Ja się chcę dowiedzieć, co ona mi zrobiła. Gadaj zaraz, czarownico, bo cię uduszę. Ja się nie chciałam zakochiwać!

– W geju? – zainteresowała się Ewa.
– W nikim się nie chciałam zakochiwać! – krzyknęła Alicja. – Mam dość facetów na resztę życia. Gadaj, co mi zrobiłaś! Ale już.

Karolina na wszelki wypadek przesunęła się kilka kroków w stronę drzwi.

– Pamiętasz, jak byliśmy u ciebie wtedy, jak przywiozłaś swoje rzeczy od Pawła? – zaczęła.

– W śmieciowych workach – przypomniała Łucja.

– Nie przerywaj – uciszyła ją Alicja. – Bo ona nigdy nie dojdzie do tego, co ma powiedzieć.

– No i ja właśnie wtedy przyniosłam szafnię, żeby okadzić twoje mieszkanie – kontynuowała Karolina.

Tak, Alicja dobrze pamiętała ten smród i ból głowy następnego dnia rano. Chociaż akurat ból głowy mógł być od drinków, które robiła Ewa.

– No i dopiero w domu zauważyłam, że przez pomyłkę wsypałam do woreczka nie szafnię, tylko lubczyk – dokończyła Karolina i spojrzała niepewnie na przyjaciółki.

– Okadziłaś mi mieszkanie lubczykiem? – zapytała ze zdziwieniem Alicja. – I dlatego niby zakochałam się w Szymonie?

– Ale ja nie tylko twoje mieszkanie. Jak wychodziłyśmy, to mi się na klatce rozsypało i u tego faceta na wycieraczce – przyznała Karolina.

– No, ale z tego wynika, że on się też powinien zakochać w Ali – stwierdziła Ewa.

– Nie, na niego nie podziałało, bo jest gejem. – Karolina rozłożyła bezradnie ręce.

– On nie jest żadnym gejem – fuknęła Łucja. – Co wy za brednie opowiadacie? Może na facetów to działa z opóźnieniem? Może on się jeszcze w tobie zakocha, Ala? Na pewno się zakocha.

– Moje zioła nie działają z opóźnieniem – powiedziała urażonym tonem Karolina.

Alicja pomyślała, że czasami z ochotą została seryjnym mordercą i ukatrupiła po kolei swoje najlepsze przyjaciółki. A zaczęłyby od Karoliny za te jej głupie pomysły z okadzaniem.

– Natychmiast to wszystko odczaruj, bo inaczej cię uduszę. Ja nie żartuję – powiedziała i spojrzała znacząco na Karolinę. – Jestem nieobliczalna. Mąż mnie zdradził i porzucił, z roboty mnie wylali, ukradłam psa i kota. Na dodatek zakochałam się w geju.

– Ale przecież on... – zaczęła Łucja i zamknęła usta, bo Alicja spiorunowała ją wzrokiem.

– Ja nie wiem... – zaczęła Karolina. – Nikt mnie do tej pory nie prosił o miksturę na to, żeby się odkochać. Ale mogę poszukać w książkach.

– To lepiej szybko poszukaj – warknęła Alicja.

Karolina chwyciła swoją kurtkę i rzuciła się do drzwi.

– Stój! Gdzie lecisz, wariatko? – krzyknęła Łucja.

– No przecież kazała mi lecieć i szukać tej receptury! – Karolina pokazała na Alicję.

Łucja prychnęła.

– Ale przecież nie miała na myśli, że już teraz. Siadaj i napij się wina. – Łucja pokazała na fotel obok siebie i spojrzała pytająco na Alicję.

Przyjaciółka co prawda w pierwszej chwili naprawdę miała ochotę kazać Karolinie biec do domu albo do biblioteki po tę recepturę, ale po chwili ochłonęła.

– Pewnie, że jej nie wyrzucałam od razu po tę miksturę – powiedziała.

– No właśnie – przytaknęła Łucja. – Siadaj, Karolina. Alu, opowiedz nam, jak się udało wczorajsze przyjęcie rozwodowe?

Alicja zrelacjonowała przyjaciółkom imprezę. Nie pominęła oczywiście epizodu

z trumną.

– Swoją drogą, ciekawe, co się stało z tą trumną grupy rekonstrukcyjnej? – zastanawiała się głośno.

– Trumna to znak, że czas pogrzebać przeszłość i zająć się przyszłością. – powiedziała Karolina i natychmiast zamilkła pod karcącym spojrzeniem Łucji. – No co? W senniku czytałam.

– Ale przecież jej się ta trumna nie śniła – przypomniała Ewa. – To się nie liczy.

– No nie wiem. – Alicja pokręciła głową. – Bo ja jeszcze wam nie opowiadałam, ale po powrocie do domu o mało się w trumnie, chciałam powiedzieć: w wannie, nie utopiłam. Może jednak coś ta trumna znaczy? Swoją drogą ciekawe, jak się skończyła trumienna afera...

Następnego dnia była umówiona z Bašką. Miała wpaść do niej do hotelu. Zaparkowała czarownicę i wjechała windą na piętro. W recepcji kłębił się tłum Japończyków. Przecisnęła się obok nich i poszła do kuchni.

– Co tu się u was dzieje? – zapytała po wejściu do kuchni.

Pomieszczenie wyglądało, jakby przeszła przez nie trąba powietrzna. Wszystkie szafki otwarte, garnki, patelnie i sztućce na podłodze.

– Gotujemy dla Japończyków – oznajmiła Baška.

– To dlatego gotujecie na podłodze? – zdziwiła się Alicja. – Japończycy jedzą, siedząc na podłodze. Nie słyszałam, żeby w ten sposób gotowali.

– Ty nie bądź taka dowcipna, tylko lepiej pomóż – warknęła Baška.

– A gdzie reszta załogi tego waszego Titanica? – zapytała Alicja.

– Magda na zwolnieniu, Bogdan złożył wypowiedzenie – odpowiedziała była szefowa. – Olga gdzieś tu powinna być. Poszła chyba do magazynku.

Alicja rozejrzała się po kuchni.

– Ale jeszcze powinna być Iza – stwierdziła.

– Iza pojechała do Londynu – prychnęła Baška. – Wice dostał zaproszenie od jakiejś ichniej sieci hoteli i zabrał ją ze sobą. Tylko mnie nie pytaj, po co.

– No akurat po co, to ja jestem w stanie sobie wyobrazić. Chociaż lepiej nie, nie będę sobie wyobrażać – roześmiała się była podwładna.

Baška poślizgnęła się na mokrej podłodze i o mało nie wywinęła orła.

– Zamiast dowcipkować, lepiej mi pomóż, bo zaraz zwariuję albo popełnię seppuku – zagroziła Baška. – Twój fartuch jeszcze chyba wisi w szafce po tym, jak wrócił z hotelowej pralni. Parę razy już zamierzałam go wyrzucić, ale za każdym razem coś mi mówiło, że nie powinnam tego robić. Książeczkę sanepidowską masz ważną, to bierz się do roboty, bo Japończycy głodni.

– A jak Japończyk głodny to zły – roześmiała się Alicja i sięgnęła po fartuch tym samym ruchem, jakim robiła to przez kilka lat.

– Nie, to Polak jak głodny to zły – sprostowała Olga, wchodząc do kuchni. – Wróciłeś do nas?

– Każdy jak głodny to zły. Nie, przybyłam tylko na pomoc, żeby wam posiekać cebulę.

– No to super! – ucieszyła się Olga. – Jak ostatnio Iza siekała cebulę, to trzeba było całą wywalić. Lepiej nie pytaj, co ta idiotka zrobiła.

Alicja spojrzała na nią z zainteresowaniem.

– Powiedz, bo w nocy nie zasnę. Nie bądź zołą – poprosiła.

– No dobra. Najpierw usiekła sobie dwa tipsy, ale jakoś je wyciągnęliśmy – zaczęła Olga.

– Błeeee – skrzywiła się Alicja i chociaż sama nigdy tipsów nie nosiła, to na wszelki wypadek odsunęła palce od noża – Nawet mi nie mów.

– Ale to jeszcze nie koniec. Dalej będzie jeszcze ciekawsze – zapewniła ją dawna koleżanka z pracy. – Potem ta łajza zaczęła płakać.

– Pewnie z żalu za tipsami. – Alicja pokiwała głową.

– Może. A potem tą łapą od cebuli potarła oko i zaczęła się drzeć jak opętana – kontynuowała swoją opowieść Olga.

– Nie dziwię się. Co wam jeszcze posiekać? – zapytała Alicja. – Już zapomniałam, jak to fajnie w tym naszym domu wariatów.

– Poczekaj. Ona jeszcze nie skończyła – wtrąciła się Baśka. – Najlepsze będzie dopiero teraz. Mów, Olu.

– No i tak zaczęła trzeć te ślipia i miotać się po kuchni, że sobie odkleiła sztuczne rzęsy. I wpadły jej do sałatki – kontynuowała swoją opowieść Olga.

– Wtedy przyleciał Bogdan, złapał tę sałatkę i popędził z nią na salę. Nie zdążyliśmy go zatrzymać. Mogłyśmy tylko patrzeć, jak facet wcina tę sałatkę. A wiesz, co było najlepsze? Że mu się ta sztuczna rzęsa lzy do zębów przykleiła. Kaśka o mało nie umarła ze śmiechu, jak płacił rachunek. No i wyszedł z tą rzęsą na zębach.

Wkrótce sytuacja została opanowana, Japończycy nakarmieni i personel kuchni mógł odsapnąć i przysiąść na chwilę w kąciku socjalnym.

– Powiedz mi, jak się skończyła ta cała heca z trumną? – zapytała Alicja. – Ty chyba znasz tych właścicieli zakładu pogrzebowego? Jak oni się nazywają?

– Bracia Kowalowie. Tak, znam ich. Bardzo mili staruszkowie – uśmiechnęła się Baśka. – Wyobraź sobie, że to jakiś facet z konkurencji podszywał się pod ich firmę i sprzedawał lipne trumny. Już zawiadomili policję. Sami też zamierzają ścigać oszusta. Jeśli będzie miał szczęście, policja znajdzie go szybciej niż Kowalowie. Bo ci go pewnie ukatrupią i zamkną w trumnie własnej produkcji, bardzo solidnej.

Talerze wylizane do czysta przez Japończyków wróciły do kuchni.

– No to do kolacji macie spokój – powiedziała Alicja. – Ja się zwijam. W przyszłym tygodniu się zdzwonimy, to ci powiem, kiedy robimy następną imprezę rozwodową.

Zdjęła fartuch, odwiesiła go do szafki i już miała wyjść, gdy nagle do pokoju wbiegł dyrektor hotelu. Alicja cofnęła się w kąt. Miała nadzieję, że jej nie zauważy. Zgodnie z przepisami nie powinno jej tu w ogóle być. Obawiała się, że dziewczyny oberwą za to, że ją tu wpuściły.

– Japończycy zachwyceni. Zostają jeszcze jeden dzień. Dostajecie premię – mówił typowym dla siebie telegraficznym stylem. – Dla was premia. Zaraz sobie zapiszę.

Wyciągnął z kieszeni notes i zaczął zapisywać nazwiska. Alicja zrobiła krok w tył, żeby lepiej się schować, i zrzuciła na podłogę łyżkę. Prezes natychmiast spojrzał w jej kierunku.

– Dlaczego pani chowa się w kącie? Pani Alicja Watrak, premia – zanotował.

Alicja chrząknęła.

– Przepraszam, ale ja tu właściwie nie pracuję – przyznała się. – I już nie jestem Watrak.

– Alicja Watrak nie pracuje... – Już miał zapisać, ale ręka z długopisem zastygła tuż nad kartką. – Jak to nie pracuje? – zapytał. – I dlaczego nie Watrak?

– Złożyłam wypowiedzenie dwa miesiące temu – przypomniała mu. – A po rozwodzie wróciłam do panińskiego nazwiska Kalicka.

– Wielka szkoda. To znaczy, jeśli chodzi o pracę, a nie nazwisko. Czy ja cię przypadkiem nie namawiałem, żebyś została? – zapytał.

– Namawiał pan prezes. – Alicja kiwnęła głową.

– Tak myślałem. Jak będziesz chciała wrócić, to drzwi otwarte – powiedział prezes. – Może jeszcze się zastanów?

– Ale ja się już zastanowiłam i chciałam wrócić – powiedziała zdziwiona Alicja.
– No to świetnie – stwierdził prezes i ruszył do wyjścia.
– Ale przecież wiceszef, to znaczy wiceprezes powiedział, że nie mogę – krzyknęła za nim. – Bo polityka sieci tego nie przewiduje.
– To jakaś bzdura. Wracasz od jutra. A właściwie to od dzisiaj – stwierdził prezes. – A teraz bierzcie się za kolację dla Japończyków. Kalicka, tak? Kalicka, nie Watrak. Muszę zapamiętać.

Wyszedł, a Alicja z na wpół otwartymi ustami patrzyła na drzwi, za którymi zniknął prezes.

– No i super! – krzyknęła Baśka. – Gdyby jeszcze zabrali Izę... No, ale nie można mieć wszystkiego.

Gdy Alicja późnym wieczorem wracała do domu, po raz pierwszy od wielu tygodni pomyślała, że wszystko się ułoży. Wracała do pracy i na dokładkę założyła własną firmę. Miała gdzie mieszkać, chociaż metraż dzieliła z gipsowym krasnałem i psem, którego właśnie ukradła.

W jej torebce nagle rozdzwoniła się komórka. Paweł. Była w tak wyśmienitym humorze, że odebrała już za pierwszym razem.

– Cześć! Tu Paweł – powiedział jak to zwykle on.
– A myślałam, że książkę Harry – zakpiła.
– Jak to książkę Harry? – nie zrozumiał były mąż. – Nie wyświetlił ci się mój numer?
– Wyświetlił, wyświetlił – westchnęła.
– No to dlaczego myślałaś, że książkę Harry? – dopytywał się Paweł.
– O matko! – jęknęła. – Przecież żartowałam z tym księciem.
– A! Nie rozumiałem – powiedział Paweł.
– A! Domyśliłam się – warknęła.
– Naprawdę? – zdziwił się. – A dlaczego jesteś taka wściekła?
– Nie jestem wściekła, tylko... spieszę się. To o co ci chodzi? Ktoś na mnie czeka – powiedziała i nawet nie skłamała, bo przecież w domu czekali na nią Gipsowy, Pasztet i Rudy Sto Dwa.

– Aha – rzucił roztargnionym głosem były mąż. – Chcemy wyskoczyć z Tanią na parę dni w szwajcarskie Alpy. Tam jest jeszcze śnieg.

– No to świetnie, że tam jest jeszcze śnieg. Tylko po co mi to mówisz? – zapytała. – Nie potrzebujesz mojego pozwolenia.

– Dzwonię, żeby cię zapytać, gdzie są moje spodnie narciarskie. No bo nie mogę ich znaleźć – jęknął. – Gdzieś je schowałaś i nie mam bladego pojęcia, gdzie. Poczekaj chwilę.

Z telefonu dobiegły jakieś trzaski.

– No dobra – odezwał się po chwili były. – To gdzie są te spodnie?

– Co ty mówisz? – zirytowała się Alicja. – Dlaczego nagle zacząłeś bełkotać?

Już zamierzała się rozłączyć, gdy były mąż znowu się odezwał.

– Sorki, ale Tania zeszła na dół i musiałem zamknąć się w komórce pod schodami. No, to gdzie są moje spodnie? – drążył temat.

– Nie mam bladego pojęcia i nie chce mi się nad tym teraz zastanawiać. A w ogóle, to nie wiem, dlaczego mnie o to pytasz. Pomyliłeś mnie z Tanią? Niech ona szuka twoich spodni. A jak nie znajdzie, to najwyżej kupisz sobie nowe. Ale najpierw musisz wyjść z tej komórki – powiedziała. – Nie wiem, czy pamiętasz, ale tam zamek się zacina. Miałeś już dawno wezwać ślusarza, ale zapomniałeś. No to część.

Przez chwilę przysłuchiwała się, jak Paweł szarpie się z drzwiami, klnąc przy tym siarczyście. Wreszcie uznała, że tym razem zamek zaciął się na amen i jej niewierny połówek jak

nic zostanie tam na noc. No, chyba że Tania wezwie ślusarza.

– I dobrze ci tak! – powiedziała głośno.

– Komu ma być dobrze? – usłyszała za sobą.

Odwróciła się. Szymon! Zastanawiała się, ile słyszał z jej idiotycznej rozmowy z Pawłem.

– No, to komu ma być dobrze? – Podszedł do niej i wyjął jej z rąk torbę z żarciem dla Paszteta i Rudego 102.

W pierwszej chwili zamierzała mu ją wyrwać i uciec. Najlepiej w Alpy. Nie, tylko nie w Alpy! Przecież tam będą Paweł i Tania. No to na Alaskę. Ale po drodze wpaść do Karoliny i udusić tę idiotkę, przez którą zakochała się w sąsiedzie geju. Ale, sama nie wiedząc dlaczego, pozwoliła mu zabrać tę siatkę i poszła za nim.

– Rozmawiałam z byłym mężem – odpowiedziała.

Wsiedli do windy.

– A jak się tam miewa twój nowy podopieczny? – zapytał. – Gdybyś chciała, żeby obejrzał go jakiś dobry weterynarz, to możesz przyprowadzić go do mnie. Koty na czas waszej wizyty obiecuję zamknąć w łazience. Jestem naprawdę świetny. Zwierzaki za mną szaleją.

Spojrzała na niego z kpiącym uśmiechem.

– Świetny może i tak, ale skromny raczej nie – stwierdziła.

– Nie, i nie uważam tego za swoją wadę – odpowiedział. – A ty?

– Co ja? – Nie zrozumiała.

– Jesteś skromna? – zapytał.

– Nigdy się nad tym nie zastanawiałam. – Wzruszyła ramionami. – Mój były mąż zawsze powtarzał, że mam bardzo wysokie mniemanie o sobie. Gdy mnie poznał, uważał to za zaletę, a pod koniec za potworną wadę.

Chciała coś jeszcze dodać, ale nagle winda szarpnęła i stanęła między piętrami. Alicja wzięła głęboki oddech i czekała, aż dopadnie ją atak klaustrofobii. Żeby bezmiar katastrofy się dopełnił, żarówka pod sufitem zamrugła kokieteryjnie i zgasła. No super! Utknęła w ciemnej windzie z facetem, na którym jej zależało, niestety nie *vice versa*.

– Nie panikuj – usłyszała jego głos.

– Ja nie panikuję! – krzyknęła. – Ja zaraz zwariuję ze strachu!

– Nie zwariujesz – powiedział łagodnie.

– Zwariuję – zapewniła go.

– Nie zwariujesz. Chodź tutaj – powiedział i wyciągnął rękę.

Pozwoliła się chwycić i przyciągnąć. Nawet nie zauważyli, że żarówka znowu się zapaliła i winda ruszyła. Na dziewiątym piętrze zatrzymała się, ktoś szarpnął drzwi i do środka zajrzała kobieta z dużym wózkiem na zakupy.

– Nie macie się gdzie całować? I jeszcze windę między piętrami zatrzymują! Ja do administracji napiszę – powiedziała oburzonym głosem.

– Pani Wolakowa! Co się pani znowu wydziera? – rozległo się z jednego z mieszkań.

– To nie ja – odkrzyknęła kobieta. – To znowu ci z jedenastego piętra.

– Przepraszamy bardzo! Może pani jechać – krzyknął Szymon. Chwycił Alicję za rękę i wyciągnął ją z windy.

A potem popędzili po schodach. Na półpiętrach zatrzymywali się, całowali i pędzili dalej. Gdy dotarli na ostatnie piętro, Alicji przemknęło przez głowę, że to się chyba jednak dzieje za szybko. O kilkadziesiąt pięter za szybko. Powinna coś zrobić, bo lada moment wylądują w łóżku, jego lub jej.

Muszę kazać mu natychmiast przestać albo, jeszcze lepiej, wyrwać się i uciec – pomyślała, ale nie zrobiła nic, żeby swoje postanowienie wcielić w czyn.

Byli już pod jej drzwiami, gdy nagle zadzwonił telefon w kieszeni Szymona. Mężczyzna wyprostował się i sięgnął do kieszeni. Alicja oparła się o ścianę i zaskoczona patrzyła na niego. Miała wrażenie, że to już się kiedyś wydarzyło.

To była ich rocznica. Dokładnie rok wcześniej poznali się z Pawłem. Przyszedł do restauracji w hotelu, w którym pracowała, i wylał sobie na spodnie cały talerz czerwonego barszczyku. Często się później z tego śmiali. Dlatego dzisiaj postanowiła zrobić mu taki sam barszczyk. Co prawda w pierwszej chwili kompletnie nie skojarzył, o co chodzi, i zapytał:

– Drugi raz w tym tygodniu barszczyk? Jakaś klęska urodzaju na buraki była w tym roku? Ale jak sobie chlapnął na spodnie, to natychmiast mu się przypomniało. Oczywiście plamę trzeba było zaprać, więc Paweł zdjął spodnie. No i w jednej sekundzie przeszła im ochota na pranie. Wylądowali w łóżku. Paweł zdjął z niej ubranie i w tym samym momencie zadzwonił telefon w spodniach, które rzucił na fotel. Ukochany mąż rzucił się, żeby odebrać. W życiu się tak głupio nie czuła. Leżała goła na łóżku i po chwili zaczęła marznąć. Paweł usiadł w fotelu i wdał się w dłuższą pogawędkę z Lukaszem. W końcu wkurzyła się, zawinęła w koc i poszła do łazienki, żeby się ubrać. Jak wróciła, to Paweł już nie rozmawiał, tylko leżał i czekał na nią. Rozebrał ją znowu i kochali się. Ale gdzieś w tyle głowy cały czas miała wrażenie, że je odgrzewane kotlety. A akurat odgrzewanych kotletów nie znosiła jak mało czego.

Szymon słuchał przez dłuższą chwilę, a potem rzucił do telefonu:

– Zaraz będę! – I schował aparat do kieszeni.

Spojrzał na Alicję, a potem oparł rękę nad jej głową. Znowu zaczęli się całować. Nagle otworzyły się drzwi mieszkania pana Karaska i na klatkę wybiegły dzieci.

– Dziadku, dziadku! Oni się całują! – krzyknął chłopiec.

Starszy pan wyjrzał na klatkę schodową i fuknął z oburzenia.

– Żeby tak na klatce, przy dzieciach. Wstydu już nie macie! – krzyknął. – Ja to do administracji zgłoszę.

Szymon oderwał się od Alicji, pogładził ją po twarzy i zbiegł po schodach.

– Dzień dobry panu – powiedziała uprzejmie do pana Karaska, otworzyła drzwi i weszła do mieszkania. Zanim zamknęła drzwi, rzuciła jeszcze do sąsiada: – Życzę miłego dnia.

Nie zdejmując butów ani kurtki, przeszła do pokoju i położyła się na łóżku. Paszet natychmiast podszedł do niej i trącił ją łbem.

– Daj mi spokój – jęknęła.

– Kiepski dzień? – usłyszała nagle głos.

Odwróciła się i zobaczyła Wieśka, który siedział na balkonie.

– A pan tutaj? – stwierdziła i westchnęła. – Koledzy jeszcze pana nie zabrali?

– A jakoś dzisiaj się spóźniają. Ale pani nie w humorze chyba dzisiaj. Coś poszło nie tak? – zapytał.

Westchnęła jeszcze raz i nie wiadomo dlaczego opowiedziała mu o tym, że całowała się z Szymonem.

– A potem on odebrał telefon i gdzieś pobiegł – dokończyła i poczuła się jak ostatnia idiotka.

Miała ochotę wpełznąć pod łóżko, ale miała poważne obawy, że się nie zmieści i do wszystkich swoich kłopotów jeszcze nabawi się kompleksów.

– Może on jednak jest tym gejem? – powiedziała.

– No co pani mówi? – Wiesiek wzruszył ramionami. – Gej by się nie całował przez jedenaście pięter.

– Pięć – doprecyzowała Alicja. – Zaczęliśmy, jak winda utknęła na szóstym piętrze.
– Nieważne. – Mężczyzna zamachał rękami. – Całował czy nie całował?
– Całował, i to jak! – rozmarzyła się, ale zaraz przyszło otrzeźwienie. – I co z tego, że całował? Jak tylko zadzwonił telefon, to mnie zostawił i gdzieś poleciał.

Pobiegła do łazienki, żeby sobie poryczeć, a gdy wróciła, Wieska już nie było. Położyła się do łóżka, naciągnęła koc na głowę i w tej samej chwili ktoś zadzwonił do drzwi.

– Mam nadzieję, że to nie Paweł w sprawie swoich spodni, bo go ukatrupię. Zamkną mnie w więzieniu i nie będę musiała oglądać codziennie Szymona – warknęła.

Dzwonek na chwilę umilkł, a potem znowu się rozdzwonił jak szalony. Wiedziała, że jeśli to jej były mąż, który jakimś cudem wy dostał się ze schowka pod schodami, to nie odpuści. Nie miała ochoty, żeby znowu urządzał cyrk na całą klatkę schodową, więc zwlekła się z łóżka i poczłapała do drzwi, po drodze zdejmując kurtkę i buty. Po drugiej stronie stał Szymon z bukietem kwiatów.

– Przepraszam, ale łoś wylazł z lasu i musiałem pojechać, bo inaczej wezwaliby leśniczego i zastrzeliliby biedaka – powiedział i przyciągnął ją do siebie.

– Łoś? – wyszeptwała. – A... duży?

– Ogromny – zapewnił ją Szymon i zamknął za sobą drzwi. – Chcesz, to ci opowiem.

Rano, gdy otworzyła oczy, znowu go nie było.

– Jesteś idiotką – powiedziała do siebie i wpełzła pod kołdrę z nadzieją, że nigdy nie będzie musiała stamtąd wychodzić i umrze z rozpaczyny nad własną głupotą.

Niestety, miała psa, a pies miał własny pomysł na spędzenie poranka. Pasztet ściągnął z niej kołdrę.

– No dobra, dobra – mruknęła. – Zaraz dam ci śniadanie. I twojemu koledze też. A potem pójdziemy na spacer. Niech ci będzie. Umrę z rozpaczyny później.

Wyszła z łazienki, sięgnęła do kuchennej szafki i o mało nie umarła ze strachu, gdy za swoimi plecami usłyszała pukanie w okno. Znowu Wiesiek!

– Już pana koledzy wciągnęli? – zapytała, uchylając okno i otulając się szczelniej szlafrokiem.

– Ano dzisiaj tak jakoś wcześniej – odpowiedział mężczyzna. – A pani to się chyba dzisiaj wyspała.

– No, raczej wprost przeciwnie – odpowiedziała. – Ma pan jakiś nowy kawał o krasnoludkach? Przydałoby mi się coś na poprawę humoru.

– No pewnie! – ucieszył się Wiesiek. – Krasnoludek wybrał się na targ. Na jednym ze stoisk zauważył pieczarki i mówi: „Poproszę tę parasolkę!”.

– Parasolkę? Świetne! – zapewniła go Alicja.

Wyszła na spacer z Pasztetem i natknęła się na Montezumę. Ale na drugim końcu smyczy był mężczyzna, którego nigdy wcześniej nie widziała.

– Widzę, że nasze psy się znają – uśmiechnął się. – No to chyba też powinienem się przedstawić. Tomasz.

– Alicja – wykrztusiła.

– Ja dzisiaj wyjątkowo wyprowadzam Kibola, bo przyjaciel musiał wyjechać. No, musimy już wracać. Kibol, do nogi! – krzyknął mężczyzna.

Zniknęli za drzwiami klatki schodowej, a Alicja zszokowana jeszcze długo patrzyła za nimi. Więc Szymon jednak nie był gejem. Ale właściwie to mógł być. Ale może jednak nie był? No to był czy nie był? Nagle krzyknęła przerażona, bo ktoś objął ją od tyłu i pocałował w ucho.

– Myślałem, że jeszcze śpiesz i zdążę przynieść ci ciepłe bułeczki na śniadanie –

powiedział.

– Ty nie jesteś gejem? – zapytała oszołomiona.

– Nie przestajesz mnie zadziwiać, Alicjo z Krainy Czarów – roześmiał się. – Myślałem, że wszystkie kobiety po nocy spędzonej z facetem pytają, czy je kocha. Ale odpowiem ci, oczywiście. Nie, nie jestem. Czy to źle?

– Nie! – krzyknęła Alicja. – To cudownie.

– To świetnie. – Szymon pocałował ją w drugie ucho.

I pomyśleć, że nie znosiła, gdy Paweł to robił. Ale Szymon, w przeciwieństwie do jej eksmęża, nie miał przy tym zwyczaju gwizdać jej do ucha.

– A odpowiadając na pytanie, którego nie zadałaś.... Tak, Kocham cię. A teraz szybko do domu – powiedział i pociągnął ją za sobą.

ROZDZIAŁ XVII

JERZY, KTÓREMU ALICJA NIE WIERZY

Alicja siedziała w poczekalni u adwokatkę. Przyszła, żeby załatwić ostatnie formalności. Recepcjonistka miała jakieś pilne zajęcie i nie mogła zabawić jej rozmową. Wzięła więc gazetę i zaczęła ją przeglądać. Miała przeczucić stronę, gdy nagle jej uwagę przykuła informacja w dolnym prawym rogu. Paweł zawsze się z niej śmiał, że ma ograniczone pole widzenia i nigdy nie czyta tych informacji, które drukują u góry strony i na dole. Raz nawet wynalazł jakąś informację w Googlach o takim schorzeniu. Podobno to się nazywa widzenie tunelowe. Najwidoczniej jednak ona tego nie miała, bo notatkę zauważyła.

– Czytała to pani? – zwróciła się do recepcjonistki. – Przepraszam, nie chciałam przeszkadzać.

– Nie, nie przeszkadza pani. – Recepcjonistka uśmiechnęła się i wstała zza biurka. – Właśnie skończyłam. Myśli pani o tych dwóch emerytkach, które pobiły się o wolne miejsce w autobusie? I to tak, że aż trzeba było wzywać policję?

– Nie. – Alicja pokręciła głową. – Chodzi mi o to, że złapali tego faceta, który ukradł pieniądze z banku. Tego, który się ukrywał.

– A, ten! Napije się pani kawy? – zapytała recepcjonistka. – Bo ja bardzo chętnie. Od rana siedziałam nad papierami. Już dawno go złapali. Teraz na okrągło o tym piszą.

– Jak to dawno? – zdziwiła się Alicja. – Przecież dałabym sobie głowę uciąć, że go wczoraj widziałam.

– Gdzie? – zdziwiła się recepcjonistka. – Tam pisali, że siedzi w areszcie już od miesiąca.

– No to pewnie widziałam go w telewizji – uśmiechnęła się Alicja. – Albo spotkałam kogoś bardzo podobnego na ulicy.

Natychmiast po wyjściu z kancelarii pojechała do Malinówki. Na szczęście zaczynało się już ściemniać, więc niezauważona przez nikogo zakradła się do starego domu i zapukała w okno. Natychmiast uchylły się drzwi i Jerzy wpuścił ją do środka.

– Miło panią widzieć – powiedział. – Przez cały dzień nie mogłem wyjść, bo bez przerwy

kręcili się tu jacyś ludzie. Najgorsza jest ta wścibska baba z sąsiedztwa. Ciągłe mam wrażenie, że wie o mnie i doniesie na policję, jak tylko wychylę za dnia nos z domu.

– Pani Korolkiewiczowa jest bardzo miłą osobą. – Alicja stanęła w obronie dawnej sąsiadki. – I chyba dzisiaj specjalnie pana nie prześladowała, bo widzę, że ma pan poranną gazetę i świeże pieczywo z tej miłej piekarni na końcu Malinówki.

Mężczyzna podążył za jej wzrokiem. Widziała, że stara się coś wymyślić.

– Zresztą nie wiem, dlaczego ciągle się pan boi tego aresztowania – powiedziała, zanim wpadł na jakiś pomysł. – Właśnie w tej gazecie napisali, że już od miesiąca siedzi pan w areszcie śledczym w Zabrzeżnie. Wczoraj miał pan pierwsze spotkanie z adwokatem, który będzie pana bronił. Z jakiejś bardzo znanej kancelarii.

– Gdzie siedzę? – Nie zrozumiał mężczyzna.

– W areszcie – odpowiedziała Alicja, po czym sięgnęła po gazetę i pokazała mu notatkę.

– Nie rozumiem, dlaczego mnie pan oszukiwał? Po co była ta bajeczka o defraudacji i ukrywaniu się przed policją?

Mężczyzna usiadł na krześle i głęboko westchnął.

– Jak pani powiem, to i tak pani nie uwierzy. – Machnął ręką.

– No, po tych wszystkich kłamstwach, które mi pan serwował, to raczej nie – stwierdziła sarkastycznie Alicja. – Ale zawsze może pan spróbować.

– Może najpierw zrobię herbatę – zaproponował Jerzy. – Będzie się nam lepiej rozmawiało.

Tego akurat nie była pewna, ale herbaty mogła się napić. Mężczyzna postawił na stole filiżanki i dzbanek w kwiaty, a potem usiadł naprzeciwko Alicji.

– No dobra – westchnął głęboko. – To teraz powiem pani prawdę.

Akurat – pomyślała, ale nic nie powiedziała.

– Jestem pisarzem – oświadczył Jerzy. – Autorem kryminałów. Kilka miesięcy temu podpisałem umowę na kolejną powieść. Przesłałem wydawcy szkic i się zaczęło. Redaktor zarzucił mi, że fabuła jest za mało realistyczna.

Alicja uniosła brwi z zaciekawieniem. Nawet jeśli Jerzy zamierzał jej opowiedzieć kolejną bajeczkę, to początek był wciągający.

Może on naprawdę jest tym pisarzem – przeleciało jej przez głowę. Ale pisarze też czasami mordują, więc lepiej mieć się na baczności.

– Wymyśliłem sobie, że mój bohater popełnia jakieś przestępstwo – kontynuował Jerzy. – Nie miałem pomysłu, jakie konkretnie. Ukrywa się w starym domu, który należy do jego rodziny.

– Aha – mruknęła znacząco Alicja.

– W tym domu zjawia się pewnego deszczowego dnia młoda kobieta. Taki typ kompletnej wariatki, totalnie odjechanej, jak to dzisiaj mówi młodzież – opowiadał dalej.

– Wypraszam sobie – krzyknęła oburzona Alicja.

– No przecież nie mówię o pani, tylko o wymyślonej postaci z książki – uspokoił się Jerzy.

– Przypuśćmy – mruknęła.

– Musiała być wariatką, bo zgodziła się mu pomóc – tłumaczył pisarz.

– Dziękuję bardzo. Teraz to już pan przegiął – warknęła urażona.

– No, proszę się na mnie nie gniewać. W każdym razie mój wydawca twierdził, że taka osoba nie istnieje, a ja mu właśnie udowodniłem, że jak najbardziej. Moja powieść jest już prawie skończona i chętnie ją pani zadedykuję – zaoferował się autor kryminałów.

– Zbytek łaski – fuknęła nieco udobruchana. – Ale dziękuję.

Jeśli już miała być tą wariatką, to nie zawadzi odrobina sławy. W końcu bycie celebrytką

też ma swoje dobre strony. Może ktoś przeprowadzi z nią wywiad?

– A ten dom naprawdę należy do pańskiej rodziny? – zapytała.

– Do rodziny mojej byłej żony – sprecyzował Jerzy. – Rozwiedliśmy się całe lata temu i obydwójce byliśmy z tego powodu tak szczęśliwi, że niewiele brakowało, a znowu byśmy się zeszli. Na szczęście w porę przypomnieliśmy sobie oboje, dlaczego się rozwiedliśmy. Zostaliśmy przyjaciółmi. Rozwód to całkiem przyjemna rzecz.

– To zależy, z kim się człowiek rozwodzi – stwierdziła sarkastycznie Alicja. – Ja i mój eksmąż raczej nie zostaniemy przyjaciółmi.

Po wyjściu od Jerzego miała już ruszyć do zaparkowanej dalej Czarownicy, gdy nagle usłyszała za swoimi plecami głos pani Korolkiewiczowej.

– Pani Alicjo! Tak właśnie myślałam, że to pani. Poznała pani mojego nowego sąsiada? – zapytała starsza pani, podchodząc do furtki. – Straszny gbur.

– Mnie wydawał się całkiem miły. – Alicja niespodziewanie dla samej siebie wystąpiła w obronie Jerzego.

– Znała go pani wcześniej? – zainteresowała się pani Korolkiewiczowa.

– A pani? – odpowiedziała pytaniem na pytanie Alicja, która wolała się nie zwierzać z okoliczności, w jakich poznała Jerzego.

– Tak. Chociaż właściwie to lepiej znałam jego matkę – odpowiedziała dawna sąsiadka. – Miałam pani nawet powiedzieć, że się tu wprowadził, ale zupełnie zapomniałam. A potem się pani nie pokazywała. Niech pani usiądzie. Zaraz zawołam Stefana, to zrobi nam herbatę. Stefan? Gdzie on się znowu podział?

– Może szuka Eulalii? – zgadywała Alicja.

– A, nie! – Pani Helena machnęła ręką. – Odkąd wróciliśmy, to Eulalia nie rusza się na krok od domu. Może się czegoś przestraszyła?

Alicja była dziwnie pewna, że ze zmianą charakteru kury zacnego pana Korolkiewicza miał coś wspólnego Jerzy...

ROZDZIAŁ XVIII

DZIEŃ SZARLOTKI CZY ŚWIĘTO SERNIKA?

Wybrała z listy kontaktów numer babci Agaty.

– Dobrze cię słyszeć, droga wnuczko – usłyszała. – Dawno nie dzwoniłaś.

– Chciałabym ci kogoś przedstawić – powiedziała.

– Świetnie – ucieszyła się seniorka rodu. – Jakie ciasto lubi? Bo muszę zrobić zakupy.

– A skąd wiesz, że to on? – zapytała wnuczka.

– Bo koleżanek mi już od dawna nie przedstawiasz. A tak dokładnie, to od czasów przedszkolnych, gdy przyprowadzałaś pół podwórka na pomidorówkę albo pierogi z jagodami. No więc, jak on ma na imię i jakie ciasto mam dla niego upiec?

– Szymon – odpowiedziała Alicja. – On ma na imię Szymon. Właściwie to Tomasz, ale woli używać drugiego.

– No to całkiem jak ja – uśmiechnęła się babcia.

– Jak to? – zdziwiła się wnuczka. – To ty nie masz na imię Agata?

– Nie, Melania. – Babcia skrzywiła się. – Okropnie, prawda? Nigdy tak do mnie nie mów, droga wnuczko. Nie pamiętam nawet, czy powiedziałam twojemu dziadkowi, jak naprawdę mam na imię, No, to jakie ciasto lubi Szymon?

Alicja zaczęła intensywnie myśleć. Jeśli powie, że szarlotka, a tej szarlotki nie dostanę, to będzie oznaczało, że babcia wrzuciła Szymona do tej samej kategorii, co wcześniej Pawła, i uznała za nierokującego. Może więc dobrze byłoby skłamać, że lubi na przykład sernik? W końcu jednak postanowiła wziąć to na klatę.

– Szarlotkę. Szymon najbardziej lubi tradycyjną szarlotkę. Taką bez lodów czy bitej śmietany – westchnęła.

– No to czekam na was w najbliższą sobotę z szarlotką. Do zobaczenia, wnuczko – pożegnała się babcia Agata.

– Do widzenia – powiedziała Alicja i rozłączyła się.

No i teraz jechali z tą zapowiadzaną wizytą. Alicja uparła się, żeby wzięli Czarownicę, chociaż samochód Szymona był dużo wygodniejszy. Ona jednak chciała mieć jakieś zajęcie podczas drogi i nie zastanawiać się bez przerwy: „Dostaniemy tę szarlotkę?”. Skutek był taki, że na kwestie związane z prowadzeniem auta udało jej się wygospodarować jakieś dwadzieścia pięć procent mózgu, podczas gdy reszta była zajęta obrabianiem w kółko tematu, czy Szymon spodoba się babci Agacie, czy nie? I co ona ma zrobić, jeśli nie?

– *Ale przecież to twój chłop, a nie babci, to co się przejmujesz?* – *Baśka wzruszyła ramionami, gdy poprzedniego dnia Alicja zwierzyła jej się ze swoich obaw.*

– *Niby tak, ale nie wyobrażasz sobie nawet, jaką babcia ma intuicję do ludzi. Paweł jej się nie spodobał od pierwszej chwili, i sama widzisz! Miała rację! Jak jej się teraz Szymon nie spodoba, to ja się chyba zastrzelę – zadeklarowała właścicielka firmy „Wesoła rozwódka”.*

Koleżanka spojrzała na nią i pokiwała z politowaniem głową.

– *Akurat co do Pawła to nie trzeba było mieć jakiejś specjalnej intuicji – powiedziała. – A jeśli tak, to ja też ją mam, i to nie gorszą niż twoja babcia. Mnie się też nie spodobał.*

– *Nieemożliwe!* – *Alicja krzyknęła zdumiona. – Nic nie mówiłaś.*

– *Nie mówiłam, bo to nie moja sprawa – stwierdziła Baśka i wzruszyła ramionami. – Zresztą byłaś tak zakochana, że i tak byś nie wzięła mojego zdania pod uwagę.*

– *No, pewnie bym nie wzięła – potwierdziła Alicja. – Ale może mimo wszystko trzeba było mi dać jakoś delikatnie do zrozumienia...*

– *Przecież dałam – fuknęła Baśka. – Nie poczęstowałam go sałatką jarzynową, jak był tu raz u ciebie. Chociaż się przymilał.*

– *Powiedziałas, że masz wyliczone porcje – przypomniała jej koleżanka.*

– *Przecież coś musiałam powiedzieć. – Wzruszyła ramionami.*

– *A Szymonowi byś dała? – zapytała Alicja.*

– *Szymonowi bym dała – roześmiała się Baśka.*

– *Serio?*

– *Serio serio. I nie martw się na zapas. A teraz trzyj tę marchewkę, bo zaraz zejdą się rozwódki – zarządziła Baśka.*

Ale ona mimo wszystko nie potrafiła pozbyć się obaw. Może nie znała się na facetach i po raz drugi wybierze równie fatalnie jak za pierwszym podejściem?

– *Skarbie! Uważaj, bo nas zawieszysz wprost na cmentarz – krzyknął nagle Szymon.*

W ostatniej chwili skręciła kierownicą i minęła o kilkanaście centymetrów bramę cmentarną.

– *Może jednak ja poprowadzę? – zaproponował.*

– *Nie, muszę się zrelaksować – odpowiedziała Alicja. – Jazda samochodem zawsze mnie uspokaja.*

– *Nie chcę nawet myśleć, jak się zachowujesz, kiedy jesteś zdenerwowana. – Szymon się uśmiechnął. – Daleko jeszcze?*

– *A dlaczego pytasz? – Spojrzała na niego podejrzliwie.*

– *Bo chcę sobie obliczyć prawdopodobieństwo tego, czy dojedziemy żywi na miejsce. Uważaj! – krzyknął znowu.*

Tym razem niewiele brakowało, a przejechałyby krowę. Taką z plastiku, która stała tuż przy ulicy i reklamowała jogurty z bakteriami.

Jakimś cudem udało jej się dojechać na miejsce, siebie i Szymona nie uszkodzić, nikogo po drodze nie zabić. Zaparkowała. Wysiedli i ruszyli w kierunku niskiego żółtego domu.

– Stój! – Zatrzymał ją nagle Szymon.
– Co się stało? – Spojrzała na niego ze zdziwieniem. – Zapomniałeś wyłączyć gaz i musimy wracać? No bo chyba nie przestraszyłeś się babci Agaty?

– Marzę o tym, żeby poznać tę niezwykłą staruszkę – zapewnił ją. – Ale wcześniej muszę cię o coś zapytać.

– A o co? – zapytała i zajrzała do torebki w poszukiwaniu chusteczek.

– Wyjdiesz za mnie? – zapytał.

Tę kwestię miała już od jakiegoś czasu gruntownie przemyślaną i nie potrzebowała czasu na podjęcie decyzji.

– Nie – odpowiedziała i dała mu buziaka.

– Dlaczego nie? – zdziwił się Szymon. – Przecież jesteśmy razem od kilku miesięcy. Myślałem, że chcesz być ze mną.

Cmoknęła go jeszcze raz.

– Chcę, ale ślub mi do tego niepotrzebny. I mam nadzieję, że tobie też nie. Przynajmniej jak spotkasz swoją Tanię, to odejdziesz bez tych zbędnych sądowych korowodów. No, nie rób takiej zawiedzionej miny, bo jeszcze pomyślę, że marzyłeś, jak to pójdiesz do ślubu w długiej białej sukni z welonem, który będą niosły za tobą nasze koty i Pasztet.

– Nie, Pasztet niósłby obrączki na poduszce – sprostował. – A Tanię już spotkałem.

– Jak to? – Alicja potknęła się i nie wywinęła orla tylko dlatego, że w ostatniej chwili Szymon złapał ją za ramię.

– Widziałem kiedyś, jak w centrum wysiadła z samochodu, a razem z nią twój mąż – wyjaśnił.

– Były mąż – sprecyzowała i oparła się o drzewo, żeby sprawdzić, czy obcas pantofla jest cały. – No i jak ci się podobała?

– Twoja noga? – Szymon schylił się i pogładził ją po łydce. – Szalowa! Masz rewelacyjne nogi.

– Bo mnie przewrócisz – fuknęła z udaną złością. – Nie moja noga, tylko Tania. Spodobała ci się czy nie?

– Nie lubię niskich blondynek. Oczywiście oprócz ciebie. – Roześmiał się.

– Tania nie jest niską blondynką – zdziwiła się. – Jeszcze rozumiem, że mogłaby się przefarbować, ale raczej nie zmaląła. Może Paweł ma już kogoś innego?

– No, ale chyba nie będziemy się tym martwić? – zapytał Szymon i przyciągnął ją do siebie.

– Absolutnie nie – odpowiedziała po bardzo długiej chwili. – Pospieszmy się, bo już jesteśmy spóźnieni.

W domu babci Agaty rozchodził się zapach sernika. Ponieważ jednak byli zaproszeni najpierw na obiad, musiała przeczekać domowy rosół i drugie danie. Potem usiedli przy niskim stoliku i babcia podała kawę. Szymon gawędził wesoło ze starszą panią, a Alicja trzymała mocno zaciśnięte kciuki pod stołem.

– Zupełnie zapomniałam, a ja mam coś... – krzyknęła w pewnej chwili babcia.

Sernik? – przyszło do głowy Alicji.

Ale starsza pani zamiast do kuchni podeszła do regału z książkami i wyciągnęła jedną.

– Mój znajomy zostawił to dla ciebie. – Podała jej gruby tom.

Alicja spojrzała zaskoczona.

– No, nie dziw się. Mówiłam ci kiedyś, że znam pewnego autora kryminałów – roześmiała się babcia.

– Pamiętam. Ale dlaczego zostawił ci książkę dla mnie? – zapytała. – Nie rozumiem.

Babcia roześmiała się.

– Też nie rozumiałam, ale dedykacja wszystko wyjaśnia. Zerknij na trzecią stronę.

Otworzyła książkę we wskazanym miejscu i przeczytała na głos: „Dla Alicji, która była dla mnie inspiracją przy tworzeniu postaci Marii”. Zerknęła na okładkę. Autor – Jerzy Kurasiewicz. No tak, wszystko było jasne!

Szymon wyjął jej książkę z ręki i przekartkował.

– Muszę przeczytać, to może dowiem się o tobie czegoś nowego. – Mrugnął łobuzersko.

– Nie, lepiej nie. – Przestraszyła się Alicja. – Domyślam się, jaka jest ta główna bohaterka.

– Bez obaw – uspokoiła ją babcia Agata. – Naprawdę. Gdyby było inaczej, to Jerzy miałby ze mną do czynienia. Zaraz przyniosę ciasto – powiedziała babcia.

– Pomogę – zaoferowała się wnuczka i pobiegła do kuchni.

Rozejrzała się po kulinarnym królestwie babci i zobaczyła... sernik. No tak. Czyli jednak Szymon zdaniem babci nie rokował.

– Szarlotka jest w szafce – powiedziała babcia, stając za jej plecami. – Sernik upiekłam dla jeszcze jednego gościa.

W tej samej chwili odezwał się dzwonek przy drzwiach.

– To pewnie on – powiedziała babcia Agata i poszła otworzyć.

Wróciła z... Józefem Kowalem. Tym, który – gdy Alicja ostatnio go widziała – leżał w trumnie. Dzisiaj był zdecydowanie bardziej ożywiony.

– No widzisz! – stwierdziła Łucja, gdy kilka dni później opowiedziała im o swojej wizycie z Szymonem u babci Agaty. – Byłam pewna, że wszystko pójdzie dobrze.

– Szymon to ten hydraulik, co ci przepchał rurę? – zapytała Karolina.

– Nie, skąd! – Alicja machnęła ręką. – On jest weterynarzem.

– Ale rurę ci przepchał – upierała się Karolina.

– To mnie rurę przepchał – sprostowała Łucja.

– No, właśnie o tym mówiłam. – Karolina z satysfakcją kiwnęła głową.

– Ale nie on, tylko student, co tam wcześniej mieszkał – powiedziała Łucja.

– Ja nic z tego nie rozumiem – poskarżyła się Karolina.

Z kuchni wyszła Ewa z tacą drinków.

– Lepiej się napij – powiedziała i podała Karolinie wysoką szklankę.

– Zaraz, co to jest? – Łucja wzięła szklankę i powąchała. – Mów, co tam dodałaś?

– Drink „Wesoła rozwódka”. – Karolina wzruszyła ramionami. – Dostałam za niego ostatnio drugą nagrodę w konkursie dla barmanów. Wy to już piłyście.

– A, tak! – Łucja pokiwała głową. – Ala chciała wyjść przez balkon.

– Balkon jest zamknięty – uspokoiła ją Alicja. – A kto zdobył pierwszą nagrodę?

Karolina z niechęcią wzruszyła ramionami.

– Jakiś facet. Za drink „Pijany krasnoludek”. Moim zdaniem nic specjalnego – powiedziała.

– Pijany krasnoludek to twoim zdaniem nic specjalnego? – zdziwiła się Ewa, która przyszła właśnie z kuchni z talerzem kanapek. – Czy ty kiedyś widziałaś pijanego krasnoludka?

– Ja o drinku mówię – warknęła Karolina. – Wódka z sokiem z gruszki i ananasa, a do tego kawałki truskawek, że niby czapczki krasnoludków. Mówię wam, żadna rewelacja.

– Muszę o tym opowiedzieć Wieškowi – postanowiła na głos Alicja.

Karolina i Ewa spojrzały na nią zdziwione.

– Jakiemu Wieškowi? – zapytała Ewa.

– No, temu, co tu blok ociepla – wyjaśniła.
– Nikt nie ociepla bloku – odpowiedziała Łucja. – Ocieplali w zeszłym roku.
– Może coś poprawiają? – zasugerowała Karolina.
– To chyba bym wiedziała. Administracja zawsze przysyłała zawiadomienia mailem. –
Łucja wzruszyła ramionami. – Chodźmy zresztą zobaczyć.

Wyszły na balkon i po ciemku usiłowały obejrzeć elewację budynku. Na sąsiednim balkonie pan Karasek akurat podlewał kwiatki.

– Dobry wieczór – powiedziała Łucja i wychyliła się za barierkę. – Czy pan coś wie o ocieplaniu bloku?

– Ocieplaniu? – zdziwił się mężczyzna. – Przecież w zeszłym roku ocieplili. Pamiętam, bo mi dranie pelargonie połamali.

– No, ale ja przecież rozmawiałam z Wieśkiem, który twierdził, że z kolegami ociepla blok... – Alicja nic z tego nie rozumiała.

– Wiesiek? Powiedziałaś, że miał na imię Wiesiek? – zainteresowała się Łucja.

– No – przytaknęła przyjaciółka.

– To on ma na imię Wiesiek. – Łucja wskazała na Gipsowego. – Nie mówiłam ci? Pewnie zapomniałam. Grzegorz go tak ochrzcił.

Alicja spojrzała na krasnała, a potem na koleżankę.

– Chcesz powiedzieć, że ja przez ostatnie miesiące gadałam z gipsowym krasnałem? – zapytała.

– Na to wychodzi. – Łucja pokiwała głową. – A wszyscy się śmiali z kuzyna Grzeška, jak mówił, że krasnał podrywał mu dziewczynę.

– Co pan, panie Karasek, opowiada, że nie ocieplali? – odezwał się nagle z balkonu dwa piętra niżej pan Wolak. – U mnie ocieplali. To znaczy poprawiali, bo coś zaczęło pękać.

– Co pan mówi, panie Wolak? – zdziwił się łysy staruszek. – A mnie nikt nie poinformował. Może u mnie też trzeba? Zaraz jutro pójde do administracji. – Zamknął z hukiem drzwi balkonowe.

– Czyli jednak nie zwariowałam – odetchnęła z ulgą Alicja

– Trochę szkoda – westchnął Szymon, gdy wieczorem mu to wszystko opowiedziała. Pocałował ją w kark. – Nie mówię, żebyś była tak całkiem...

– Poczekaj – odpowiedziała. – Nie mogę, jak on mi się przygląda.

– Pasztet czy Rudy Sto Dwa? – zapytał.

– Nie, Gipsowy. Wynieś go do kuchni, bo inaczej nic z tego nie będzie. Ja się przy nim nie rozbiorę.

Szymon roześmiał się i wstał z kanapy.

– No, zrobione! – krzyknął, wracając. – Jednak nie jesteś całkiem normalna. Całe szczęście.

SPIS TREŚCI

Występują

ROZDZIAŁ I. POCZĄTEK KOŃCA, KTÓRY TAK NAPRAWDĘ BYŁ KOŃCEM
POCZĄTKU I ŚRODKIEM NIE WIADOMO JESZCZE CZEGO

ROZDZIAŁ II. MĘŻCZYŹNI, PIEKŁO WAS STWORZYŁO, ŻE NIE MA MIEJSCA,
GDZIE BY WAS NIE BYŁO

ROZDZIAŁ III. CZY JEST PANI SŁYNNĄ WŁAMYWACZKĄ?

ROZDZIAŁ IV. SZTAUERZY, SZAMBIARZE, SZCZUDLARZE, SZCZUROŁAPY
I SZOWINIŚCI

ROZDZIAŁ V. BAJKA, W KTÓREJ NIE SPOTKALI SIĘ TOMCIO PALUCH
I ALICJA Z KRAINY CZARÓW

ROZDZIAŁ VI. SIÓDMY MAŻ SIÓDMEJ ŻONY

ROZDZIAŁ VII. TRZEJ HYDRAULICY I ORGAZM NA PLAŻY

ROZDZIAŁ VIII. OBCIĘTA GŁOWA KOCHANKI I NÓŻ W SERCU NIEWIERNEGO
MĘŻA

ROZDZIAŁ IX. PASZTET, CZYLI MIŁOSNE UNIESIENIA I BOLESNE
ROZCZAROWANIA

ROZDZIAŁ X. CO TO ZA DZIEWCZĘ PRZEBRANE CUDNIE SPACERUJE PO GUMNIE?

ROZDZIAŁ XI. BYŁO I SIĘ SKOŃCZYŁO, CZYLI NORMALNA KOLEJ RZECZY

ROZDZIAŁ XII. PAMIĘTAJ – NIGDY NIE ZACHOWUJ SIĘ JAK KOBIETA Z KLASĄ!

ROZDZIAŁ XIII. TO TY JESTEŚ TĄ LAFIRYNDĄ, KTÓRA UWIODŁA MOJEGO STASIUTKA!

ROZDZIAŁ XIV. ZŁODZIEJKA PSÓW I KOTÓW

ROZDZIAŁ XV. ALIMENCIKI, Wdzięki Kochanki i meksykańskie cudzołóżnice

ROZDZIAŁ XVI. BOSONOGA CONTESSA

ROZDZIAŁ XVII. JERZY, KTÓREMU ALICJA NIE WIERZY

ROZDZIAŁ XVIII. DZIEŃ SZARLOTKI CZY ŚWIĘTO SERNIKA?

